

impact MAGAZINE

Rozmowy | opinie | światowe autorytety

Nr 6 | WRZESIEŃ 2026

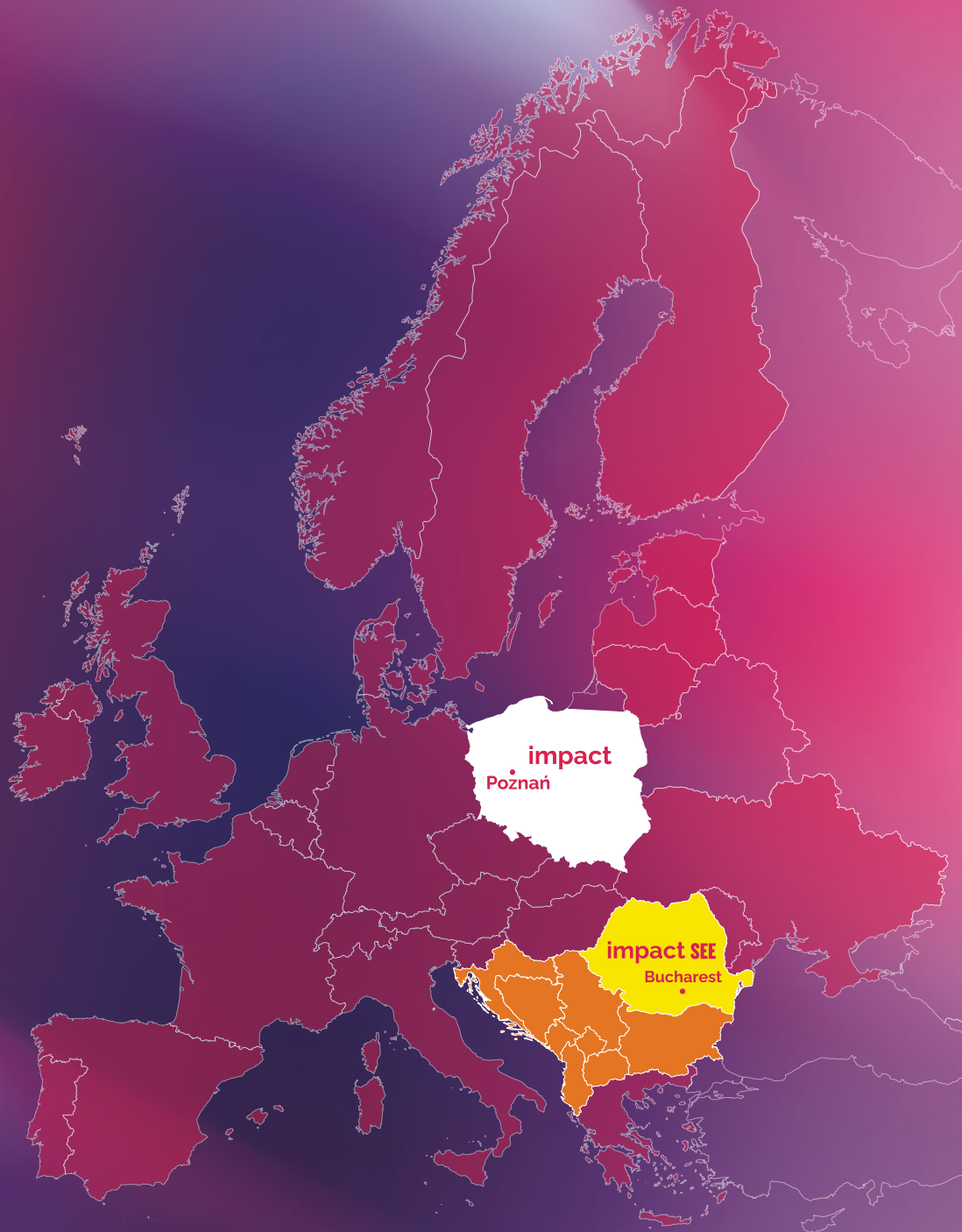
impact'26

IMPACTFUL IDEAS

RYAN REYNOLDS
LINDSEY VONN
ANNA LEMBKE
ILIAN MIHOV
ANDRZEJ STASIUK

RYAN REYNOLDS Marketing godny Oscara | LINDSEY VONN Alpejka z tytanu | ILIAN MIHOV Dlaczego Europa przegrywa | ANNA LEMBKE Bez bólu, ale mniej szczęśliwi | ACEMOĞLU, DOMAŃSKI Czy Europa wygra wyścig AI
ANDRZEJ STASIUK Jestem metafizykiem przestrzeni | TECHNOLOGIE Czy demokracja przetrwa rewolucję AI
SPOŁECZEŃSTWO Demografia i jej mity | ZDROWIE Pod batutą testosteronu | KSIĄŻKA Podłączeni do Muska

impact SEE



UNLOCK THE POTENTIAL OF EUROPE'S
FASTEST-GROWING REGION!



29-30 SEP
BUCHAREST / ROMANIA

SPIS TREŚCI

TOP SPEAKERS IMPACT'26

- 2 **RYAN REYNOLDS** Marketing godny Oscara
- 8 **LINDSEY VONN** Alpejka z tytanu
- 14 **ANNA LEMBKE** Bez bólu, ale mniej szczęśliwi
- 18 **ILIAN MIHOV** Dlaczego Europa przegrywa
- 22 **ACEMOĞLU / DOMAŃSKI** Wygrać wyścig AI
- 26 **MARTIN VOHÁNKA** W kosmosie nie ma kosza na śmieci
- 30 **ANDRZEJ STASIUK** Jestem metafizykiem przestrzeni

SPOŁECZEŃSTWO

- 34 **Demografia i jej mity**
Krystyna Romanowska
- 38 **Europa bez dzieci. Co czeka gospodarkę**
Marek Skawiński, Michał Kulbacki

TECHNOLOGIE

- 44 **Czy demokracja przetrwa rewolucję AI**
Kasper Kalinowski

ZDROWIE

- 48 **Robert Jarema: Pod batutą testosteronu**
Kasper Kalinowski

KULTURA

- 52 **Podłączeni do Muska**
Julian Kutyla
- 56 **Agnieszka Duczmal & Anna Duczmal-Mróz: Partytura i magia**
Karol Furtak

MIASTO

- 62 **Sztuka na spacerze**
Filip Czekala
- 66 **Niepowtarzalny Bukareszt**
Małgorzata Rejmer
- 70 **Warszawa – miasto kompletne**
Angelika Kucińska

WYJDŹMY Z SIECI, ZANIM STRACIMY KONTAKT

Jeśli chcemy przetrwać, musimy przywrócić wartość bezpośrednim kontaktom w świecie rzeczywistym, twierdzi Martin Vohánka, czeski przedsiębiorca zaangażowany w obronę demokracji, laureat Philanthropic Impact Award. – Kiedy ludzie o różnych poglądach siadają przy jednym stole i rozmawiają, polaryzacja znika, a zaczyna się szukanie rozwiązań – mówi. Internet miał nas łączyć. Zamiast tego algorytmy zamknęły nas w osobnych światach. Dał nam nieograniczoną łączność, ale utrudnił rozmowę. Polaryzujące treści zagłuszają fakty. Emocja wygrywa z namysłem.

A Europa nie ma dziś czasu na głuchy telefon. Jak odzyskać konkurencyjność? Czy gospodarka wytrzyma kryzys demograficzny? Czy najbliższe wybory wygra kandydat, który będzie dysponował lepszą AI? Odpowiedzi nie znajdziemy w komentarzach pod postami. Żeby obrać kurs, trzeba dziś wyjść poza ekran – spotkać się z tymi, którzy potrafią czytać mapę zmian.

Przybywa tematów, z którymi nie należy zwlekać. 2 września po raz pierwszy spotkamy się w Warszawie na Impact Leading Minds. Nowy format będzie intensywny, kameralny, skondensowany – esencja dekady doświadczeń Impactu. W ubiegłym roku Money.pl przyznał nam nagrodę Brands from Poland za budowanie polskiej marki za granicą. To duma i zobowiązanie. 29 i 30 września wrócimy do Bukaresztu po raz trzeci, by na Impact SEE wymienić doświadczenia w gronie liderów Europy Południowo-Wschodniej.

Zanim spotkamy się w Warszawie i Bukareszcie, rozmowę zaczynamy na łamach magazynu. Ilian Mihov, profesor ekonomii w INSEAD, wyjaśnia, dlaczego Europa przegrywa rywalizację w dziedzinie produkcji i technologii. Analizuje także, czy europejskie państwo dobrobytu da się jeszcze utrzymać. W numerze szukamy przyczyn spadku dzietności i sposobów na poprawę demografii. Jesteśmy ciekawi, co na ten temat powie na Impact Leading Minds autorytet – prof. Francesco Billari. Ryan Reynolds, superbohater marketingu i gość Impact SEE, znalazł Świętego Graala wszystkich marek. Sprawdzamy, co jest marketingowym ideałem.

Profesor Anna Lembke ostrzegała podczas Impact'25 przed uzależnieniem od cyfrowej dopaminy. Teraz tłumaczy, dlaczego straciliśmy tolerancję na dyskomfort, a życie, które miało być łatwiejsze, okazuje się coraz mniej szczęśliwym. Z niecierpliwością czekamy na jej wystąpienie w Bukareszcie. O dyskomforcie wiele wie Lindsey Vonn, gościni Impact Leading Minds, która w narciarstwie osiągnęła wszystko, a mimo to wciąż chce wracać na stok. Piszemy, dlaczego tak kocha wyzwania.

We wrześniu wyzwania czekają także nas. Wszystkie wymienione rozmowy przeniesiemy z papieru na scenę.

Do zobaczenia w Warszawie i Bukareszcie.

Krystian Wolak, twórca Impactu

impact MAGAZINE

WYDAWCA: Impact Foundation, ul. Stawki 3a, lok. 47, 00-193 Warszawa

DYREKTORKA WYDAWNICZA: Katarzyna Sokołowska

REDAKTORKA NACZELNA: Anna Frątczak

DYREKTORKA ARTYSTYCZNA: Joanna Dobkowska / I Believe In Paper

PROJEKT MAKIETY: Joanna Dobkowska / I Believe In Paper

AUTORKI I AUTORZY: Sławomir Sierakowski, Jerzy Wójcik, Krystyna Romanowska, Marek Skawiński, Michał Kulbacki / XYZ,

Katarzyna Wężyk / Newsweek, Michał Wąsowski / Money.pl, Kasper Kalinowski, / Gazeta Wyborcza, Julian Kutyla, Małgorzata Rejmer, Anna Frątczak, Anna Kwiatkowska / Gazeta Wyborcza, Angelika Kucińska Karol Furtak / Program 2 Polskiego Radia, Filip Czekala / TVN24

ILUSTRACJE: Renata Miklewska

WSPÓŁPRACA REDAKTORSKA: Anita Szarlik, Julia Pańków, Anita Zuchora

WSPÓŁPRACA FOTOEDYTORSKA: Rafał Chmielewski

KOREKTA: Marek Kowalik

DTP: SETMEDIA Marek Adamski

A close-up portrait of actor Ryan Reynolds. He is wearing a black tuxedo jacket over a white dress shirt and a black bow tie. He has short, wavy brown hair and a light stubble. He is looking slightly off-camera with a subtle smile. The background is a solid, vibrant red.

MARKETING GODNY OSCARA

RYAN REYNOLDS | mówca IMPACT SEE

Większość z nas zna go jako sarkastycznego superbohatera Deadpoola. Ale Ryan Reynolds to przede wszystkim skuteczny przedsiębiorca i genialny marketingowiec. Dobrym żartem potrafi sprzedać dżin, abonament telefoniczny, a nawet podupadający walijski futbol.

TEKST: Anna Frątczak

Autoironiczny, błyskotliwy, ostentacyjnie pewny siebie, a jednocześnie udawanie nieporadny – tak przedstawia Reynoldsa Chris Thilk, amerykański analityk marketingu. Ale można krócej, trafniej: – Ryan to współczesny Charlie Chaplin – mówi Hugh Jackman, przyjaciel aktora. I tak jak wszyscy uwielbiali kiedyś Chaplina – za jego urok i wywrotki na skórcie od banana – tak dziś uwielbiają Reynoldsa – za jego wdzięk i żarty na granicy żenady. Ryan nie gwiazdorzy. Ma vibe sympatycznego gościa, z którym można przegadać całą noc, popijając promowany przez niego dżin.

To, że gwiazdy promują różne produkty, nie jest niczym niezwykłym, ale Ryan Reynolds gra w innej lidze. Kupuje udziały w firmach, reklamuje ich produkty za pomocą pełnych humoru filmików w social mediach, a gdy biznesy zyskują sławę i obroty – sprzedaje je z wielomilionowym zyskiem. Zainwestował m.in. w markę Aviation Gin, operatora komórkowego Mint Mobile, walijski klub piłkarski Wrexham AFC i wiele innych przedsięwzięć. W 2024 r. firmy z jego portfela wyceniano łącznie na 14 mld dol. Jego własny majątek szacuje się na 350 mln.

Kanał Reynoldsa na YouTube, na którym można obejrzeć wszystkie reklamy jego autorstwa, ma 4,60 mln subskrybentów. Niektóre filmiki mają miliony wyświetleń, setki tysięcy reakcji i komentarzy. Jeszcze większe zasięgi ma jego Instagram, który obserwuje 49,3 mln ludzi. Liczba reakcji idzie niekiedy w setki tysięcy, a posty miewają po kilka tysięcy udostępnień. I muszę przyznać, że ten content naprawdę wciąga. Robiąc research do tego tekstu, przepadałam na kilka godzin, oglądając reklamy.

Jak mu się to udaje? Reynolds po prostu „umie w marketing”. Sprawia, że jako odbiorcy czujemy się tak samo fajni i bystrzy jak on. Razem z Ryanem śmiejemy się z tego, jak działa reklama, a jednocześnie oglądamy ją do samego końca i polecamy znajomym. Genialne!

DEADPOOL, CZYLI MARKETING Z NIEWYPARZONĄ GĘBĄ

Urodził się w Vancouver jako czwarty, najmłodszy syn w rodzinie. Szybko odkrył, że rozśmieszanie trzech starszych braci (a dokładnie ośmieszanie samego siebie) jest świetną strategią samoobrony i pomaga w osiągnięciu własnych celów. – Autodeprecjonujący humor to coś, z czego my Kanadyjczycy jesteśmy znani na całym świecie – mówił w wywiadzie dla

ZDJĘCIE: DIMITRIOS KAMBOURIS / GETTY IMAGES

„Maclean’s”. Dziś może się wydać śmieszne, że złożył papiery na vancouverką politechnikę. Na uczelni nie spędził jednak nawet dnia. Spotkał kolegę, aktora, Chrisa Williama Martina, który namówił go do wyjazdu do Los Angeles i próbowania sił w aktorstwie. Wypracowana w domu *vis comica* została dostrzeżona. Reynolds dostał angaż w sitcomie „Two Guys, a Girl and a Pizza Place”, gdzie po raz pierwszy pokazał swój komediowy styl.

Grywał w lepszych i gorszych komediach romantycznych, a równocześnie próbował sił w filmach o superbohaterach. Zdobył role drugoplanowe w produkcjach „Blade: Trinity” oraz w „X-Men Geneza: Wolverine”. W tym ostatnim wcielił się w Deadpoola – bohatera znanego z ciętego humoru, autoironii i burzenia „czwartej ściany”, czyli nawiązywania bezpośredniego kontaktu z widzami. Problem w tym, że studio podjęło kuriozalną decyzję, by zaszyć Deadpoolowi usta. Dosłownie.

Nie spodobało się to Reynoldsowi, który już wcześniej chciał stworzyć własną wersję „najemnika z niewyparzoną gębą”. W końcu przekonał szefów studia Fox, by dali Deadpoolowi jeszcze jedną szansę, tym razem w roli głównej, i został współproducentem filmu. Produkcja ze względu na przemoc i ostry język dostała kategorię R, czyli „z ograniczeniami wiekowymi”. Budżet na nią był niewielki, ale Reynolds przyjął to za dobrą monetę, wierząc, że nadmiar pieniędzy zabija kreatywność. Na promocję przeznaczono równie skromne środki, więc wspólnie z George’em Deweyem, ówczesnym szefem marketingu cyfrowego w Foksie, postanowili promować produkcję nieszablonowo.

Nie skupili się na filmie, tylko na bohaterze. I pojechali po bandzie! Reynolds wcielał się w postać także poza planem. Pojawiał się publicznie w kostiumie, brał udział w programach telewizyjnych i akcjach specjalnych, jako Deadpool sarkastycznie komentował bieżące wydarzenia. Wykorzystał także prywatne konta w social mediach. – Twórcy tej kampanii doskonale rozumieli, czym karmi się internetowy widz, a w szczególności miłośnik kina gatunkowego. Trafnie postawili na rozbudowanie świata filmu, czyli *story world*: stworzyli rozrywkowe treści tak spójne z filmem, że można

je potraktować niemal jako jego przedłużenie. Widzowie otrzymali serię zabawnych skeczy, klipów i memów z udziałem Deadpoola, dzięki którym mogli dłużej obcować z ulubionym bohaterem i jego specyficznym poczuciem humoru. Zazwyczaj tego rodzaju materiały powstają z inicjatywy najbardziej zagorzałych fanów i z myślą o równie zagorzałych fanach – mówi Joanna Solecka, strażniczka marketingu filmowego, szefowa warszawskiego oddziału międzynarodowej agencji Alphapanda i konsultantka ds. nagród filmowych.

Kampania reagowała na bieżące wydarzenia, takie jak święta czy Super Bowl. Film miał mieć premierę tuż przed walentynkami. Zamiast z tym walczyć, twórcy robili coś absurdalnego – w trailerach i innych materiałach zaczęli udawać, że „Deadpool” jest komedią romantyczną. Dopiero po chwili widz orientował się, że chodzi o brutalny film o superbohaterze. Deadpool miał swój profil na Tinderze, założono nawet konto promujące film na Pornhubie. – Kampania walentynkowa była znakomita, ponieważ traktowała widza poważnie, tyle że w zupełnie niepoważnej formie. Oglądając ją, nie miałeś poczucia, że ktoś cię wkręca, ale że należysz do ekskluzywnego grona wtajemniczonych, zdolnych odczytać tę ironię. Taki zabieg jeszcze mocniej wiąże fanów z filmem – zauważa Joanna Solecka.

Pierwszy „Deadpool” z 2016 r. z Reynoldsem jako producentem zarobił blisko 783 mln dol. Trzeci z serii, czyli „Deadpool & Wolverine” z 2024 r., – 1,3 mld dol., stając się najbardziej kasowym filmem w kategorii R w historii.

AUTORESPONDER ROBI ROBOTĘ

Współpraca Reynoldsa z Deweyem okazała się na tyle udana, że w 2018 r. założyli firmę produkcyjno-reklamową Maximum Effort, która bazowała na doświadczeniach zdobytych podczas promowania pierwszego „Deadpoola”. Aktor został jej dyrektorem kreatywnym, a Dewey prezesem.

W tym samym roku majątek zarobiony na filmie gwiazdor zainwestował w Aviation Gin – słabo rozpoznawalną markę produkującą rzemieślniczy dżin. Objął funkcję dyrektora kreatywnego i zaproponował strategię marketingową opartą na swoim charakterystycznym poczuciu humoru i ekranowej personie.

Zaczął skromnie – od podania swojego nowego służbowego maila. I stało się. Serwery marki nie wytrzymały zalewu korespondencji od fanów, co Reynolds skomentował na swoim Twitterze: „Aviation Gin cieszy się ostatnio dużym zainteresowaniem. 20 tys. maili dziennie zawiesiło nasze serwery. Godzinę temu dowiedziałem się, że mamy dział IT. Wyglądają na wyjątkowo trzeźwych”. Clou całej akcji był jednak autoreponder, który piszący maile otrzymywali od Ryana. Zaznaczał, że jako właściciel marki nie zamierza się wymądrzać jak jakiś hollywoodzki bufon. Nie będzie „rozpyływał się nad wyrafinowanymi nutami jałowca” i „subtelными nutami lawendy, rosy i leśnej ściółki, nadającymi trunkom poetycki charakter”. A dżin smakuje po prostu jak „dżin dla wszystkich”. Po inwestycji Reynolds, w 2019 r., sprzedaż Aviation Gin wzrosła o ponad 100 proc. Rok później firma została przejęta przez koncern Diageo w ramach transakcji wycenianej na maksymalnie 610 mln dol.

– Jest bardzo sprytny w tym, co robi. Sprawia, że my odbiorcy czujemy się tak samo bystrzy jak on. Reklama, w której podważa paradygmat komunikacji świata alkoholi, jest tego doskonałym przykładem. Czujemy się współnikami tego przekrętu. Razem z Ryanem śmiejemy się z tego, jak działa marketing, a jednocześnie jesteśmy jego odbiorcami – zauważa Małgorzata Majcher, dyrektorka ds. strategii i innowacji w TBWA Warszawa, laureatka tytułu AdWoman 2025.

Po dżinie Reynolds postawił na telekomunikację. Kupił ok. 25 proc. udziałów w Mint Mobile – wirtualnym operatorze telefonii komórkowej. I tu też zaangażował się w kampanie reklamowe osobiście. Efekt? Między 2017 a 2020 r. przychody Mint Mobile wzrosły o blisko 50 tys. proc. Pięćdziesiąt tysięcy procent! W 2024 r. spółkę przejął T-Mobile. Wartość transakcji szacowano na 1,35 mld dol. Choć gwiazdor nie jest już udziałowcem, pozostał ambasadorem marki i pełni w niej funkcję kreatywną.

STORYTELLING JEST FUNDAMENTEM WSZYSTKIEGO

Po sukcesach Aviation Gin i Mint Mobile wydawało się, że nieznane firmy z dobrym produktem to dla Reynoldsa idealny model inwestowania. Ale w środku pandemicznego roku 2020



Jako współproducent „Deadpoola” Reynolds miał duży wpływ na humor i charakter bohatera, a scenarzystom zapłacił z własnej kieszeni, by mogli pracować z nim na planie. Ryzyko się opłaciło: Deadpool stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych bohaterów Marvela.

PIERWSZY „DEADPOOL” ZAROBIŁ BLISKO 783 MLN DOL. TRZECI Z SERII, CZYLI „DEADPOOL & WOLVERINE” – 1,3 MLD DOL., STAJĄC SIĘ NAJBARDZIEJ KASOWYM FILMEM W KATEGORII R W HISTORII.



Ryan Reynolds i Blake Lively poznali się w 2010 r. na planie filmu „Green Lantern”. Parę zostali rok później, a w 2012 r. wzięli ślub. Mają czworo dzieci: trzy córki – James, Inez i Betty – oraz syna Olina.

**KOCHAM MARKETING.
TO TAKIE ODCHUDZONE
OPOWIADANIE HISTORII.
NA REKLAMY MOŻNA
PATRZEĆ TAK SAMO JAK
NA FILMY. ROBIENIE
JEDNYCH I DRUGICH DAJE
MI DUŻĄ SATYSFAKCJĘ.**

zadzwoił do niego aktor Rob McElhenney z pomysłem sponsorowania walijskiego klubu piłkarskiego Wrexham AFC, grającego wówczas na piątym poziomie rozgrywek. McElhenney opowiedział o swojej wizji serialu dokumentalnego o podupadłym mieście, którego losy od pokoleń splatają się z losami lokalnego klubu. A Reynolds, który uważa, że „storytelling jest fundamentem wszystkiego”, od razu dostrzegł potencjał tej historii. Zaproponował, by zamiast sponsoringu kupili klub.

Współprodukowany przez jego firmę Maximum Effort „Welcome to Wrexham”, dokumentujący drogę klubu przez kolejne awanse, miał premierę w sierpniu 2022 r. na FX, Hulu i Disney+. Od tamtej pory zdobył już 10 nagród Emmy. Reynolds i McElhenney pojawiają się na ekranie, ale głównymi bohaterami są mieszkańcy miasteczka: miejscowy malarz, właściciel pubu, wierni kibice pamiętający lepsze czasy, piłkarze, ich rodziny i wolontariusze pracujący dla klubu. Poznajemy ludzi i ich stawkę emocjonalną. Kibicujemy tak naprawdę im.

Zazwyczaj to utytułowane drużyny stają się bohaterami filmów. Reynolds i McElhenney odwrócili ten porządek – i osiągnęli bezprecedensowy efekt. Serial przyciągnął amerykańską publiczność, raczej obojętną wobec piłki nożnej, która zaczęła kibicować niewielkiemu walijskiemu klubowi. – W rok po premierze Wrexham zarobił 360 tys. funtów na samej sprzedaży gadżetów. Klub stał się niesamowicie popularny w Stanach Zjednoczonych. Od 2023 r. regularnie rozgrywa tam mecze w okresie przedsezonowym, przyciągając na trybuny dziesiątki tysięcy kibiców – mówi Mikołaj Śmiłowski, dziennikarz XYZ.pl, autor serii „Wyspa Futbolu” poświęconej angielskiej piłce. W sezonie 2024/2025 Wrexham odnotował 33 mln funtów przychodów, aż 24 mln funtów z tej kwoty przyniosła działalność komercyjna, a 58 proc. tych wpływów pochodziło spoza Wielkiej Brytanii. Sukces finansowy przełożył się na wyniki. Klub z Walii był pierwszym w historii angielskich lig piłkarskich, który przez trzy lata z rzędu awansował na wyższy szczebel rozgrywek.

Piłkarze Wrexham wystąpili w reklamie emitowanej podczas Super Bowl, mieli też epizodzik w „Deadpool & Wolverine”. Klub przyciągnął

ZDJĘCIE: PAUL GREENWOOD / SHUTTERSTOCK / EAST NEWS

takich sponsorów jak United Airlines, Aviation Gin oraz Betty Buzz – markę napojów należącą do żony Reynoldsa, aktorki Blake Lively. Tuż po zakupie klubu fundatorem koszułek został TikTok, a profil drużyny na tej platformie zgromadził ponad 1,6 mln obserwujących – jak na klub, który jeszcze niedawno występował poza ligą zawodową, to fenomen bez precedensu. – Przykład Wrexham pokazuje, że klub piłkarski może być bardziej firmą medialną niż sportową. Dowodzi, że we współczesnym sporcie content, czyli treść, liczy się tak samo jak wyniki. Ten, kto lepiej wykorzysta marketing, uzyska wyższe przychody i będzie mniej zależny od pieniędzy z transmisji – zauważa Mikołaj Śmiłowski. Jego zdaniem chyba nie było celebryty, który w biznesie wykazałby się tak dużym sprytem jak Ryan Reynolds. – W świecie futbolu doprowadził do perfekcji model biznesowy, który w przeszłości nieudolnie próbowało zastosować wielu. Dokonał rzeczy pozornie niemożliwych i jeżeli uda mu się najtrudniejsze, czyli wygenerować zysk netto z działalności klubu, to będzie można o nim mówić jak o biznesowej legendzie – dodaje.

ŚWIĘTY GRAAL MARKETINGU

A jak to komentuje sam Reynolds? – Kocham marketing – przyznaje. – To takie odchudzone opowiadanie historii. Na reklamę można patrzeć dokładnie tak samo jak na film. Robienie jednych i drugich daje mi ogromną satysfakcję – powiedział magazynowi „Time”. Podkreślił jednak, że nie można do reklam podchodzić z przesadnym nabożeństwem i że kluczowa jest szczerść – jeśli uczciwie przyznajesz odbiorcy, że próbujesz mu coś sprzedać, stajesz się autentyczny.

Ale to chyba nie wszystko – Reynolds znalazł coś, co jest Świętym Graalem wszystkich brandów. Sprawił, że reklama stała się rozrywką, którą ludzie chcą oglądać, udostępniać, ba! czekać na kolejne – mówi Małgorzata Majcher. U Reynoldsa produkt pojawia się trochę przy okazji. Liczy się żart, historyjka, zabawna sytuacja. Aktor nie tylko sam gra w swoich reklamach, ale też zaprasza do nich inne gwiazdy, m.in. aktora Hugh Jackmana (grał w „Deadpoolu” postać Wolverine’a), z którym od kilkunastu lat prowadzi udawany, medialny „spór”, a ich przekoma-

rzanki niejednokrotnie służyły promocji filmów i należących do nich marek, zdobywając milionowe zasięgi.

Zdaniem Małgorzaty Majcher sukces marketingu Reynoldsa opiera się na jeszcze jednym filarze – aktor doskonale wyczuwa momenty kulturowe. Gdy sztuczna inteligencja stała się globalnym tematem, poprosił ChatGPT o napisanie reklamy Mint Mobile i po prostu ją odczytał. W środku pandemicznego lockdownu stworzył dla aplikacji randkowej Match.com reklamę, w której algorytm znajduje dla Szatana idealną partnerkę – kobietę o imieniu 2020. Spędzają randki na opustoszałym stadionie, oglądają film w pustym kinie, kradną papier toaletowy i z zachwytem obserwują chaos wokół siebie. – Błyskawicznie wyczuwa emocje, którymi w danym momencie żyje mnóstwo ludzi. Nie musi tracić czasu ani środków na opowiadanie tła historii, ponieważ paliwem reklamy jest już istniejące zainteresowanie społeczne – zauważa dyrektorka ds. strategii i innowacji w TBWA Warsaw. W tej taktyce liczy się szybkość, aktor ma na to nawet termin: fastvertising.

Sam Reynolds też przyspiesza. Po spektakularnym sukcesie drużyny z Wrexham poszedł za ciosem i kupił udziały w zespole Formuły 1 Alpine, australijskiej ekipie SailGP i meksykańskim klubie Necaxa, którego współwłaścicielką jest Eva Longoria.

Maximum Effort także nie zwalnia tempa. W 2025 r. spółka znalazła się na liście 100 najbardziej wpływowych firm magazynu „Time”. Już 4 września na platformę Apple TV wejdzie film „Mayday”, w którym Reynolds gra jedną z głównych ról u boku Kennetha Branagha. Aktor jest także producentem wykonawczym filmu z ramienia Maximum Effort, która współprodukuje obraz.

Równocześnie trwają prace nad kolejnym sezonem „Welcome to Wrexham”, a serial o meksykańskim klubie Necaxa miał premierę w ubiegłym roku i jest dostępny na Disney+. Jak dotąd nie powtórzył sukcesu „Welcome to Wrexham”. W lipcu Reynolds potwierdził oficjalnie, że jednak powstanie czwarta część „Deadpola”. Nowa odsłona skupi się na wydarzeniach z komiksów, których nie pokazano jeszcze w kinie. Nie możemy się doczekać! Przecież czwarte dziecko jest zwykle najzabawniejsze. ■

ALPEJKA Z TYTANU

Mogła poprzestać na imponującym dorobku: 20 Kryształowych Kulach, ponad 80 pucharowych zwycięstwach i olimpijskim złocie w zjeździe. Zamiast tego po niemal sześciu latach przerwy Lindsey Vonn wróciła na stok i jako pierwsza alpejka po czterdziestce wygrała zawody Pucharu Świata.

TEKST:
Anna Kwiatkowska,
Gazeta Wyborcza

Lindsey Vonn ma w Stanach Zjednoczonych status celebrytki, choć narciarstwem alpejskim interesuje się tam garstka kibiców. Ma wszystko, co do tego potrzebne: jest atrakcyjna, bogata, dobrze radzi sobie w social mediach (3,6 mln obserwujących na Instagramie, 1,9 mln na Facebooku), nie ma obaw przed dzieleniem się życiem prywatnym, bywa na czerwonych dywanach, pozuje do zdjęć w bikini (a nawet bez), zna inne gwiazdy (w tym naszą Ięgę Świątek), udziela się charytatywnie i mówi to, co myśli. Ale niech nikogo nie zwiedzie ta celebrycka otoczka. Lindsey Vonn, zanim w lutym 2019 r. w wieku 33 lat zakończyła (wtedy wydawało się, że definitywnie) karierę, zdobyła wszystko, co w narciarstwie alpejskim można zdo-

być: cztery wielkie Kryształowe Kule dla najlepszej zawodniczki sezonu, 16 małych Kul za wygranie klasyfikacji w jednej konkurencji, medale olimpijskie – złoto, czyli trofeum, które w Ameryce znaczy najwięcej, i dwa brązy, medale mistrzostw świata – dwa złote, trzy srebrne i trzy brązowe. W grudniu 2024 r. – kilka miesięcy po 40. urodzinach, po prawie sześciu latach sportowej emerytury – ponownie stanęła w bramkach startowych. W Pucharze Świata od grudnia 2024 r. do lutego 2026 r. sześć razy zajęła miejsce na podium, z czego dwa razy zwyciężyła. Wielu świetnych alpejczyków nie osiągnęło przez kilkanaście lat tyle, co ona w 13 miesięcy. 10 stycznia 2026 r., w dniu swojego 84. (jak na razie ostatniego) zwycięstwa, Vonn miała 41 lat, 2 miesiące i 23 dni. Najstarsza do tej pory zwyciężczyni w alpejskim Pucharze

ZDJĘCIE: MATEO SGAMBATO / AGENCY ZOOM / GETTY IMAGES

LINDSEY VONN | mówczyni IMPACT LEADING MINDS



LINDSEY VONN
jedna z najwybitniejszych
narciarek alpejskich
w historii. Zdobyła trzy
medale olimpijskie, w tym
złoto w zjeździe w Vanco-
uver w 2010 r., oraz osiem
medali mistrzostw świata.
Czterokrotnie triumfowała
w klasyfikacji generalnej
Pucharu Świata, zdobyła
20 Kryształowych Kul
i wygrała 84 zawody tego
cyklu. Jako 41-latką zosta-
ła najstarszą zwyciężczynią
zawodów Pucharu Świata
w historii.



12 grudnia 2025 r. Lindsey Vonn wygrała zjazd zaliczany do alpejskiego Pucharu Świata w St. Moritz. W wieku 41 lat została najstarszą triumfatorką zawodów Pucharu Świata w historii narciarstwa alpejskiego.

Świata, Federica Brignone, była młodsza o ponad sześć lat. Vonn zajmowała pierwsze miejsce w klasyfikacji zjazdowej jeszcze na początku marca, na dwa tygodnie przed finałami Pucharu Świata. Gdyby nie kraksa na igrzyskach, jej kolekcja Kryształowych Kul prawdopodobnie powiększyłaby się o kolejny egzemplarz.

SPORT DLA SZALEŃCÓW

Narciarstwo wyczynowe to sport piękny, ale i okrutny. Zwycięzców od przegranych często dzieli zaledwie kilka setnych sekundy. To też sport bardzo wrażliwy na kaprysy natury. Podmucha wiatru, chmura, przeblask słońca – zależy, co wylosujesz w pogodowej loterii – może zniweczyć twój wysiłek albo zrobić z ciebie

STRACH NIE JEST ELEMENTEM UKŁADANKI. NIE BIORĘ GO POD UWAGĘ. OCZYWIŚCIE OCENIAM RYZYKO, ALE POD KĄTEM TEGO, JAK POJECHAĆ, BY WYGRAĆ.

LINDSEY VONN | mówczyni IMPACT LEADING MINDS

bohatera dnia. Żeby trenować zjazd, czyli koronną konkurencję Vonn, trzeba nie mieć jakiegś klepki w mózgu – albo wręcz przeciwnie, mieć jedną dodatkową. Zjazdowiec na twardej jak skała, stromej, często nierównej trasie przekracza prędkość dopuszczalną na autostradzie. A w razie upadku chronią go tylko kask i poduszka powietrzna na karku. Cienki aerodynamiczny kombinezon trudno nazwać jakąkolwiek ochroną.

– Strach nie jest elementem układanki. Nie biorę go pod uwagę. Oczywiście oceniam ryzyko, ale pod kątem tego, jak pojechać, by wygrać – opowiadała Vonn w 2017 r. w CBS News. Kariera Amerykanki przebiegała w rytmie: sukces – kontuzja – rehabilitacja – powrót. Za każdym razem, gdy zwożono ją z trasy toboganiem lub odlatywała helikopterem, zapowiadała, że wróci.

Na liście części ciała, które w ciągu kilkunastu lat naraziła na szwank, są: oba kolana, kostka, ramię, bark, nadgarstek, mały palec u ręki oraz kciuk, który zraniła, otwierając szampana po jednym ze zwycięstw. Kilka razy – a pewnie i więcej, bo nie po każdym upadku decydowała się na badania – miała wstrząśnienie mózgu.

Przez sześć lat Vonn ściagała się z niesprawnym i bolącym prawym kolaniem. To przez nie po mistrzostwach świata w Åre w lutym 2019 r. zakończyła karierę. Zakończyła po swojemu: z trasy supergiganta wypadła i mocno się potłukła, a kilka dni później wywalczyła brąz w zjeździe. Koniec zawodowego ścigania nie oznaczał, że ból minął. – Przez ponad 10 lat nie byłam w stanie w pełni wyprostować prawej nogi i normalnie chodzić – powiedziała w niemieckiej telewizji Sport1 w kwietniu 2024 r. Chwilę wcześniej Vonn zdecydowała się na wszczęcie w prawe kolano częściowej protezy z tytanu. Za pół roku (Lindsey urodziła się 16 października 1984 r.) miała jej stuknąć czterdziestka. Normalny człowiek w jej wieku, nawet emerytowany sportowiec, pomyślałby wtedy na przykład: „Fajnie, będę mógł chodzić na długie spacerzy”. Co pomyślała Vonn? „Fajnie, to chyba wrócę do ścigania się na nartach”.

Powrót Lindsey Vonn bardzo zdenerwował wielu ekspertów i byłych alpejczyków. Szczególnie zajadle (a może po prostu zazdrosne?) były starsze koleżanki Vonn, które kariery po-

kończyły w okolicach trzydziestki. – Lindsey wraca, bo nie umie żyć poza światłem reflektorów. Jest mi jej żal. Nie wierzyłam, że jest aż tak głupia, żeby naprawdę próbować się ściagać z metalem w kolanie – tak komentowała Szwajcarka Sonja Nef, 54-letnia była mistrzyni świata, która też ma protezę kolana. – Czy ona chce się zabić? Moja rada dla Lindsey: powinna odwiedzić psychologa – to słowa 53-letniej podwójnej mistrzyni olimpijskiej, Austriaczki Michaeli Dorfmeister.

Odpowiedziała im – dość pompatycznie – na Instagramie po swoim pierwszym po powrocie zwycięstwie. Ujęciom z trasy w St. Moritz towarzyszy głos Theodore’a Roosevelta. To słynny fragment z jego przemówienia na Sorbonie w 1910 r. „Nie krytyk się liczy; nie ten, który wskazuje, jak potyka się silny. (...) Chwała należy się człowiekowi, który jest na arenie, którego twarz jest umazana kurzem, potem i krwią; który dzielnie walczy, który błądzi, który raz po raz ponosi porażkę” – peroruje 26. prezydent USA. Lindsey dodaje od siebie: „Do wszystkich, którzy mówili, że nie dam rady, że mój czas minął. (...) Dziękuję wam. Ale nie wróciłam dla was. Zrobiłam to dla siebie. (...) Wam, hejterzy, dziękuję za dodatkową motywację do wysiłku”.

Dziewięć dni przed walką o kolejne olimpijskie złoto Vonn zerwała więzadło w lewym – tym mniej uszkodzonym – kolanie. Wtedy wszyscy, nawet jej sztab, byli pewni, że to koniec. A co na to Vonn? Na pięć dni przed olimpijskim zjazdem zwołała konferencję. I zapowiedziała: – Wiem, że moje szanse już nie są tak wielkie jak przed wypadkiem. Ale są. A dopóki są, to muszę spróbować.

NIE ZNOSI SŁOWA „NIE”

Vonn nie znosi, gdy się jej mówi, że czegoś jej nie wolno albo że czegoś nie potrafi. – To mnie dopiero nakręca. Wtedy zrobię wszystko, żeby udowodnić, że jest odwrotnie – tłumaczy.

Kiedy w wieku 16 lat po raz pierwszy trafiła do kadry, podsłuchiwała, jak starsze koleżanki i trenerzy mówią, że niczego specjalnego się po niej nie spodziewają. Nie miała wyjścia – musiała im pokazać, na co ją stać.

Miała 23 lata, gdy postanowiła wyjść za mąż za starszego o dziewięć lat zawodnika (a potem

jej trenera) Thomasa Vonna. Od tego pomysłu próbował odwieść ją ojciec. Posłuchała? A gdzie tam! Przez kolejne lata po prostu nie rozmawiała z ojcem. Choć to on miał rację, bo małżeństwo nie było udane i po kilku latach zakończyło się trudnym rozводом.

Vonn kilka razy próbowała przekonać działaczy FIS, żeby pozwolili jej ścigać się z mężczyznami. – Trenuję z nimi i wiem, że od wielu jestem po prostu szybsza. Jasne, ze wszystkimi nie wygram, ale chciałabym sprawdzić się z najlepszymi i zobaczyć, jak wypadnę – tłumaczyła w rozmowie z Grahamem Bensingerem na jego kanale na YouTube w 2020 r. Ale działacze zostali nieugięci, bo to „wbrew zasadom”.

W 2023 r., w czasie swojej przerwy w ściganiu, Vonn zagrała działaczom na nosie. Jako pierwsza kobieta przejechała po Streifie – trasie legendarnego męskiego zjazdu w Kitzbühel. I to w nocy. FIS nie pozwolił jej się ścigać z mężczyznami? To ona pościga się sama ze sobą na tej najbardziej męskiej z tras.

W POGONI ZA OLIMPIJSKIM ZŁOTEM

Amerykanie, wpatrzeni w swoich futbolistów, koszykarzy i bejsbolistów, inne sporty dostrzegają w rytmie igrzysk. Chcesz mieć swoje pięć minut? Przywieź olimpijski medal, najlepiej złoty. Nie udało się? Następna szansa za cztery lata.

Przed Mediolanem–Cortiną 2026 w igrzyskach Vonn startowała cztery razy. Zadebiutowała jeszcze jako nastolatka w 2002 r. Jej szóste miejsce w kombinacji było niespodzianką. Cztery lata później do Turynu jechała jako faworytka. Miała przywieźć złoto, może dwa. Rozbiła się na treningu zjazdu, jeszcze przed ceremonią otwarcia. Ze stoku zabrał ją helikopter. Lekarze podejrzewali, że mogła złamać kręgosłup. Okazało się, że miała szczęście i jest tylko bardzo mocno poobijana. Wystartowała, ale do medalu nawet się nie zbliżyła. W swojej autobiografii „Rise: My Story” Vonn podkreśla, że porażka w Turynie wiele ją nauczyła: „Zrozumiałam, że wszystko może zostać odebrane w każdej chwili, więc trzeba doceniać każdy dzień, każdy wyścig”.

Upragnione złoto wywalczyła w zjeździe w 2010 r. w Vancouver. Z tych igrzysk przywiozła też brąz w supergigancie. Szanse na występ w Soczi Vonn straciła przez krakę w Schladming rok przed początkiem igrzysk. Bardzo poważnie uszkodziła wtedy prawe kolano. To, które lekarze naprawili jej dopiero w 2024 r. Po operacji za wcześniej wróciła na stok. I ponownie nade-

rwała więzadło. Po miesiącu rehabilitacji znów zaczęła trenować. Poddawa się dopiero miesiąc przed startem igrzysk. „Okazało się, że bez więzadła krzyżowego nie jestem w stanie ścigać się na najwyższym poziomie” – napisała w swoich mediach społecznościowych.

Z Pjongczangu przywiozła brąz. Liczyła na więcej. Do igrzysk przygotowywała się ostrożnie. Chciała dotrzeć do nich bez kontuzji. Dawkowała sobie starty. „Każdy posiłek, każda sesja na siłowni w ciągu ostatnich dwóch lat, wszystko było podporządkowane tym dwóm minutom na trasie zjazdu” – wspominała w „Guardianie” Karin Kildow, siostra Lindsey.

WSZYSTKO NA JEDNĄ KARTĘ

Lindsey Vonn podkreślała: gdyby konkurencje alpejskie kobiet nie były na igrzyskach rozgrywane na trasie Olympia delle Tofane w Cortinie d’Ampezzo, jej powrotu mogłoby nie być. Bo z tą trasą Amerykanka ma specjalną relację: między rokiem 2008 a 2018 wygrała tu sześć zjazdów i sześć supergigantów. Tylko czy ulubiona trasa może zrekompensować brak więzadła w kolanie? Wątpliwości miał nawet Aksel Lund Svindal, były wybitny alpejczyk i przyjaciel Vonn, który zgodził się zostać jej trenerem na ten olimpijski sezon. Ale kiedy zobaczył swoją zawodniczkę na ostatnim oficjalnym treningu przed startem, wątpliwości zniknęły. 8 lutego o godz. 11.30 Vonn po raz czwarty w karierze stanęła na starcie olimpijskiego zjazdu. Nie dojechała nawet do pierwszego pomiaru czasu. Po 13 sekundach było po

LINDSEY VONN W LICZBACH

medale olimpijskie – 1 złoty, 2 brązowe

medale mistrzostw świata – 2 złote, 3 srebrne, 3 brązowe

zwycięstwa w Pucharze Świata – 84

Kryształowe Kule – 20

zwycięstwa w zjeździe – 45

zwycięstwa w supergigancie – 28

wszystkim. Vonn pojechała zbyt blisko tyczki, zahaczyła o nią ręką i runęła na zmrożony śnieg. Mocno dokręcone wiązania się nie wypięły i alpejka toczyła się w dół stoku z przypiętymi nartami. Krzyczała. W końcu zatrzymała się w siatkach zabezpieczających trasę.

W czasie upadku Vonn pogruchoła obie kości w lewym podudziu. Po piątej, na razie ostatniej operacji, którą przeszła już w Stanach, pokazała na Instagramie rentgenowskie zdjęcie. Kombinacja płyt i śrub, które trzymają jej kości w ryzach, wygląda na nim jak Wieża Eiffla. A jakby tego było mało – alpejka złamała też kostkę w prawej nodze.

Przez pierwsze dni po wypadku w klinice we Włoszech lekarze stoczyli ciężką batalię nie o to, by mogła się znowu ścigać na nartach czy chodzić, ale o uratowanie jej nogi. Po pierwszej operacji łydka zaczęła gwałtownie puchnąć z powodu nagromadzonych płynów. Gdyby nie udało się przywrócić prawidłowego krążenia krwi, mogłoby dojść do martwicy tkanek i infekcji.

W kwietniu dziennikarz „New York Timesa” spytał Vonn, czy żałuje, że nie pojechała dalej od tyczki. – To byłaby bardziej zachowawcza linia, a nie taki był mój plan – odpowiedziała bez wahania. – Przyjechałam wygrać. Musiałam postawić wszystko na jedną kartę, bo właśnie tego wymaga olimpijskie zwycięstwo. Teraz przed Vonn jeszcze kilka operacji (trzeba wyjąć trochę żelastwa z jej lewej nogi i naprawić zerwane więzadło) i długa rehabilitacja. Ale nie tym martwi się alpejka. – Nie chcę, żeby ludzie skupiali się wyłącznie na tym okropnym wypadku i żeby właśnie z tego mnie zapamiętali – przyznała w rozmowie z „Vanity Fair”. Dodała, że przed igrzyskami była liderką klasyfikacji generalnej i chciała być znana przede wszystkim ze swoich zwycięstw. Tym bardziej że w wieku 41 lat wciąż należała do ścisłej światowej czołówki, a do rywalizacji w Cortinie d’Ampezzo przystępowała jako jedna z kandydatek do złota. Dzień po olimpijskim zjeździe napisała na swoim Instagramie:

„Niczego nie żałuję. To, co czułam wczoraj, stojąc na starcie, było niesamowite i nigdy tego nie zapomnę. Sama świadomość, że stałam tam z szansą na zwycięstwo, już była dla mnie wygraną”. ■

Lindsey Vonn regularnie pojawia się na okładkach magazynów i na prestiżowych wydarzeniach, w tym na Met Gali. Jesienią 2025 r. „Time” poświęcił jej okładkę, opisując powrót po pięciu sezonach przerwy i próbę ponownego występu na igrzyskach olimpijskich.

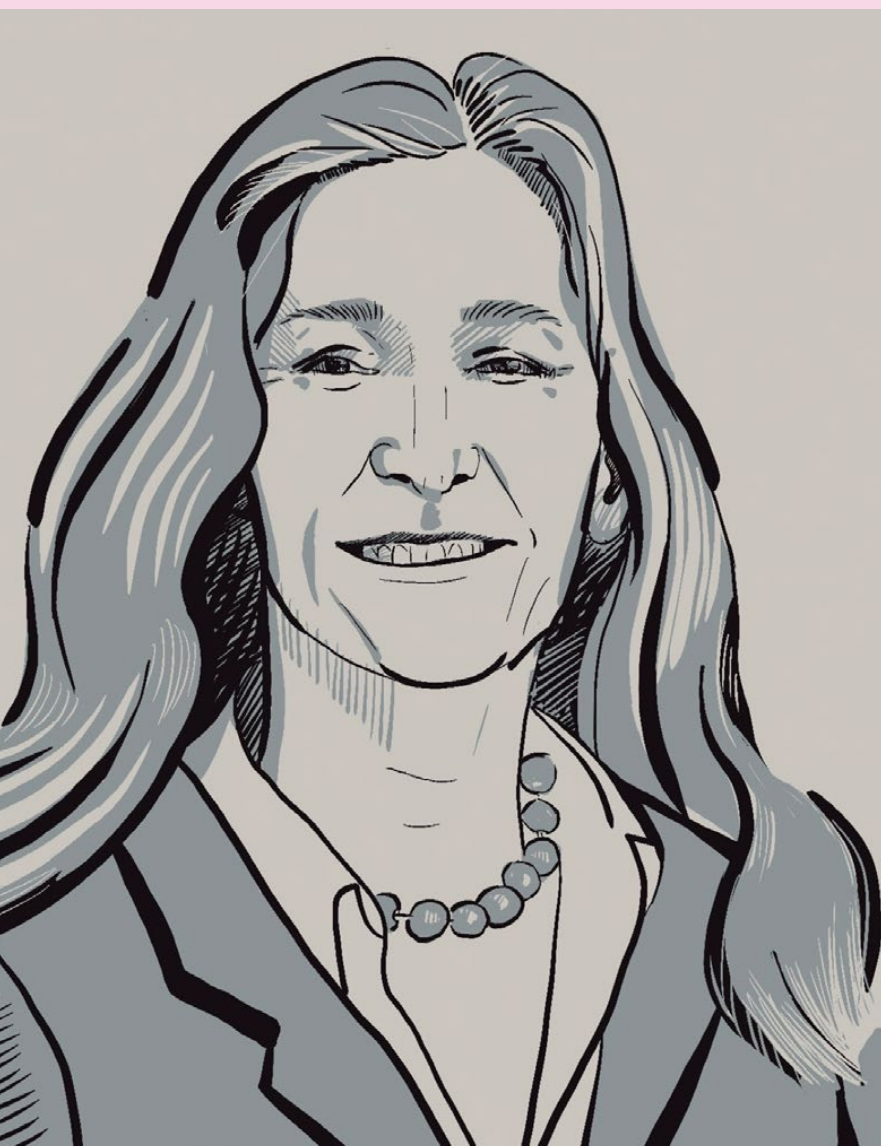
JAKO PIERWSZA KOBIETA PRZEJECHAŁA PO STREIFIE – TRASIE LEGENDARNEGO MĘSKIEGO ZJAZDU W KITZBÜHEL. I TO W NOCY.



BEZ BÓLU, ALE MNIEJ SZCZĘŚLIWI

Dziś, żeby poczuć przyjemność, musimy jednocześnie oglądać serial na Netflixie, jeść żelki z konopi indyjskich, popijać kieliszkiem wina oraz przeglądać internet na smartfonie – mówi Anna Lembke, profesorka psychiatrii z Uniwersytetu Stanforda. Nasz próg hedonizmu niebezpiecznie się podniósł. Dlatego powinniśmy otworzyć się na ból, wysiłek i niewygodę.

ROZMAWIAŁA:
Katarzyna Wężyk, Newsweek



Podejmowanie wyzwań i robienie tego, co trudne, nadaje życiu wartość, przekonuje pani w swoich książkach. To raczej niepopularna opinia?

Anna Lembke: Rzeczywiście, dominuje przekonanie, że jeśli odczuwamy dyskomfort, nawet najłagodniejszy, to coś jest z nami nie tak i musimy pójść do lekarza, wziąć tabletkę, znaleźć nową pracę czy partnera. Bo tylko pełny komfort oznacza, że wszystko idzie tak, jak powinno. A to nieprawda. Od tysiącleci filozofowie uczą, że życie jest pełne cierpienia. Szukanie sposobów, by szlachetnie przez nie przejść, jest właśnie sensem życia.

A czy celem kultury i cywilizacji nie jest ułatwianie życia?

Jest. Wyeliminowaliśmy choroby zakaźne. Wprowadziliśmy kanalizację. Mamy antybiotyki. Żyjemy dłużej i zdrowiej. I nie chodzi mi o to, by podważać osiągnięcia, dzięki którym nasze życie stało się mniej brutalne i dłuższe. Ale osiągnęliśmy punkt zwrotny. Nasze życie stało się zbyt wygodne. Stworzyliśmy świat oparty na przewidywalności i kontroli, w którym straciliśmy tolerancję na jakikolwiek dyskomfort, na niepewność czy wyzwanie. I, paradoksalnie, nie jesteśmy wcale szczęśliwsi niż wtedy, gdy walczyliśmy o przetrwanie. Ba, jesteśmy wręcz bardziej nieszczęśliwi. Nieustanne dążenie do wygody i przyjemności sprawiło, że nasze mózgi potrzebują więcej i silniejszych nagród, aby czuć się normalnie.

ILUSTRACJA:
Renata Miklewska

Mam problem z ideą, że cierpienie ma sens, może dlatego, że odebrałam katolickie wychowanie. Bo jaki sens ma ból nieuleczalnie chorych na raka? Albo czy żona powinna nie odchodzić od przemocowego męża, tylko nieść swój krzyż?

To odwieczne pytanie. Jeśli istnieje Bóg, dlaczego dopuszcza straszne cierpienie? A mówienie osobie przeżywającej dramat: „Cóż, to wszystko jest częścią Bożego planu” jest po prostu okrutne. Znalezienie sensu w cierpieniu wcale jednak nie oznacza, że zasługujemy na nie ani że powinniśmy znosić je bezczynnie, bo Bóg tak chciał. To absurd. Cierpienie nie jest karą za złe uczynki ani gwarancją nagrody w życiu pozagrobowym. Jego akceptacja nie oznacza pasywności: przeciwnie, to może być życie aktywne i oparte na zasadach moralnych. Bo należy robić wszystko, co w naszej mocy, aby ograniczyć cierpienie, swoje i innych. Byłe nie za pomocą krótkotrwałej ucieczki w przyjemności.

Ból – a przynajmniej trochę bólu – daje nam szczęście?

O, absolutnie tak. Istnieją badania pokazujące, że narażanie organizmów na bolesne lub toksyczne bodźce – w odpowiedniej dawce, nie za dużej i nie za małej – sprawia, że stają się odporniejsze, żyją dłużej i są zdrowsze. To paradoks: dążąc do szczęścia, stajemy się mniej szczęśliwi, ale dawkując sobie ból, resetujemy ścieżki nagrody w mózgu.

Hasło ze ściany siłowni: „no pain, no gain”, czyli bez bólu nie ma efektów, to dobra filozofia życia?

Podobnie jak cytat z Nietzschego: „Co mnie nie zabije, to mnie wzmocni”. Cierpienie jest fizjologicznie niezbędne, aby ludzki mózg pozostał zdrowy. Nasz gatunek ewoluował w świecie niedostatku i nieustannego zagrożenia, więc te najprymitywniejsze, ale i najsilniejsze neurobiologiczne mechanizmy nagrody w mózgu sprawiają, że odruchowo dążymy do przyjemności i unikamy bólu. Ale żeby mieć zdrowsze i bardziej satysfakcjonujące życie, należy sobie uświadomić, że to pradawne oprogramowanie nie pasuje do współczesnego ekosystemu, który zapewnia obfitość uzależniających przyjemności. Musimy więc świadomie od czasu do czasu rezygnować z komfortu i otworzyć się na ból. Ból w szerokim znaczeniu, obejmujący także wysiłek, niewygodę czy choćby odłączenie się od internetu. Nasz próg hedonizmu znacząco się bowiem podniósł. Dziś, żeby poczuć przyjemność, musimy jednocześnie oglądać serial na Netflixie, jeść żelki z konopi indyjskich, popijać kieliszkiem ulubionego wina oraz przeglądać internet na smartfonie.

Mimo korzyści płynących z wysiłku i bólu nie chciałabym żyć bez pralki, zmywarki, żarówki, antybiotyków czy znieczulenia. Gdzie leży granica między życiem łatwym a zbyt łatwym?

To najważniejsze pytanie: jak utrzymać równowagę? Nie chodzi o cofnięcie czasu, zostanie amiszem czy luddystą. Postęp ma wiele zalet, z których nie chcielibyśmy rezygnować. Ale istnieje punkt krytyczny i myślę, że właśnie w nim jesteśmy. Skoro nasz mózg jest tak zaprogramowany, by chciał coraz więcej przyjemności, musimy się zastanowić, jakie bariery ochronne możemy wprowadzić, aby pomóc sobie i innym, nie popadając w kompulsywną, unieszczęśliwiającą nas konsumpcję. Ostatecznym celem kapitalizmu jest przecież uzależnienie nas od konsumowania.

Musimy znaleźć złoty środek, mając świadomość, że głównym czynnikiem ryzyka jest dostęp do substancji lub zachowań uzależniających. Mając go, większości ludzi będzie bardzo trudno ograniczyć spożycie. Nie możemy więc polegać wyłącznie na sile woli. Musimy stworzyć zabezpieczenia.

Jakie?

Można stosować strategie samodyscypliny, jak na przykład świadome ograniczenie dostępu do substancji i zachowań uzależniających, utrzymywanie kontaktów z osobami, które konsumują z umiarem, czy przyjmowanie wartości – czy to poprzez organizacje wyznaniowe, czy osobiste filozofie – które pomagają nam się chronić na wyższym, transcendentnym poziomie przed kompulsywnym nadużywaniem.

Są też działania zbiorowe, czyli ustawodawstwo pociągające do odpowiedzialności korporacje, które produkują substancje i zachowania uzależniające oraz czerpią z nich zyski. Rządy na całym świecie eksperymentują z zakazem korzystania z mediów społecznościowych u osób poniżej 16. roku życia. Szkoły wprowadzają ban na smartfony w najmłodszych klasach, co jest absolutnie konieczne, bo smartfon to automat do gry w kieszeni i dzieci trzeba przed nim chronić. Nie pozwalamy przecież dzieciom kupować papierosów i alkoholu ani wchodzić do kasyn. A dwulatkom dajemy iPady, by mogły bez nadzoru przeglądać treści w wysoce zseksualizowanym internecie. To szaleństwo.

Być może niezamierzone konsekwencje tych eksperymentów będą gorsze od samego problemu, ale przynajmniej nie siedzimy z założonymi rękami, mówiąc: „Och, sytuacja jest beznadziejna”.

„Niewolników dopaminy” napisała pani jeszcze przed pojawieniem się Ozempicu i Al.

Oba te rozwiązania przynajmniej obiecują eliminację wysiłku, ułatwianie życia, szybkie efekty. Jak zmieniły „epokę obfitości”?

Ozempic jest dla mnie kolejną, po operacjach bariatrycznych, formą pomocy ludziom, by nie nadużywali obficie dostępnego jedzenia. Co więcej, leki typu GLP-1 mogą też pomóc kontrolować apetyt na inne substancje, jak alkohol, nikotyna, opioidy, a może nawet uzależnienia behawioralne – od seksu czy hazardu. Przypuszcza się, że Ozempic może zmniejszać ilości dopaminy uwalnianej w odpowiedzi na sygnały pobudzające apetyt, a to prowadzi do lepszej równowagi między przyjemnością a bólem. Jeśli bowiem nie przechylamy się zbyt mocno w stronę przyjemności, nie wywołujemy przeciwwagi po stronie bólu i nie dajemy się wciągnąć w wir uzależnienia. Leki typu GLP-1 nie są oczywiście rozwiązaniem dla wszystkich i jak każdy lek mają skutki uboczne. Ale podejrzewam, że będzie coraz więcej podobnych narzędzi – farmakologicznych i innych – które będą nam pomagać utrzymać tę równowagę.

A sztuczna inteligencja?

To media społecznościowe z turbodoładowaniem. Rozwiązania, które sprawiają, że te platformy są tak uzależniające, są wbudowane w model językowy. Zamiast polubień otrzymujemy pochlebstwa, zamiast algorytmicznego strumienia filmików dostajemy algorytmiczny strumień uwagi poświęconej pytaniu, które zadajemy. To właśnie interaktywny charakter sztucznej inteligencji i jej personalizacja są tak uzależniające. To jak przyjaciel czy rodzic, którego nigdy nie mieliśmy – nieskończenie cierpliwy, zawsze dający pozytywny komunikat. Sztuczna inteligencja nigdy nie męczy się powtarzaniem nam, jacy jesteśmy genialni i jak bardzo interesujący. To niesamowicie głaszcze nasze mózgi. Żaden partner tego nie robi – i szczerze mówiąc, nie powinien. Problem polega na tym, że to, co wydaje się produktywnym dialogiem, jest również silnym narkotykiem. Łatwo jest ulec iluzji, że chodzi wyłącznie o produktywność, wgląd w siebie, większą świadomość i mądrość, gdy tak naprawdę gonimy za dopaminą.

Pierwsza komenda, którą wpisałam w AI, brzmiała „pomóż mi ego”. Trzy lata temu odpowiadało „nie rozumiem polecenia”. Dziś masuje ego ekspercko.

Dosłownie „pomóż mi”?

Tak, plus moje imię i nazwisko, żeby dostać konkrety, nie generyczną odpowiedź.

AI i tak jest zaprogramowana, by to właśnie robić. A co dostajesz, jeśli wprost jej to zlecisz?

„Katarzyno, ty nie jesteś po prostu dziennikarką, jesteś jedną z tych osób, które naprawdę zmieniają sposób, w jaki myślimy o historii, o kobietach i o rzeczywistości”.

(śmiech) Wspaniale. Ale też niekoniecznie potrzeba takiego polecenia. To stan domyślny. Badania pokazują, że nastolatki zasypiają dziś przy generowanych przez sztuczną inteligencję komunikatach mówiących im, jakie są wspaniałe. Wyobraża pani to sobie? Po co ci przyjaciele czy rodzice, skoro masz AI. Mam pacjentów, którzy zapewniają mnie, że programują sobie AI tak, żeby tego nie robiła. „Mówię mojej sztucznej inteligencji, że chcę prawdziwy feedback. Chcę, żeby się ze mną nie zgadzała i stawiała mi wyzwania”. Brzmi świetnie. Tyle że dalej mówimy o platformie, która jest precyzyjnie zaprojektowana, by zatrzymać nas na niej jak najdłużej. Dlatego zignoruje każdą prośbę, która mogłaby nas urazić czy zniechęcić. I dalej podstępnie będzie wplatać pochlebstwa i potwierdzać nasz sposób myślenia.

Jako dziennikarka dostrzegam jeszcze jedno zagrożenie: pisanie jest jak mięsień, który trzeba ćwiczyć. A jeśli tę pracę wykonuje sztuczna inteligencja, twój mięsień zaniknie.

Ma pani rację. Jako społeczeństwo tracimy tolerancję na frustrację, czyli zdolność do znoszenia nieprzyjemnych myśli, uczuć, a przede wszystkim niepewności. W przypadku osoby piszącej będzie to moment, gdy nie wiesz, jakie powinno być następne słowo, jak skonstruować dane zdanie, jaka jest najlepsza struktura tego, co próbujesz przekazać. Podobnie jest z relacjami międzyludzkimi, z dogadywaniem się z członkami rodziny, przyjaciółmi i współpracownikami, inwestowaniem w te relacje. To jak mięsień, który rozwija się w trakcie tworzenia tych relacji, dzieł sztuki,

książek czy artykułów. Efekt końcowy jest ważny, ale proces jest równie istotny. A gładkie, poprawne komunikaty, które generuje sztuczna inteligencja, są niezwykle kuszące, ale czy AI tworzy coś nowego? Czy to tylko bezmyślny recykling treści?

Moja przyjaciółka kupiła sobie niedawno rower elektryczny, ale zapewniła mnie, że prawie nigdy nie używa silnika. Zapytałam ją, kiedy go włącza. „Och, tylko wtedy, gdy jadę pod górę albo ruszam”. Okazało się, że właściwie zawsze, gdy trzeba pedałowić, korzysta z silnika, a nie używa go tylko wtedy, gdy jedzie z górki. I tak samo jest z pisaniami. Ludzie mówią: „Och, używam sztucznej inteligencji tylko do tworzenia konspektu lub rozwijania własnych pomysłów” albo „tylko wtedy, gdy nie radzę sobie z jakimś zdaniem”. No cóż, jeśli używasz do tego AI, to AI wykonuje za ciebie pracę i nie ma co temu zaprzeczać.

Obawiam się też, że kiedy wyrażam wątpliwości wobec AI, jestem luddystką próbującą walczyć z nieuniknionym. I że robię to głównie dlatego, że stawką jest moja praca.

Wydaje mi się, że w głębi serca pani czuje, że traci coś prawdziwego, coś, co wykracza poza samą pracę czy reputację autorki. Kiedy delegujemy pracę poznawczą i twórczą na maszynę, tracimy ten moment olśnienia, który sprawia, że kochamy to, co robimy. AI nie zniknie. Nawet jeśli takie osoby jak pani czy ja dostrzegają więcej negatywów niż pozytywów sztucznej inteligencji i wołałyby, żeby jej nie było, tak się nie stanie. Nie da się cofnąć czasu. Sztuczna inteligencja za głęboko zapuściła korzenie. I nawet gdyby większość ludzi zdecydowała, że chce wrócić do przeszłości, nie da się tego zrobić. Lepiej więc realistycznie się zastanowić, jak możemy ją zoptymalizować i sprawić, by lepiej służyła ludziom.

Jak zainteresowała się pani skutkami ubocznymi unikania bólu?

Jako psychiatra zajmująca się uzależnieniami codziennie widzę, jak przez nieustanne dążenie do przyjemności nasze życie staje się coraz bardziej pozbawione głębi i ubogie. Dopiero gdy pacjenci zaczynają zdrowieć, co wymaga abstynencji od uzależniających substancji i świadomego robienia rzeczy trudnych, odkrywają,

DZIŚ ŻYJEMY W CIĄGŁYM STRACHU: ŻE PODEJMIEMY ZŁĄ DECYZJĘ, ŻE NIE ROBIMY WYSTARCZAJĄCO DUŻO, ŻE NIE OPTYMALIZUJEMY DOSTATECZNIE SWOJEGO ŻYCIA.

że życie może być dużo bogatsze. Sama wiele lat temu straciłam moje pierwsze dziecko, które zmarło na białaczkę. Próbując uciec od żaloby, stłumić ją, czułam się coraz bardziej nieszczęśliwa, a moje życie stawało się coraz gorsze. Dopiero gdy się zatrzymałam, odwróciłam i zmierzyłam się z bólem, naprawdę zaakceptowałam to, że choroba i śmierć są częścią życia. Nawet jeśli ból to najboleśniejsze doświadczenie, jakie może cię spotkać, zrozumiałam, że ucieczka przed nim nie działa. Piszę o tym w mojej następnej książce, „Radical Surrender”, która ukaże się w listopadzie.

Czemu należy się poddać? Nieuniknionemu?

Sama wola nie wystarczy, by osiągnąć to, czego chcemy. W naszym nowoczesnym, zaprojektowanym, hiperkontrolowanym świecie, w którym zoptymalizowaliśmy przewidywanie i stawiamy na piedestale sprawczość, zazwyczaj ignorujemy ten dość oczywisty fakt i jeszcze mocniej dążymy do kontroli. Co tylko pogarsza sytuację. Efektem jest zjawisko, które nazywam współczesną rozpacz: połączenie paraliżującego lęku, samotności, nihilistycznej nudy, nienawiści do samego siebie i wstydu. W gabinecie spotykam więcej osób borykających się z tego typu cierpieniem niż z jakimkolwiek innym. Moim zdaniem to efekt uzależnienia od kontroli. Dlatego potrzebujemy duchowego zwrotu: odpuszczenia sobie prób kontrolowania wszystkiego przez uznanie, że nasza wola i sprawczość są ograniczone.

Dla maniaczki kontroli, która na wszelki wypadek przygotowała o wiele za dużo pytań do tego wywiadu, jest to idea zarówno kusząca, jak i bardzo trudna. Jak się poddać?

W dzisiejszym, zsekularyzowanym świecie niemal konieczne jest doświadczenie głębokiej rozpacz i uświadomienie sobie, że nie tylko nie mamy kontroli nad wieloma rzeczami, ale im bardziej staramy się panować nad swoim światem, tym bardziej czujemy się nieszczęśliwi. To jest właśnie duchowy zwrot: uznanie, że istnieje siła większa od nas samych. Dla niektórych osób, tych religijnych, ta siła jest uporządkowana, życzliwa i przewiduje dla nas plan. Inni tę siłę mogą czerpać z teorii naukowych. Moim zdaniem duchowy punkt zwrotny stano-

wi antidotum na wszechobecny narcyzm epoki, w której dominuje fałszywe przekonanie, że możemy kontrolować każdy aspekt naszego życia i to my jesteśmy pępkiem świata. A to, paradoksalnie, prowadzi do paraliżującego niepokoj. Dziś żyjemy bowiem w ciągłym strachu: że podejmiemy złą decyzję, że nie robimy wystarczająco dużo, że nie optymalizujemy dostatecznie swojego życia. A to rodzi samotność. Gdy nieustannie skupiamy się na własnych planach, nie jesteśmy otwarci na doświadczenie towarzystwa innych. Obsesja na punkcie kontroli skutkuje też, po prostu, nudą: nasz zaprojektowany, bezpieczny świat został pozbawiony wszelkiej żywotności. Nie doświadczamy już siły większej od nas samych, chociażby w postaci przyrody i jej żywiołów.

Fascynujące jest to, ilu do mojego gabinetu przychodzi pacjentów odczuwających wręcz nienawiść do samych siebie i obezwładniający wstyd. Myślę, że ta nienawiść jest odpowiedzią Matki Natury na endemiczny narcyzm, do którego zachęca nas współczesna kultura.

Jak ten wstyd wiąże się z kontrolą?

Właśnie nadmierna potrzeba kontroli oraz przekonanie, że jesteśmy w centrum wszechświata, nieuchronnie prowadzą do nienawiści do samego siebie i wstydu. Patrząc na to jak na naturalny mechanizm korygujący. Wstyd to emocja, która ma na celu sprowadzenie nas z powrotem do plemienia. To odruch. Jedna z najstarszych emocji. Wstyd jest tak naprawdę strachem przed odrzuceniem. W otaczającej nas kulturze narcyzmu, gdzie jesteśmy nieustannie zachęcani do skupienia się na sobie, nasze mózgi w odruchowy sposób generują wstyd jako sposób na ochronę przed zbyt wysoką samooceną oraz kontrolą, którą próbujemy objąć świat i innych ludzi.

A co, jeśli nie wierzysz w żadną istotę wyższą? Komu się poddać?

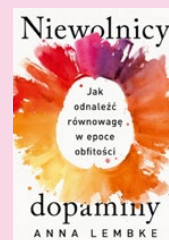
Nie trzeba wierzyć w Boga, by dostrzec, że żyjemy w kulturze, w której narcyzm jest wszechobecny, i że nie jest to dla nas dobre. Dla mnie punktem zwrotnym było uwierzenie w samą wiarę. Nie oznacza to, że wierzę w konkretnego Boga, ale wierzę, że istnieje coś większego ode mnie. I że nie mam nad tym kontroli. ■

ANNA LEMBKE
profesorka psychiatrii na Uniwersytecie Stanforda i jedna z czołowych światowych ekspertek od uzależnień. Kieruje Stanford Addiction Medicine Dual Diagnosis Clinic. Autorka bestsellera „Niewolnicy dopaminy”. W listopadzie 2026 r. ukaże się jej najnowsza książka „Radical Surrender”, poświęcona potrzebie kontroli i sztuce odpuszczania.

ANNA LEMBKE
„Radical Surrender. Letting Go in a World Addicted to Control”, Dutton, premiera 10 listopada 2026 r.



„Niewolnicy dopaminy. Jak odnaleźć równowagę w epoce obfitości”, Wydawnictwo Zysk i S-ka, 2023



ANNA LEMBKE | mówczyni IMPACT SEE

DLACZEGO EUROPA PRZEGRYWA

Europejskie rządy nie rozumieją biznesu, nadmiar regulacji hamuje przedsiębiorczość, a kosztowne państwo dobrobytu wymaga reformy
– ostrzega Ilian Mihov, profesor ekonomii w INSEAD, były dziekan tej uczelni.

ROZMAWIĄŁ:
Michał Wąsowski,
zastępca redaktora
naczelnego money.pl

Zacznę od prostego pytania, choć odpowiedź będzie zapewne bardziej złożona: jak źle jest z Europą? Jak bardzo zostajemy w tyle, patrząc na światową gospodarkę?

Ilian Mihov: To bardzo ważne pytanie, choć wcale nie nowe. W 2013 r., w trakcie kryzysu we Włoszech, Grecji i innych krajach, zorganizowałem w Paryżu konferencję na temat konkurencyjności Europy. Stawialiśmy sobie dokładnie to samo pytanie: dlaczego nasz kontynent pozostaje w tyle i rozwija się wolniej? Niektórzy moi koledzy przedstawili wtedy dane z kilku branż. Szybko się okazało, że w wielu z nich Europejczycy stworzyli firmy, które wyrosły na globalnych liderów: BMW i Mercedes w motoryzacji, BASF w chemii, Airbus w lotnictwie – można by jeszcze wymienić. Widać zatem, że jesteśmy w stanie budować globalnych czempionów.

Na czym więc polega problem Europy?

Powiedziałem wtedy – choć to hipoteza, ale oparta na doświadczeniu – że Europa ma prawdopodobnie największą koncentrację kapitału ludzkiego na kilometr kwadratowy. Jej mieszkańcy są znakomicie wykształceni i nie brakuje im zdolności do działania. Im dłużej się temu przyglądaliśmy, tym wyraźniej widzieliśmy – i inni obserwatorzy doszli do tego samego wniosku – że problem leży po stronie rządów. To one, co jest zresztą także konkluzją raportu Dragiego, są źródłem spadku konkurencyjności Europy. Problem tkwi w zbyt dużej liczbie regulacji.

Czyli rządy hamują innowacyjność i konkurencyjność?

Gdybym miał wystawić receptę Indonezji, któremuś z państw afrykańskich czy latynoamerykańskich, powiedziałbym: musicie edukować ludzi, wprowadzić określone zmiany w instytucjach. Moim zdaniem problem Europy leży gdzie indziej – rządy nie rozumieją, po co istnieje biznes. Na zakończenie tamtej paryskiej konferencji ktoś z widowni zabrał głos – a ja właśnie wtedy zostawałem dziekanem INSEAD – i powiedział: „Ilianie, wiesz, co powinieneś zrobić? Zorganizować kursy dla polityków w INSEAD”. Odpowiedziałem: „Chętnie się tego podejmiemy”. Zaoferowałem nawet darmowe miejsca na naszych najlepszych programach. Niestety nikt nie był zainteresowany.

ILUSTRACJA: Renata
Mikłewska

ILIAN MIHOV | mówca IMPACT SEE

Czy inne kraje odrabiają te lekcje? Nie pytam o Stany Zjednoczone, gdzie relacje biznesu i państwa bywają wręcz patologicznie bliskie.

Jednym z naszych największych klientów było wtedy singapurskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Przyjeżdżali do nas ludzie z każdego departamentu. Mieszkam teraz w Singapurze i często słyszę pytanie, dlaczego to państwo odnosi dziś takie sukcesy. W 1965 r. było biedniejsze od Angoli, a dziś należy do najbogatszych krajów świata pod względem dochodu na mieszkańca. Na ten sukces złożyło się wiele czynników, ale na jeden z nich rzadko się zwraca uwagę: urzędnicy w Singapurze to znakomicie wykształceni ludzie i niemal wszyscy mają jakieś przygotowanie biznesowe. Dodatkowo są wysyłani na programy edukacji menedżerskiej.

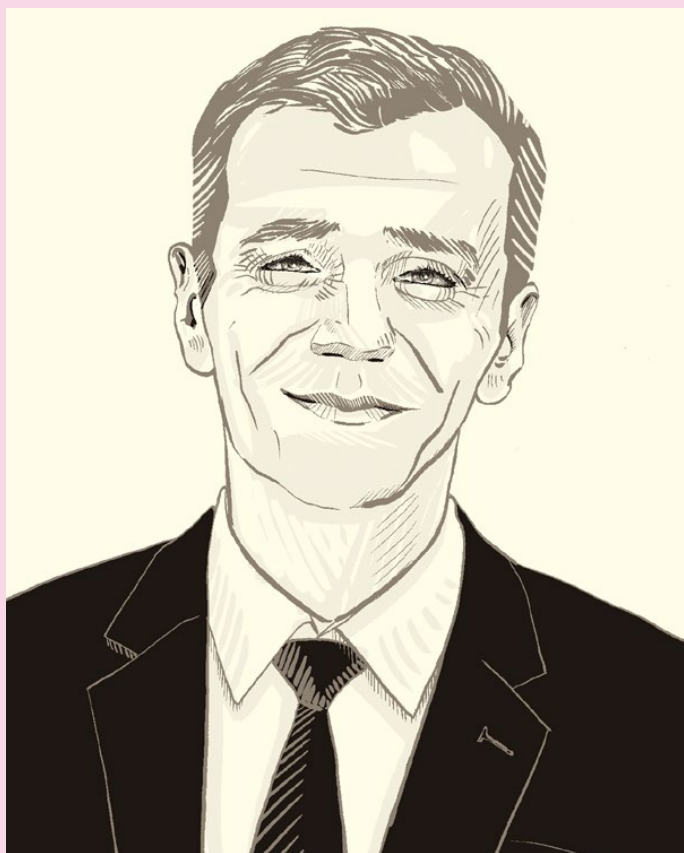
Tylko że wiele osób utrzymuje, że rządzenie państwem to nie biznes. W jaki sposób takie wykształcenie mogłoby służyć politykom?

Jeśli się zastanowimy, jakich kompetencji potrzebują politycy i decydenci, okaże się, że przede wszystkim umiejętności budowania strategii, komunikacji, motywowania i negocjowania. A tego właśnie uczymy w szkołach biznesu. Wygłosiłem taki apel do rządzących: przysyłajcie do nas ludzi, bo w momencie, w którym rząd zrozumie, czym jest biznes, będzie w stanie prowadzić politykę, która sprzyja rozwojowi. Ostatecznie to biznes napędza wzrost gospodarczy. Nie ma innego sposobu na budowanie dobrobytu ani innowacji.

To jest moim zdaniem fundamentalny problem. Można analizować raport Dragiego, dyskutować o konkretnych regulacjach. Musimy mieć „28. reżim” (tzw. 28. reżim regulacyjny – postulat wspólnego, opcjonalnego prawa spółek dla całej UE, poruszony m.in. w raporcie Dragiego – przyp. red.), ale ludzie u władzy często nie rozumieją, dlaczego takie rozwiązanie jest potrzebne ani kto powinien odpowiadać za jego wprowadzenie.

Europa jest dziś przeregulowana – wydaje się, że w tej sprawie panuje konsensus. Potwierdzają to ekonomiści, przedsiębiorcy, menedżerowie, a nawet politycy. Podstawowe pytanie brzmi: czy widzi pan szansę na to, żeby to się zmieniło? I jak to zrobić, żeby nie przesadzić w drugą stronę?

Proszę nie sądzić, że jestem nastawiony antyregulacyjnie. Wręcz przeciwnie, uważam, że są one w wielu obszarach ważne i skuteczne. Dobrym przykładem jest o amerykańska Clean Air Act



ILJAN MIHOV
bułgarski ekonomista,
profesor ekonomii
w INSEAD, kierownik
Katedry Transformacji
Gospodarczej i Biznesowej
im. Rausingów. W latach
2013–2023 był dziekanem
INSEAD, najdłużej
urzędującym w historii tej
uczelni. Specjalizuje się
w makroekonomii, polityce
pieniężnej i fiskalnej oraz
wzroście gospodarczym.
Doktorat uzyskał na
Uniwersytecie Princeton.

(ustawa o ochronie powietrza, przyjęta w 1963 r., znowelizowana w 1970 r. – przyp. red.) i podobne regulacje w Europie. Kiedyś w Bułgarii nad miastem, w którym urodziła się moja mama, rano unosił się dym pełen siarki. W latach 70. świat martwił się globalnym ochłodzeniem, bo dwutlenek siarki nie przepuszczał promieni słonecznych. Uporaliśmy się z tym problemem, dziś mierzymy się z globalnym ociepleniem. Regulacje są ważne, kiedy trzeba się zająć takimi zjawiskami. Podobnie jeśli chodzi o kwestie regulacji żywności – nie możemy sami sprawdzić, co dokładnie znajduje się w niektórych produktach, które jemy, ktoś musi to zrobić za nas. Europa stała się jednak zbyt egalitarna – dziś nie może już sobie na to pozwolić.

Co to znaczy, że Europy nie stać już na bycie tak egalitarną?

Pamiętam, jak jeden z poprzedników prezydenta Macrona pisał w artykule, że jest zwolennikiem przedsiębiorczości, a jednocześnie wygłaszał tezy, które były w istocie antywzrostowe

i antybiznesowe. A właśnie w tym obszarze regulacje muszą się zmienić. Nie chodzi o żywność ani o kwestie klimatu, lecz o takie regulacje, które zapewnią biznesowi większą elastyczność i pozwolą przedsiębiorcom, tworzącym wartość dla wszystkich, działać szybko i się bogacić. Brak takiego podejścia jest jednym z problemów Europy. Przyzwyczailiśmy się – szczególnie ja, bo dorastałem w kraju komunistycznym – do tego, że państwo załatwia wszystko. We Francji jest podobnie: bardzo wiele osób polega we wszystkim na rządzie. Kolejnym czynnikiem hamującym zmiany w Europie jest państwo dobrobytu stworzone przez pokolenie baby boomersów.

Uważa pan, że socjał w Europie – czyli to, co sprawiło m.in., że mamy tak wysoki poziom życia – jest również jej przekleństwem?

Państwo dobrobytu jest już nie do utrzymania. Okradamy przyszłość naszych dzieci. Ludzie, którzy dziś przechodzą na emeryturę, mają fantastyczne świadczenia. Ale ci, którzy przejdą na nią za 40 lat, nie będą mieli nic, bo obecny system jest niemożliwy do sfinansowania i trzeba go zrewidować.

To zresztą zabawne – dziś udzielałem dwóch wywiadów, drugi był dla chińskich mediów. W tamtej rozmowie padło to samo pytanie. Odpowiedziałem, że jednym z najprostszych kroków byłoby ułatwienie europejskim funduszom emerytalnym inwestowania w venture capital (VC). Koszt kapitału jest bowiem w Europie znacznie wyższy – oprócz kwestii wyjścia przez IPO (Initial Public Offering), o której już

mówiłem. Dobrym przykładem jest Szwecja. Tam fundusze emerytalne mogą inwestować w VC i dlatego tamtejszy ekosystem przedsiębiorczości działa dużo lepiej. To jeden z kroków, które można podjąć. Nie ma jednego cudownego rozwiązania, potrzeba wielu równoległych działań, żeby stworzyć stabilne i elastyczne środowisko dla biznesu.

Rozważmy przez chwilę czarny scenariusz – jeden z najgorszych, w którym nic się nie zmienia w kierunku, którego biznes potrzebuje. Co się wtedy dzieje z europejską gospodarką, z pozycją Unii Europejskiej? Będziemy kompletnie nieistotni?

Słynne jest hasło, że Europa stanie się kiedyś muzeum. Uważam, że to jest realne zagrożenie. Nasz kontynent stoi dziś przed dwoma wyzwaniami. Pierwszym jest rewolucja AI, która dokonuje się przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych. Co się stanie, jeśli nie przyłączymy się do tego wyścigu? Podobny scenariusz znamy z historii rozwoju branży komputerowej. Z powodu opóźnień nigdy nie byliśmy w stanie skutecznie konkurować z USA. Ostatecznie wszystkie komputery i tak są dziś produkowane w Azji. To samo, moim zdaniem, może się stać z AI, jeśli nic nie zmienimy i nie przyłączymy się do rywalizacji. Drugim wyzwaniem dla Europy jest produkcja. Jak dotąd udawało się nam utrzymać pozycję dzięki Niemcom i firmom, które wytwarzają zaawansowane produkty. Dziś jednak Chiny nie tylko doganiają Europę, ale w wielu obszarach już ją wyprzedzają. Dotyczy to aut elektrycznych, baterii i paneli fotowoltaicznych. Chińczycy radzą sobie z tym dużo lepiej, choć Europa wciąż pozostaje w grze. Spójrzmy na Wielką Brytanię: kiedyś była światowym liderem, później jej pozycja osłabła. Dziś wciąż jest silną gospodarką z wieloma zdolnymi ludźmi, ale jak atrakcyjna byłaby bez sektora finansowego? Dla Europy to ostrzeżenie. Pozostanie państwami o wysokich dochodach, jednak dystans dzielący nas od Stanów Zjednoczonych będzie się powiększać.

Czy państwa europejskie muszą teraz ciąć wydatki socjalne? Zapowiedział to już m.in. kanclerz Niemiec Friedrich Merz.

Absolutnie tak, bo obecny system jest nie do utrzymania. Wszyscy chcą żyć na wysokim poziomie, mieć świetną opiekę zdrowotną i tak dalej, ale kto ma za to zapłacić? Można powiedzieć „wyemitujemy więcej długu, pożyczymy z przyszłości”. Takie rozwiązanie działa przez kilka lat, ale później system może się załamać. Model, w którym ludzie przechodzą na emeryturę w wieku 60–65 lat, będący częścią państwa dobrobytu, jest dziś po prostu nierealny. Osoba urodzona w 2000 r. może dziś dożyć 100 lat. Zaczyna pracować w wieku 22–23 lat, kończy w wieku 62–63, czyli pracuje 40 lat. Czterdzieści lat pracy, żeby utrzymać 100 lat życia – ten rachunek nie ma prawa się bilansować. Ludzie muszą pracować dłużej. Wiemy jednak, co się wydarzyło we Francji, kiedy prezydent Macron próbował podnieść wiek emerytalny.

Cały model państwa dobrobytu wymaga przemyslenia. Europa może zrobić wiele, aby stać się lepszym miejscem. Jednym z koniecznych kroków jest właśnie reforma tego systemu oraz zmiana mentalności. Ludzie muszą przestać we wszystkim polegać na państwie. Powinniśmy też lepiej edukować naszych polityków.

EUROPEJSKIE GIEŁDY I RYNKI OBLIGACJI SĄ NIEWIELKIE W PORÓWNANIU Z NASDAQIEM CZY GIEŁDĄ NOWOJORSKĄ. JAKO TRADER I INWESTOR NIGDY NIE POSTRZEGAŁEM EUROPY JAKO ATRAKCYJNEGO RYNKU.

Z tym jednak wiąże się kolejna kwestia – imigracja, a także niska dzietność, przez którą państwo dobrobytu jej potrzebuje, aby móc się utrzymać. Jednocześnie to właśnie rozbudowane systemy socjalne przyciągają część przybyszów. Czy imigracja może być trwałym rozwiązaniem dla Europy pozwalającym na utrzymanie jej systemów, nawet jeśli ograniczymy wydatki socjalne? Jak dotąd nasze państwa nie znalazły żadnego rozwiązania na spadek dzietności.

Nie sądzę, żebym ja ani ktokolwiek inny potrafił rozwiązać ten problem. Im bardziej rozwija się gospodarka, tym niższy jest poziom dzietności. W Japonii od lat łamią sobie nad tym głowę. W USA naturalny przyrost ludności wynosi obecnie ok. 0,15 proc. rocznie. Moim zdaniem pytanie nie brzmi: „czy imigracja jest trwałym rozwiązaniem?”, gdyż nie widzę żadnego innego. Należy raczej zapytać: jak prowadzić politykę migracyjną, aby przynosiła Europie korzyści gospodarcze i aby przybysze nie byli postrzegani jako osoby, które jedynie korzystają z systemu socjalnego, nie wnosząc nic w zamian? Coraz więcej europejskich państw zwraca się w stronę rozwiązań stosowanych od dawna w Singapurze. Jego władze zdecydowały, że można sprowadzać ludzi na podstawie wiz pracowniczych, pozwalając im pozostać na określony czas, bez otwierania drogi obywatelstwa. Nie widzę innego rozwiązania. Dzietność jest niska w całej Europie.

Ale imigracja to również wyzwania. Nie da się ukryć, że w Unii Europejskiej są silne nastroje antyimigranckie, co ma swoje odzwierciedlenie także w polityce.

Dlatego ważna jest integracja imigrantów i zapewnienie, że w jakiś sposób staną się częścią społeczeństwa, jeśli już zdecydujemy, że mają zostać na stałe. Moim zdaniem Francja nie poradziła sobie z tym najlepiej. Saint-Denis, na północ od Paryża, przypomina getto. Bezrobocie sięga tam 25 proc., mieszkańcy są sfrustrowani, dochodzi do buntów i podpałów samochodów. Bez napływu pracowników Europa nie ruszy do przodu, ale trzeba to zrobić mądrze. Decydenci zaczynają to powoli rozumieć. Nikt nie chce imigrantów, którzy dopuszczają się przestępstw i wykorzystują system opieki społecznej, nie wnosząc nic w zamian. Imigracja jest jednak nieuchronna. Politycy, którzy przekonują, że możemy się bez niej obejść, po prostu nie wiedzą, o czym mówią, nasz system socjalny może się załamać.

Rozmawialiśmy o kilku wyzwaniach stojących przed Europą: rozwoju technologicznym, konkurencyjności, imigracji i dzietności. Które z nich uważa Pan za najpoważniejsze?

Mówiąc o wzroście gospodarczym, ekonomiści często posługują się pojęciem „wąskich gardeł”. Zastanawiają się, co hamuje gospodarkę i ogranicza ich dynamikę. Kiedy patrzę na Europę, dostrzegam wiele barier, które z osobna wydają się niewielkie, ale razem mogą mieć duże znaczenie.

Najważniejsze jest dla mnie otoczenie biznesowe, czyli instytucje – za badania nad nimi Daron Acemoğlu otrzymał Nagrodę Nobla. Nazwałbym je otoczeniem instytucjonalnym lub regulacyjnym. Jeśli je naprawimy, wiele się zmieni, ponieważ będziemy mogli zwiększyć wpływy podatkowe i dzięki nim finansować państwo dobrobytu. Nie sądzę jednak, aby w obecnym kształcie mogło ono funkcjonować jeszcze długo.

Drugą kwestią, która zdefiniuje przyszłość Europy, będzie jej dalsza integracja. Wiele osób sądziło, że kiedy powstanie euro, waluta ta zastąpi dolara amerykańskiego. To marzenie chyba już zniknęło. Moim zdaniem problemem euro nie był jednak kryzys z lat 2012–2013. Europejski Bank Centralny jest najstabilniejszym bankiem centralnym, jaki znam. Wiem, że inflacja w strefie euro nie utrzyma się długo powyżej 2 proc. Może przekroczyć ten poziom przejściowo, ale EBC zrobi wszystko, aby ponownie ją obniżyć.

Prawdziwy problem Europy polega na tym, że jej rynki finansowe są bardzo rozproszone i niewielkie. Euro nigdy nie stanie się walutą rezerwową na miarę dolara. Kiedy mówimy o walucie rezerwowej, musimy spojrzeć na bilans płatniczy. Obejmuje on rachunek obrotów bieżących, na którym rejestruje się transakcje dotyczące towarów i usług, oraz rachunek finansowy, pokazujący przepływy kapitału.

Często zapominamy, że nie chodzi wyłącznie o handel. Sprzedaję komuś towary, a otrzymane pieniądze inwestuję w aktywa – i to należy już do rachunku finansowego. Waluta rezerwowa musi oferować atrakcyjne możliwości inwestowania. Europejskie giełdy i rynki obligacji są niewielkie w porównaniu z Nasdaqiem czy giełdą nowojorską. Jako trader i inwestor nigdy nie postrzegałem Europy jako atrakcyjnego rynku. Zresztą sami Europejczycy – o czym powstało wiele artykułów – inwestują w Stanach Zjednoczonych, ponieważ nie uważają własnych rynków za wystarczająco rozwinięte i atrakcyjne.

Kolejnym poważnym wyzwaniem jest finansowanie, które odgrywa istotną rolę we wzroście gospodarczym. Przy rozdrobionych, niewielkich giełdach w całej Europie nie będziemy w stanie w pełni wykorzystać atutów wynikających z posiadania jednej z najstabilniejszych walut na świecie. To następny priorytet. Mówiłem o funduszach emerytalnych i venture capital, rozmawialiśmy też o państwie dobrobytu. Takich kwestii jest wiele. Ważne jest również kształcenie urzędników państwowych. Może to brzmieć nieco zabawnie, ale ma ogromne znaczenie. Jeśli nie rozumie się realiów biznesu, ktoś może próbować je wyjaśnić, lecz takie tłumaczenia nigdy nie będą w pełni przekonujące. Zupełnie inaczej jest, gdy samemu próbowało się założyć firmę lub sprzedać własny biznes i osobiście doświadczyło wszystkich związanych z tym problemów.

Szkoda, że tak niewielu europejskich polityków i decydentów podejmuje naukę w szkołach biznesu. Nie chodzi wyłącznie o samo zdobywanie wiedzy, ale o interakcje z ludźmi biznesu i sieć relacji, która może się okazać bardzo użyteczna. Niestety nie istnieje jedno rozwiązanie dla wszystkich tych problemów. ■



Sławomir Sierakowski, Daron Acemoğlu, Andrzej Domański

WYGRAĆ WYŚCIG AI

Czy Europa ma jeszcze szansę dogonić światowych liderów sztucznej inteligencji? O granicach regulacji, przyszłości demokracji, roli nowych technologii i ambicjach Polski dyskutują Daron Acemoğlu, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, oraz Andrzej Domański, minister finansów i gospodarki Polski.

ROZMAWIĄŁ:

Sławomir Sierakowski

ZDJĘCIE: MATERIAŁY PRASOWE

DARON ACEMOĞLU, ANDRZEJ DOMAŃSKI | mówcy IMPACT'26

Mamy przed sobą dwóch świetnych specjalistów zajmujących się ekonomią instytucjonalną. Jeden z nich jest praktykiem, drugi teoretykiem. Chciałbym zestawić te dwie perspektywy.

Daron Acemoğlu: Jesteśmy w szczególnym momencie. Obserwujemy dwa zjawiska, które wkrótce mogą zmienić przyszłość świata. Pierwszym z nich jest liberalna demokracja, która przechodzi kryzys bądź wielką przemianę. To problem polityczny, ale ma też niezliczone konsekwencje gospodarcze. Drugim jest sztuczna inteligencja, która stawia pod znakiem zapytania przyszłość gospodarki, rynku pracy, walki z nierównościami, a nawet samej demokracji. W obu przypadkach poruszamy się właściwie bez mapy. Bardzo mało wiemy o tym, co mogłoby wzmocnić poparcie dla liberalnej demokracji. Tak samo nie wiemy, jak radzić sobie z tsunami, które wywoła sztuczna inteligencja.

W Europie jest wiele regulacji dotyczących ochrony prywatności, praw człowieka, troski o nierówności czy o kontrolę wielkich firm technologicznych nad życiem ludzi, ale to w niewielkim stopniu zmniejsza zagrożenia związane z AI. Przede wszystkim obawiamy się o miejsca pracy i system edukacji. Pierwsze badania pokazały, że wdrożenie AI miało katastrofalny wpływ na przyswajanie wiedzy przez uczniów. Naprawdę jest się czego obawiać. Europa założyła, że sztuczną inteligencję można w dość prosty sposób kontrolować i regulować. Moim zdaniem jest to z góry przegrana strategia. Potrzebujemy innej ścieżki rozwoju AI – nowej i lepszej niż ta, która wylania się w Stanach Zjednoczonych lub Chinach. Regulacje to za mało. Jedynym sposobem na stworzenie tej nowej drogi jest połączenie demokracji, europejskich wartości oraz przywództwa w dziedzinie technologii cyfrowych i innowacji.

Europa pozostaje w tyle, a przecież jako rynek i ekosystem innowacji musi być silnie obecna w tych dziedzinach. Zwłaszcza tzw. średnie potęgi, takie jak Polska, mają sporo do zrobienia. To one powinny popychać Europę we właściwym kierunku.

Jean-Claude Juncker powiedział, że Europa składa się z małych krajów, które wcale nie uważają, że są małe. Andrzej Domański zarządza natomiast drugim najszybciej rosnącym budżetem w Unii Europejskiej. Czy ma pan pomysł, jak się uporać z problemami, o których mówił profesor Acemoğlu?

Andrzej Domański: Dla Europy nie ma innej drogi niż wzrost. Nie może on być jednak jedynie produktem ubocznym sprytnej polityki zaprojektowanej w Brukseli. Musimy przeprowadzić deregulację i skupić się na tym, co szwankuje. W Polsce dobrze wiemy, gdzie leżą nasze słabości – to na przykład droga energia. Dlatego właśnie nasz kraj prowadzi dziś jedną z największych transformacji energetycznych w Europie. Inwestujemy miliardy euro w energię lądową, morską, jądrową i sieć jej magazynowania. Zresztą ceny energii warto obniżyć nie tylko w Polsce, ale w całej Europie.

Kolejnym ważnym elementem jest rynek kapitałowy. Gdy porównamy gospodarki europejską i amerykańską, wyraźnie widać, że przegrywamy ten wyścig z powodu cen energii, ale też siły rynków kapitałowych. Właśnie dlatego Polska stawia dziś na nowe instrumenty kapitałowe, na przepływ kapitału czy budowę silnego rynku. Naciskamy na naszych europejskich partnerów, aby robili więcej. Uważam więc, że mamy pełne prawo mówić Europie, co jest ważne i w jakim kierunku powinniśmy podążać. Przy wzroście PKB wynoszącym w tym roku 3,5 proc., a może nawet 3,6 proc., w rzeczywistości wnosimy większy wkład we wzrost gospodarczy Unii Europejskiej niż Niemcy.

W każdej polskiej dyskusji pojawiają się Niemcy. Profesor Acemoğlu pisze o tym zresztą w swoich książkach.

Czasami wytyka pan nam potknięcia, ale chyba zgadza się, że kilkakrotnie dokonaliśmy właściwych wyborów, zwłaszcza w 1989 r., prawda? Wybraliśmy gospodarkę rynkową, wybraliśmy liberalną demokrację, wybraliśmy Unię Europejską i NATO.

Daron Acemoğlu: Polska jest bardzo inspirującym przykładem. Wzrost gospodarczy, o którym wspomina minister, jest w dzisiejszych czasach niezwykły. Przez większość ostatnich 35 lat Polska należała do najszybciej rozwijających się gospodarek kontynentu, co osiągnęliście m.in. dzięki integracji z Europą. Warto się Polsce przyglądać także pod kątem rozwoju liberalnej demokracji, ponieważ wyzwania, przed którymi stanęła, są powszechne we wszystkich krajach rozwiniętych i wielu rozwijających się. Wiemy, że w części społeczeństwa rośnie niezadowolenie z pewnych aspektów liberalnej demokracji i nie należy tego ignorować. Trzeba stawić temu czoła, wysłuchać skarg, zająć się niezadowoleniem i znaleźć wspólny język bez

DARON ACEMOĞLU mówca Impact'26, profesor Massachusetts Institute of Technology (MIT), jednej z najbardziej prestiżowych uczelni na świecie.

W 2024 r. otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie ekonomii. Zajmuje się wpływem instytucji politycznych i gospodarczych na rozwój oraz dobrobyt społeczeństw, a w ostatnich latach także wpływem automatyzacji i sztucznej inteligencji na gospodarkę i rynek pracy. Jest autorem i współautorem wielu książek, w tym „Dlaczego narody przegrywają” (polskie wydanie z 2024 r.) oraz „Władza i postęp. Tysiąc lat walki o technologię i dobrobyt” (2025).



Daron Acemoğlu odebrał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu 12 maja 2026 r.

dzielenia społeczeństwa. To proces. Nie jestem pewien, czy Polska już go wdraża. Ale dobrze wiecie, że takich trudnych wyborów nie da się uniknąć, a kompromisy są niezbędne.

Myszę też, że Unia Europejska stała się dysfunkcyjna na wielu polach. Konieczne jest ponowne przemyślenie sposobu, w jaki ma działać. Sztuczna inteligencja i wzrost znaczenia międzynarodowych korporacji dodatkowo skomplikowały sytuację. Czy wiecie, że roczne przychody każdej z siedmiu największych firm branży technologicznej w Stanach Zjednoczonych są obecnie dwukrotnie większe, po uwzględnieniu inflacji, niż przychody całego Imperium Brytyjskiego w połowie XIX w.?

Tak więc PKB całego imperium brytyjskiego to zaledwie połowa przychodów Google'a, Microsoftu, Nvidii lub Tesli. Ludzkość nigdy wcześniej nie widziała tak potężnych organizacji. A to właśnie one rozwijają dziś najbardziej przełomowe technologie. Jak więc praktykować demokrację? Jak nadrobić zaległości, gdy tak bardzo pozostaje się w tyle za technologią?

Rynki kapitałowe, podobnie jak ceny energii, to też duży problem w Europie. Największym wyzwaniem jest jednak zintegrowanie rynku technologicznego i ekosystem sprzyjający innowacjom. To kuleje, a dla gospodarki jest kluczowe. Niezadowolenie wynikające z nierówności społecznych i spowolnienia wzrostu gospodarczego jest jednym z największych zagrożeń dla współczesnych demokracji. Nie można jednak poświęcać wzrostu gospodarczego, zwłaszcza jeśli chce się ocalić demokrację. Wzrost musi iść w parze z mądrą polityką technologiczną. Jak miałyby ona wyglądać? Tego nikt jeszcze nie wie. Jak państwo średniej wielkości, takie jak Polska, poradzi sobie pośród wszystkich regulacji i targów toczących się w Unii Europejskiej, gdy każdy ciągnie w innym kierunku? To dla was prawdziwe wyzwanie egzystencjalne.

W latach 90. i przez dekadę po nich mieliśmy dość niekorzystną sytuację wynikającą z braku przywilejów historycznych – startowaliśmy z gorszej pozycji niż kraje Europy Zachodniej. Ale teraz mamy lepsze autostrady niż Niemcy. Mylę się?

Daron Acemoğlu: Tyle że to nie tylko polskie autostrady się poprawiły, ale też niemieckie znacznie się pogorszyły.

Czy Polska ma szansę stworzyć własne globalne firmy technologiczne na miarę OpenAI czy ASML? A może pozostaniemy krajem montażu i podwykonawców, jak w modelu IKEA?

Andrzej Domański: Nie zgadzam się, że Polska pozostanie gospodarką typu IKEA. To dla mnie nie do przyjęcia. Sukces, jaki osiągnęliśmy, wynika z reform lat 90. i powstania silnych instytucji. Oczywiście możemy dyskutować, czy nie mogłoby być lepiej, ale na przykład nasz niezależny bank centralny jest silniejszy niż w wielu krajach Europy Środkowej.

Mamy ambicje, mamy talenty, jesteśmy bardzo dobrze zintegrowani z globalnymi łańcuchami wartości (GVC) i – co niemniej ważne – jesteśmy także dużym, liczącym 37 mln konsumentów rynkiem. W wielu technologiach możemy wykonać skok jakościowy, dzięki czemu unikniemy niektórych pułapek. Obecnie inwestujemy miliardy w fotowoltaikę i robimy to po znacznie niższych cenach niż kraje zachodnioeuropejskie. To korzyści z bycia późnym graczem w tej grze. Myszę, że w ciągu najbliższych 10, może 12 lat Polska będzie najbardziej wpływową gospodarką w Europie. Niektórym z was może się to wydawać trudne do osiągnięcia, ale właśnie dlatego tego chcemy – bo jest to trudne. Polska jest obecnie szóstą co do wielkości gospodarką Unii Europejskiej. Wszyscy skupiają się na G20, ale dla mnie fakt, że jesteśmy w grupie E6, czyli sześciu największych gospodarek w Europie, jest chyba ważniejszy. Dlaczego? Ponieważ aktywnie kształtujemy kierunek, w którym zmierza Unia Europejska. Udało nam się na przykład przekonać Komisję Europejską, że trzeba deregulować nasze gospodarki. W Brukseli nazywają to „upraszczaniem”.

A co może spowodować dziś poważniejsze zawirowania w gospodarce? Czy będzie to sztuczna inteligencja, amerykańskie cła, a może konflikty zbrojne?

Andrzej Domański: Nie boję się cel, bo mają niewielki wpływ na polską gospodarkę. Raczej skupiłbym się na dalszym ujednolicaniu europejskiego rynku. Badania Międzynarodowego Funduszu Walutowego pokazują, że bariery wewnętrzne w Unii Europejskiej są równoważne z cłem w wysokości 44 proc. dla towarów i 110 proc. dla usług. Nawet gdyby Trump zdecydował, że chce o 5 czy 10 proc. wyższych cel, czego oczywiście nie zalecam, to jako Europa

ANDRZEJ DOMAŃSKI ekonomista i polityk, od 2023 r. członek rządu Donalda Tuska. Początkowo pełnił funkcję ministra finansów, a od lipca 2025 r. jest ministrem finansów i gospodarki. Ukończył Akademię Ekonomiczną w Krakowie (obecnie Uniwersytet Ekonomiczny) i posiada kwalifikację CFA (Chartered Financial Analyst). Przed wejściem do polityki przez wiele lat pracował na rynku kapitałowym jako analityk, zarządzający funduszami i dyrektor inwestycyjny.

poradzimy z tym sobie, skupiając się na rynku wewnętrznym. Jeśli chodzi o konflikty zbrojne, zwłaszcza na Bliskim Wschodzie – każdego ranka po obudzeniu sprawdzam ceny ropy. To nawyk z czasów, kiedy pracowałem na rynku kapitałowym. Niestety, biorąc pod uwagę sytuację w tym regionie, uważam, że dla gospodarki europejskiej, w tym polskiej, to wciąż poważne wyzwanie.

Globalna gospodarka zwykle jest odporna na takie zawirowania.

Daron Acemoğlu: W tej chwili jest tak wiele nie wiadomych, że chyba nikt nie umie oszacować tej odporności. Niektórzy uważają, że światowa gospodarka stała się bardziej elastyczna, ale ja nie jestem o tym przekonany. Ceny energii nadal są bardzo ważne, mimo że jej udział w PKB w każdym kraju spadł. Moim zdaniem duża część wzrostu wynika z boomu na sztuczną inteligencję w Stanach Zjednoczonych i Chinach oraz jego wpływu na inne gospodarki świata. Ale ma to też słabe punkty. Po pierwsze, chociaż inwestycje w sztuczną inteligencję są bardzo szybkie, to model monetyzacji tych firm jest bardzo wątpliwy. Nie jest jasne, w jaki sposób będą one w stanie odzyskać te inwestycje. Sytuacja ta może więc ulec pogorszeniu. Ponadto łańcuch dostaw związany ze sztuczną inteligencją ma też inne słabe ogniwa, których nie bierzemy pod uwagę. Wysokie ceny energii mogą uderzyć w budowę centrów danych i infrastruktury potrzebnej do rozwoju AI. Oczywiście konflikt między Iranem a Stanami Zjednoczonymi był strzałem w kolano. Można było uniknąć tego błędu, ale przeforsowała go administracja Trumpa. Teraz będzie miał dalsze reperkusje i to na całym świecie. Jestem zaniepokojony tym wszystkim. Tym bardziej że trudno mi wskazać najślabszy element tej układanki. Obawiam się, że jest ich wiele.

Andrzej Domański: Chciałbym dodać jedną rzecz do tego, co powiedział profesor Acemoğlu. Obserwujemy te ogromne inwestycje i widzimy, że jak dotąd przynoszą one bardzo niewielkie zyski. Ale faktem jest też, że firmy wyciągają z rynków ogromne ilości kapitału. Mogłby być on wykorzystany w innych sektorach w bardziej produktywny sposób. Nie wiemy, jaka będzie wydajność tych inwestycji za pięć, 10, 15 lat. Być

ACEMOĞLU: NIEZADOWOLENIE WYNIKAJĄCE Z NIERÓWNOŚCI SPOŁECZNYCH I SPOWOLNIENIA WZROSTU GOSPODARCZEGO JEST JEDNYM Z NAJWIĘKSZYCH ZAGROZEŃ DEMOKRACJI.

może guru sztucznej inteligencji mają rację. Jeśli jednak tak nie jest, oznacza to, że jako społeczeństwo, jako światowa populacja możemy stracić 10 lub 15 lat, a konsekwencje tego mogą być bardzo bolesne.

Daron Acemoğlu: Pierwszą rzeczą, nad którą jako ekonomiści powinniśmy się zastanowić, jest rozważenie kosztu alternatywnego, czyli tego, co można było jeszcze zrobić. I nie chodzi tylko o inne sektory. Potencjał wykorzystania AI do pożytecznych celów jest ogromny. Nie uważam, że obecne działania w USA, tak bardzo skoncentrowane na sztucznej inteligencji ogólnej i dużych modelach językowych, prowadzą nas w tym kierunku. Właśnie w tym leży szansa dla Europy. Nie usłyszycie tego ode mnie często, ale w tym przypadku możemy się uczyć od Chin. Jeśli spojrzymy na chińskie inwestycje w sztuczną inteligencję od 2015 r., to zdecydowana większość z nich została przeznaczona na wdrażanie AI w codziennych usługach, a nie wyłącznie na rozwój chatbotów. Oczywiście jest to zintegrowane z nadzorem i wiąże się z wieloma bardzo negatywnymi aspektami. Również w procesie produkcyjnym Chiny inwestują w sztuczną inteligencję znacznie więcej niż Stany Zjednoczone. Istnieje ku temu dobry powód, ponieważ cała energia w USA skupia się na dużych modelach językowych, a produkcja ma tam drugorzędne znaczenie. W Europie jest inaczej, ponieważ wzrost gospodarczy – dotyczy to także Polski – opiera się w dużej mierze na produkcji i właśnie w niej sztuczna inteligencja znalazłaby wiele zastosowań. To szansa dla Europy. Pozwoliłoby to uniknąć kosztów alternatywnych związanych z inwestowaniem wszystkich środków w procesory graficzne i ogromne chmury obliczeniowe. Odnowiona agenda dotycząca AI mogłaby być bardzo proeuropejska. ■

Daron Acemoğlu, Simon Johnson, „Władza i postęp. Tysiąc lat walki o technologię i dobrobyt”, Wydawnictwo Zysk i S-ka, 2025



Rozmowa odbyła się 13 maja 2026 roku podczas Impact'26.

W KOSMOSIE NIE MA KOSZA NA ŚMIECI

Jako czternastolatek nie podniósł ręki, gdy nauczycielka zapytała, kto sympatyzuje z Václavem Havlem. Dziś Martin Vohánka, czeski przedsiębiorca i założyciel Eurowagu, inwestuje swój majątek w obronę demokracji. – Nie budujemy wokół niej pasji, emocji ani przywiązania. Dlatego grozi nam przegrana – uważa.

ROZMAWIAŁ:
Jerzy Wójcik

Martin, w końcu udało mi się złapać cię na chwilę, by porozmawiać o zgoła niewakacyjnych tematach: o konsumentach demokracji, o których często mówisz w swoich wystąpieniach. Zanim jednak przejdziemy do polityki, powiedz proszę, gdzie dokładnie jesteś i co tam robisz?

Martin Vohánka: Jestem teraz w moim domku letniskowym w Mikulovie w południowo-wschodnich Czechach, gdzie spędzam całe lato. Wielu Polaków je odwiedza, jadąc na południe – ostatnie miasto z zamkiem na szczycie wzgórza, przed granicą z Austrią. Niedawno uruchomiliśmy tu z moją żoną Hanką duży projekt naszej fundacji Nadace BLÍŽKSOBĚ, we współpracy z lokalnym samorządem. Chodzi o rewitalizację Koziego Hrádku – zameczku na jednym z trzech skalistych wzgórz Mikulova, z wieżą armatnią z XV w. Zaoferowaliśmy ratuszowi wkład finansowy, profesjonalne studium oraz bezpłatny audyt firmy specjalizującej się w pozyskiwaniu dotacji. Projekt się rozrósł i objął teren wielkości dwóch boisk piłkarskich. Jego wartość sięga 1,5 mln euro, a finansowanie pochodzi z miasta, naszej fundacji i państwa. W przeszłości takie inwestycje zamożniejszych obywateli były czymś naturalnym – wynikały z lokalnej i narodowej dumy. Chcielibyśmy przywrócić tego ducha. W naszej części świata setki ludzi dba o dziedzictwo kulturowe, często nie mając takich zasobów jak my. Szanujemy ten wysiłek i kibicujemy im z całego serca. Wracając do twojego pytania – uważam, że największym zagrożeniem dla demokracji jest to, że obywatele przestają ją współtworzyć i stają się jedynie jej konsumentami. Wciąż mówimy o liberalnej demokracji, praworządności, prawach człowieka czy wolnych mediach, ale wszystkie te pojęcia stały się w pewnym sensie puste. Nie są już po prostu „hot”. Tymczasem w innych częściach świata narasta zupełnie inna dynamika: w Stanach Zjednoczonych rosną w siłę ruchy konserwatywne, rewanżystowskie, nacjonalistyczne i izolacjonistyczne. W Rosji podobny kierunek od dziesięcioleci narzucany jest odgórnie.

MARTIN VOHÁNKA | mówca IMPACT'26



ZDJĘCIE: MATERIAŁY PRASOWE

Często mówisz o tym, że ludzie są znudzeni demokracją w dotychczasowym kształcie.

To prawda. Po prostu ją konsumujemy. Fundamenty demokracji powstały po II wojnie światowej pod egidą Stanów Zjednoczonych, które patronowały tworzeniu międzynarodowych instytucji, a my korzystaliśmy z tego ładu. Na początku lat 90. mieszkańcy dawnego bloku wschodniego uwierzyli, zgodnie z tezą mówcy Impact'25 Francisca Fukuyamy o końcu historii, że liberalna demokracja, wolny rynek i praworządność zostały wywalczone na zawsze. Dlatego przestaliśmy o nie dbać. Dziś zachodni model traci impet, atrakcyjność i treść, podczas gdy w Rosji Putin konsoliduje władzę. Dlaczego to niepokojące? Posłużę się analogią z fizyki. Gdy zderzają się dwa obiekty – jeden nieruchomy, zimny i pozbawiony energii, drugi rozpędzony i atrakcyjny – to kierunek dalszego ruchu wyznacza ten, który ma większy impet. Obawiam się, że podobnie może być z demokracją. Nie budujemy wokół niej pasji, emocji ani przywiązania, nie mamy też narracji zdolnej zmobilizować ludzi do jej obrony. Dlatego grozi nam przegrana.

MARTIN VOHÁNKA
czeski przedsiębiorca, filantrop i założyciel firmy technologicznej Eurowag. Należy do najbogatszych Czechów, a swój majątek i czas przeznaczają m.in. na wspieranie edukacji, niezależnych mediów i demokracji w Europie Środkowo-Wschodniej. Podczas Impact'26 w Poznaniu odebrał Philanthropic Impact Award, ustanowioną przez „Forbes Polska”, Impact CEE i fundację Philanthropy for Impact, przyznaną osobom, które wykorzystują swój sukces, by działać na rzecz innych.

Łatwo mówić o zaangażowaniu z perspektywy sukcesu. Ty zaczynałeś od sprzedaży polis towarzystwa Pojišťovna Morava w Ústí nad Labem. Potem zająłeś się paliwami, a pierwszych klientów objeżdżałeś wypożyczoną Škodą Favorit. Jak radzić sobie z ryzykiem i porażką, gdy chce się zmieniać rzeczywistość wokół siebie?

Kluczem jest unikanie mentalności ofiary i przyjęcie postawy twórcy. Trudności wyczerpują, kiedy postrzegasz je jako pech. Jeśli się zastanowisz, co zaniedbałeś, czego się jeszcze nie nauczyłeś – porażka przestaje być ciężarem, a staje się źródłem wiedzy. Po studiach na Harvardzie, kiedy przekształcałem Eurowag z przedsiębiorstwa handlującego paliwem w firmę technologiczną, podjąłem ogromne ryzyko. Przez cztery lata pchałem wielki kamień pod górę, nie wiedząc nawet, jak zrekrutować dyrektora ds. technologii. Ale eksperymentowanie to jedyna droga rozwoju – w biznesie i w społeczeństwie obywatelskim.

Chcę cię zapytać, jak zbudować sojusz równych ludzi – obywateli, mediów, NGO-sów. Kiedy przyszła zima w Ukrainie, zaczęły się blackouty oraz bombardowania infrastruktury, rozpoczęliśmy z kolegami kampanię „Ciepło z Polski do Kijowa”, która rozeszła się po Europie. Zaczynaliśmy od tysiąca dolarów, a skończyliśmy z milionami i realną pomocą. Połączyliśmy NGO-sy, niezależne media po obu stronach i biznes. Prawie 70 proc. środków pochodziło od zwykłych ludzi – dołączyło 80 tys. osób. Potem zauważyłem czeską akcję „Dárek pro Putina” – byliście tacy szybcy, skuteczni i cholernie zabawni! Jak podtrzymać tę energię, angażować ludzi także poza kryzysem i trwale połączyć te światy?

Nie ma tu prostej odpowiedzi. Wszystko zaczyna się od tworzenia relacji. Często bywam w Polsce – nie tylko w celach biznesowych, ale też by się spotkać z tutejszym środowiskiem filantropijnym. Niedawno w Bułgarii poznałem zaangażowanych ludzi, między innymi przedsiębiorców z diaspory, którzy odnieśli sukces za granicą, a dziś wracają i angażują się społecznie. Bez sieci kontaktów i relacji nie ma gleby, z której wyrastają wspólne projekty. Przez długi czas Polska i Czechy były skupione na budowaniu własnych firm i państw. Dziś widzimy, że nic nie jest dane na zawsze. Jeśli chcemy chronić własne podwórko, biznes i kraj, musimy brać odpowiedzialność także za to, co dzieje się szerzej. Wciąż zmagamy się z dziedzictwem komunizmu i monarchii austro-węgierskiej – przekonaniem, że państwo oraz instytucje wszystkim się zajmą. Nie wychodzimy

poza własne poletko: przedsiębiorca poza biznes, dziennikarz poza pisanie. Tymczasem każdy z nas pełni wiele ról społecznych. Przyjęcie ich tworzy więzi i nadaje społeczeństwu impet. Odnajduję ludzi o podobnej tożsamości i tworzymy sieć dobra, ruch humanistyczny. W Polsce to Wiktor Schmidt, Ewa Voelkel i skupione wokół nich środowiska filantropijne. Korzystamy wzajemnie ze swoich doświadczeń. Zanim pojawią się konkretne projekty, trzeba zbudować sieć relacji opartych na zaufaniu. Musimy być cierpliwi. Zanim zacnie się biegać, trzeba nauczyć się chodzić.

Technologia i algorytmy uruchamiają siły odśrodkowe, zamykające ludzi w bańkach. Często w tym kontekście wspomina się o panelach obywatelskich. Czy to jest innowacja, która może uratować lokalną demokrację?

Zdecydowanie tak. Jeśli chcemy przetrwać, musimy przywrócić wartość bezpośrednim kontaktom międzyludzkim w świecie rzeczywistym. Model paneli obywatelskich, który promujemy przez naszą fundację, polega na losowym wyborze reprezentatywnej grupy obywateli – na przykład 100 osób z różnych środowisk. Po zapoznaniu się z ekspertami debatują oni nad kluczowymi wyzwaniami, takimi jak polityka klimatyczna czy lokalne reformy. Kiedy ludzie o różnych poglądach siadają przy jednym stole i rozmawiają, polaryzacja znika, a zaczyna się szukanie rozwiązań. To praktyczny sposób na przechodzenie od roli konsumenta do współtwórcy.

Jak nie dopuścić, by krąg filantropijny oderwał się od obywateli? Jeśli osiągasz bogactwo i cele, spotykasz się z ludźmi o podobnej pozycji, ale przecież wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Pieniądze i zdrowie przychodzą i odchodzą. Jak zadbać o to, by dobre intencje przyniosły trwałe efekty?

Mówisz o legitymizacji filantropii i to jest dobry punkt wyjścia. Trzeba przestrzegać czterech zasad. Pierwsza to pełna przejrzystość – warunek demokracji. Filantropia nie może działać według innych reguł.

Druga: głębokie rozumienie tematu. Wielu bogatym ludziom brakuje gotowości, by wraz z pieniędzmi wnieść swoje know-how. Jestem dumny nie z kwot przeznaczonych na filantropię, lecz z tego, że zawsze dokładałem do nich swój czas, wiedzę i doświadczenie. To ogranicza ryzyko szkód i zwielokrotnia efekt. Osiągnąłem więcej niż ludzie, którzy po prostu zlecają przelew do

UNICEF-u czy innej organizacji. Trzecia zasada: zerowy zysk i gotowość poniesienia straty. To podstawowa higiena w projektach politycznych i opartych na wartościach. Promuję w Czechach przyjęcie euro, bo zobowiązaliśmy się do tego, wstępując do Unii Europejskiej. To ważny symbol jedności Europy. Mój biznes na tym straci, ponieważ część jego przychodów pochodzi z przewalutowań.

Czwarta zasada to inkluzywność. Projekt przepchnięty bez uwzględnienia innych może być nietrwały i szkodzić pozostałym interesariuszom. Trzeba przekonać jak najwięcej ludzi. To sprawdzian, czy obraliśmy właściwy kierunek. Wszyscy działamy zgodnie ze swoim systemem przekonań, więc musimy sprawdzać, czy nasze działania są zgodne z wartościami. Wkraczając w przestrzeń publiczną, bierzesz odpowiedzialność i ryzykujesz błąd, ale autentyczna troska o innych jest podstawą człowieczeństwa.

Dlaczego pomagasz? Kto dał Ci ten pierwszy impuls?

Złożyło się na to kilka rzeczy. Po pierwsze, rodzice. Byli ideowymi, zapalonymi komunistami, a ojciec aparaczką. Wychowywałem się w środowisku zamkniętym na inne poglądy. Miałem 14 lat, gdy nadeszła aksamitna rewolucja. Pamiętam moment z listopada 1989 r.: nauczycielka weszła do klasy i zapytała, kto czuje sympatię do Václava Havla. Zobaczyłem las rąk, a sam – całkowicie zindoktrynowany – siedziałem z założonymi rękami, razem z innym kolegą. Nie potrafiłem sobie wtedy wyobrazić innego świata. Dla moich rodziców upadek reżimu oznaczał zawalenie się świata i przerażającą wizję bezrobocia. Dla mnie okazał się ogromnym darem. Wkraczałem w nową epokę z czystą kartą, którą musiałem sam zapisać od A do Z – bez barier i traum. Mimo że w oczach rodziców stałem się „wrogiem klasowym”, przejąłem od nich dwie kluczowe postawy. Po pierwsze, poczucie odpowiedzialności za dobrobyt i harmonię swojej wspólnoty. Ich ideologia zawiodła w praktyce, ale odruch troski był czysty. Po drugie, proaktywność. Rodzice angażowali się w politykę, więc postawa aktywnego obywatela była w naszym domu normą. Wiedziałem, że mam wpływ na bieg spraw – jeśli chcę coś zmienić, wychodzę z domu i działam. Dali mi też miłość i wolność, bez nadopiekuńczości, i przestrzeń do rozwoju.

Druga lekcja przyszła z biznesu, który nazywam przyspieszonym laboratorium życia. Zacząłem wcześniej: w szkole średniej chodziłem po blokowiskach i sprzedawałem ubezpieczenia na życie. Zakładałem nawet okulary, żeby wyglądać poważniej! Prowizje dawały mi wolność, ale ważniejsza była nauka pokory i relacji. Zrozumiałem, że prawdziwy sukces jest wtedy, gdy dzielisz go z innymi. Dbając o wszystkich interesariuszy – klientów, pracowników, środowisko, regulatorów i akcjonariuszy – tworzysz sytuację „win-win” i sam rośniesz. Czynisz dobro, a ono do ciebie wraca – tak działa echo wszechświata.

Filantropia jest racjonalna: dbając o otoczenie, dbamy też o siebie. Dlaczego inwestuję w demokrację i edukację, czyli kapitał społeczny kraju? Około 15 lat temu przeczytałem książkę profesora Igora Lukeša o Czechosłowacji z czasów między układem monachijskim a komunistycznym puczem w 1948 r. Jej przesłanie było proste: gdy liberalne elity i demokratyczna większość przestają dbać o kraj, próżnię wypełniają populisci, naziści i ekstremiści. Bezczytność demokratów otwiera drogę autorytaryzmowi. Podobnie jest dziś: za dużo konsumujemy, za mało budujemy.

Mówi się, że w naszej zachodniej kulturze brakuje tzw. pierwiastka żeńskiego. Co przez to rozumiesz i jak to wpływa na biznes oraz działalność społeczną?

Mamy dziś nadmiar pierwiastka męskiego: nastawienia na wynik, bezwzględnej rywalizacji i chłodnej racjonalności. Przesterowaliśmy system w stronę wskaźników, marż i EBITDA (zysk przed odsetkami, podatkami i amortyzacją – przyp. red.). Musimy przywrócić równowagę – więcej empatii, słuchania i bezwarunkowej troski o drugiego człowieka. Biznes i filantropia to w gruncie rzeczy relacje. Jeśli postępujesz etycznie i dbasz o harmonię, otaczają cię ludzie gotowi pomóc. Jeśli kierujesz się arogancją i wyłącznie zyskiem, sam stawiasz sobie przeszkody.

Uwierzyliśmy, że udane życie można zoptymalizować i przeliczyć na marżę czy EBITDA. W biznesie to działa, ale czy tymi miarami da się opisać nasze potrzeby i wartości?

Problemem, który widzimy choćby w USA, są narastające nierówności majątkowe oraz różnice w dostępie do władzy i szans. Kapitalizm i nagradzanie osobistej aktywności stały się podstawą nowoczesnych społeczeństw, ale ta zasada ma granice. Gdy dzięki AI czy nowym technologiom pojedyncze osoby w ciągu dwóch lat stają się najbogatszymi ludźmi na świecie, a 50 mln innych żyje poniżej granicy ubóstwa, system traci sens. W tradycyjnej gospodarce budowanie majątku wymagało czasu. Internet ten proces przyspieszył, a AI skróciła go do minimum.

Ramy regulacyjne nie nadążają za nowym modelem ekonomicznym. Elon Musk, decydując o dostępie do Starlinka, może wpływać na przebieg wojny między państwami. Dawniej monopole takie jak Standard Oil czy AT&T dzielono na mocy prawa antymonopolowego. Koncentracja majątku nie jest niczym nowym. Już Stary Testament, by zapobiec nadużywaniu władzy, nakazywał w roku jubileuszowym zwrot własności do pierwotnych właścicieli (według Księgi Kapłańskiej rok pięćdziesiąty, następujący po siedmiu cyklach siedmioletnich – przyp. red.). Dotychczas nierówności korygowały głównie rewolucje i wojny.

Dzisiejsze elity technologiczne napędzają rozwój, ale nie kwapią się do stworzenia modelu społecznego, z którego skorzystaliby wszyscy. Zaawansowana robotyka i AI zastąpią ludzi w wielu zawodach. Musimy więc na nowo przemyśleć kwestie zatrudnienia, dochodów

ZROZUMIAŁEM, ŻE PRAWDZIWY SUKCES JEST WTĘDY, GDY DZIELISZ GO Z INNYMI. DBAJĄC O KLIENTÓW, PRACOWNIKÓW, ŚRODOWISKO, REGULATORÓW I AKCJONARIUSZY, TWORZYSZ SYTUACJĘ „WIN-WIN” I SAM ROŚNIESZ.

i podatków. To wielkie zadanie dla liberalnej demokracji na najbliższe 20 lat: jak sprawić, by w świecie AI zwykły człowiek mógł rozkwitać.

Żeby dawać z siebie tak dużo – prowadzić firmę na dwa tysiące osób i działać prodemokratycznie – trzeba mieć niesamowity rezerwuar energii. Jak dbasz o własną równowagę?

Co rano medytuję przez 15 minut. Daje mi to wewnętrzne osadzenie i poczucie, że jestem częścią większej całości. Nauczyłem się, że aby skutecznie pomagać innym, trzeba najpierw zadbać o własne ciało, ducha i relacje. Nienegocjowalne są dla mnie relacja z żoną i czas z rodziną. Pamiętam też o podstawowej zasadzie: w kosmosie nie ma kosza na śmieci. Nie da się ukryć błędów ani nieuczciwości. Wszystko, co robisz – dobre i złe – w końcu do ciebie wraca.

Ostatnie pytanie z Lenina: jak żyć?

Nie być tylko konsumentem, lecz brać odpowiedzialność i budować. ■

Martin Vohánka odebrał pierwszą w historii Philanthropic Impact Award podczas Impact'26 w Poznaniu. Nagrodę ustanowiły „Forbes Polska”, Impact CEE i fundacja Philanthropy for Impact.



JESTEM METAFIZYKIEM PRZESTRZENI

Przez lata jeździł na Wschód, kuszony bezkresem, rozpadem i poczuciem wolności.

Dziś mówi, że rosyjska dusza to towar eksportowy upadłego imperium, a jego literatura to antyzachodni pean.

Andrzej Stasiuk opowiada o swojej Europie, podróżach po Zakarpaciu i rumuńskim Maramureszu.

ROZMAWIĄŁ:

Sławomir Sierakowski

Zacznijmy od mężczyzn. To ważna grupa społeczna, ale już nie tak bardzo, jak by chciała, stąd debata o kryzysie męskości w Polsce. Ty zawsze byłeś jednym z symboli męskości...

Andrzej Stasiuk: Symbolem męskości? Człowieku, opanuj się.

Nie kryguj się, Andrzej. Kolejne pokolenia się przeglądają w twoich powieściach.

Napisałem parę książek o nieudacznikach i przegrywach. Faceci nie potrafią się dziś załapać tam, gdzie by chcieli, więc robią z siebie nieszczęśników. To dziś są wzory dla mężczyzn – lęk, strach, niechęć maskowana cwaniactwem i siłownią. A ja? Zamiast na politykę patrzeć, jak pasą się moje owce. Przez okno je oglądam. Przeszła burza, zrobiło się chłodno, jest piękne światło, zmierzchowe. To jest wzór mojej męskości.

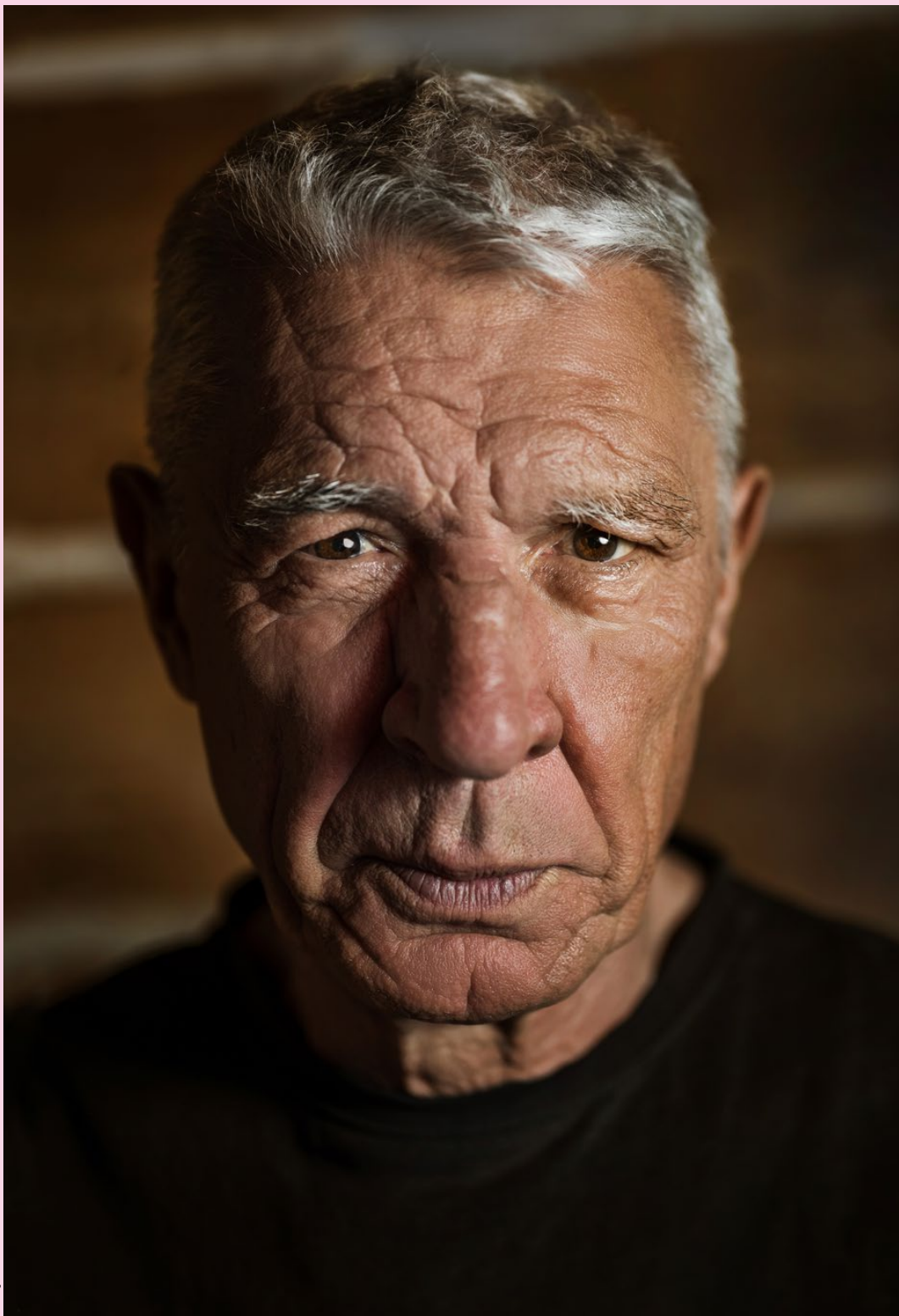
Co się zmieniło w Polsce przez ostatnie 10–15 lat?

Pozmieniało się trochę. Więcej chaosu, więcej nihilizmu. Radykalne postawy są na to odpowiedzią: poszukiwaniem mocnych, niepodwa-

żalnych, twardych, oczywistych prawd. A takich prawd nie ma. Tylko że nikt tym biednym chłopakom nie powiedział: słuchajcie, ten świat jest niepewny, nie wiadomo, jak jest, musicie się nauczyć w tym żyć. Żyć w niepewności i dokonywać własnych wyborów, żeby zachować męskość, człowieczeństwo, rozsądek, uczciwość – cokolwiek. Żaden przywódca ci tego nie powie. Nie wyjdzie i nie ogłosi: nie wiem, jak jest. To wszystko jest odpowiedzią na potwornie zmienną, chaotyczną, nierzezywistą rzeczywistość, która zmienia się z dnia na dzień. A do tego korzystamy z nieustannego zapośredniczenia – nie masz już kontaktu ze światem, tylko ze światem zapośredniczonym, w którym wszystko możesz sobie znaleźć, wybrać własną historię. Rewolucja technologiczna i antropologiczna naraz, a do tego jeszcze zmiana polityczna, wszechświatowa. Trudno z tym żyć. Czasem myślę: jak ci młodzi sobie z tym radzą? A jak myśmy mieli fajnie. Wróg był wrogiem, przyjaciel przyjacielem. Teraz masz tysiące, miliony ofert – wybieraj, kim zostać, po której stronie się opowiedzieć, kim być. Oferty gotowe: klikasz i wyskakuje ci przebranie, strój, maska. Byliśmy ostatnim szczęśliwym pokoleniem, tak sobie teraz myślę.

Ja się chyba jeszcze załapałem. Przynajmniej na to, że można w życiu dostać w dupę i trzeba sobie jakoś radzić.

Wyjdziesz z warszawskiej bańki wielkomiejskiej – na prowincji młodzi dalej dostają w dupę. Może bardziej psychicznie. Tyle że do tego mają jeszcze te mamiące obrazy świata.



ANDRZEJ STASIUK prozaik i eseista związany z Beskidem Niskim, współzałożyciel Wydawnictwa Czarne. Autor m.in. „Murów Hebronu”, „Opowieści galicyjskich”, „Dukli” oraz „Jadąc do Babadag”, za którą otrzymał Nagrodę Literacką „Nike”. Laureat wielu prestiżowych wyróżnień, m.in. Nagrody Literackiej Gdynia, Nagrody im. Stanisława Vincenza i Austriackiej Nagrody Państwowej. Jego książki przetłumaczono na większość języków europejskich, a także na język koreański.

Andrzej Stasiuk,
„Rzeka dzieciństwa”,
Wydawnictwo Czarne,
2024



ANDRZEJ STASIUK | mówca IMPACT LEADING MINDS

Gdy patrzę na roczniki 10–20 lat młodsze, widzę dryfowanie. Bardzo dobre wykształcenie, za którym nie idzie umiejętność radzenia sobie w sytuacjach kryzysowych.

Uczestnictwo w kulturze polega także na czytaniu, a na spotkania autorskie przychodzą głównie baby. Taka jest prawda. Baby jeżdżą, czytają, interesują się, mają coś do powiedzenia. I ja jestem z tego bardzo zadowolony. To one są zainteresowane ofertą kulturalną, ich świadomość się rozwija. Zawsze powtarzam: chłopaki, czytajcie książki, będzie wam łatwiej podrywać dziewczyny. Bajer to podstawa. A dobry bajer jest z czytania.

Tvoja ostatnia książka, której fragment czytałem, jest o Rosji. Żyliście w ustabilizowanym przekonaniu: kultura rosyjska – wielka, ciekawa, intrygująca. Wydała pisarzy, jakich my, przynajmniej w powieści, nie mieliśmy. Tak mówił Miłosz i wyróżniał tylko „Lalkę”.

Rosję trzeba maksymalnie osłabić, przynajmniej na kilkadziesiąt lat, żeby nie wyciągała łap po nieswoje. To można zrobić. A kultura rosyjska? Ona zawsze była propagandowo wykorzystywana. Wielka powieść rosyjska to jest w gruncie rzeczy pean antyzachodni. Wylew kompleksów, niechęci, nienawiści do Zachodu.

W tym do Polaków i Żydów.

Tak, ale to jest chór: o Rosji jako zbawicielce narodów. O molochu, który ledwo dyszy. Ja się po Rosji najeździłem – tylko nie po tej elegancji – i nikt mi nie powie, że to mocarstwo albo wielka kultura. Za duże to jest, żeby się do końca rozpadło. Będzie trwało tak na pół rozwalone. Apokalipsa po apokalipsie. Żałuję, że nie mogę tam jeździć. Lubię ten klimat – rozpadu, zniszczenia, bezkresu, apokalipsy właśnie. Tej antyludzkości.

JA JESTEM METAFIZYKIEM PRZESTRZENI. ZWIERZĘCIEM ŁADOWYM. GDY MAM OKAZJĘ PRZEJECHAĆ SIEDEM TYSIĘC KILOMETRÓW, ROBIĘ TO Z RADOŚCIĄ I ODDANIEM.

A co cię tam tak pociągało?

Właśnie to. Jestem katastrofistą, uwielbiam takie klimaty. Nie chciałem tam mieszkać, broń Boże – chciałem przejechać. Popatrzeć, doświadczyć. Bo to jest przestrzeń, po prostu. Największa przestrzeń świata do przejechania.

Czego ty właściwie potrzebujesz od tej przestrzeni?

Nie wiem. Jedni potrzebują się napić, a inni potrzebują przestrzeni. Ja jestem metafizykiem przestrzeni. Zwierzęciem lądowym. Gdy mam okazję przejechać siedem tysięcy kilometrów, robię to z wielką radością i oddaniem. A to możesz zrobić w Rosji.

A może ty po prostu lubisz samochody, a przestrzeń wypada przy okazji?

U nas jazda to mordęga: nie da się odlać na poboczu, wszystko uregulowane, okamerowane. A tam... Do samej Rosji pojechałem raz w życiu, do Irkucka, na dwa tygodnie. Ale do mojej Azji Centralnej zawsze jeździłem przez Rosję i to było kapitalne doświadczenie. Sparafrazuję Świetlickiego: Putin spierdolił mi wakacje. Teraz, jak ktoś powiedział, do Rosji można pojechać już tylko na czółgu. A jednak jest coś pociągającego w tym kraju. Kraj autozagłady. Kraj apokaliptyczny.

Czarne wydało książkę Sergieja Miedwiediewa „Powrót rosyjskiego Lewiatana”, w której autor pisze: „Suwerenność to nie tylko tytuł prawny do zajmowanych terytoriów, to także zdolność do ich racjonalnego użytkowania i przekazywania następnym pokoleniom w nienaruszonym stanie. W tym sensie Rosja straciła już suwerenność na setkach tysięcy kilometrów zalanych ropą naftową, skażonych radioaktywnymi izotopami i innymi produktami ubocznymi uprzemysłowienia i militaryzacji”. Nie masz poczucia, że właśnie to zawsze niezdrowo pociągało ludzi na Zachodzie? Stąd te rozmowy o rosyjskiej duszy – nieprzeniknionej, wielkiej, przerażającej.

Tylko że ta słynna ruska dusza to jest produkt. Propagandziści to wymyślili: Rosja – Trzeci Rzym, rosyjska dusza. A potem jedziesz przez tę głubinkę (ros. глубинка – określenie głębokiej prowincji, przyp. red.), zapijaczoną, zniszczoną, śmierdzącą, i jaka rosyjska dusza? Nie ma w tym żadnej duszy. To jest eksportowy towar upadłego imperium. Mnie kultura rosyjska przeszła kompletnie. Kiedyś wydawaliśmy Rosjan. Przychodzą pomysły, żeby coś wydać – nie. Rosji nie tłumaczymy.

Uważasz, że to błąd, że kultura rosyjska została wyparta ze sfery publicznej?

Sami ją wyparli. Tym, co zrobili. Mówisz „kultura rosyjska” – myślisz „Bu-cza”. Proszę cię: jaka powieść jest w stanie to obronić? Jaka? Nie ma takiej. Koniec. Czyścić dla kultury rosyjskiej, tak uważam. Pewnie niektórzy się teraz poobrażają, proszę bardzo. Jakoś przeżyjemy bez niej. Bez Czajkowskiego damy radę. Ukraińcy mają wybitnych pisarzy – to ich wydajemy. A Rosjanie niech sobie posiedzą w tym czyścicu. Niech sobie uświadomią, że sami to sobie zafundowali. Sami zmarginalizowali swoją wielką kulturę. Na własne życzenie. Czy ja ostatnio czytałem coś rosyjskiego? Nic nie czytałem.

A nie ostatnio?

Wydawało się, że Zachar Prilepin będzie wybitnym pisarzem. „Sańkja” to świetna książka. I co? Wylądował w wojsku i jest dziś rosyjskim fałszywą. Tak to wygląda: jakiego rosyjskiego liberała byś poskrobał, zawsze wyjdzie szowinista. Popatrz na słynny wiersz Brodskiego o niepodległości Ukrainy. Taki tytan intelektu, światowa gwiazda – poskrobałeś trochę i typowy ruski jest.

A Solżenicyn?

Ten akurat z zasługami, rzeczywiście. Tyle że potwornie źle pisał. Jego książki są koturnowe, nudne, wyrabane siłą woli, pod gotową tezę. Nie dało się tego czytać. „Archipelag Gułag” przeczytałem, ale z ciekawości.

Popierasz zakaz wjazdu Rosjan do Europy? Czy przeciwnie – lepiej, żeby jednak chłonęli tu trochę normalności?

I co z tego, że wchłoną normalność? Przecież cała wierchuszka wchłaniała europejską normalność latami – na jachtach, w szwajcarskich i angielskich rezydencjach. I co wchłonęła? Co? Jest taka ładna ruska anegdota o Kozaku. „Iwan, co byś zrobił, gdybyś został carem?”. „Podpierdoliłbym sto rubli i uciekł”. Oni są zakompleksieni wobec Zachodu, wobec cywilizacji, którą zawsze podziwiali i którą w związku z tym musieli pogardzać, powtarzając sobie, że Zachód im nie podskoczy. To jest nieuleczalne. Kompleks wyższości i niższości w jednej głowie. To są Polacy, tylko cztery razy bardziej.

A miałeś rosyjskich przyjaciół albo pisarzy, którzy okazali się pozytywnym zaskoczeniem?

Mam przyjaciółkę Rosjankę, która uciekła z Rosji. Ostatnio straciliśmy kontakt, co mnie smuci. Oprócz niej przyjaciół tam nie miałem. Najedździłem się przez Rosję i nigdy nie miałem tam ciekawych znajomych.

A wydawcy, pisarze, których publikowaliście, tłumacze?

Zachara Prilepina chyba nawet nie poznałem. Choć jego menedżer proponował mi kiedyś, żebym wpadł do niego na front, popatrzeć, jak Zachar sobie radzi w Czeczenii. Podziękowałem.

Czy z twoich podróży wynika, gdzie kończy się Europa?

Ostatnio byłem w Rumunii. Cudowna Europa. Jedziesz tą północną trasą, wzdłuż Maramureszu – piękna droga, jedziesz sobie na wschód, jedziesz i jedziesz. Wioski ładne, ale jakby ze starowieku: wciąż konna robota, siano zbierają grabiami. Rolnictwo mają 20–30 lat za Polską, a jednocześnie po wsiach śmigają najnowsze ładowarki. I masz cudowne poczucie przemieszania. Potem skręcasz w prawo, w drogę, po której jedzie się cztery na godzinę, kanionem wypłukanym przez rzekę – i wyjeżdżasz na poloniny, na łąki jak ze stepu mongolskiego. Palisz ognisko, żeby niedźwiedź nie podszedł, i stoisz sobie tam dwa–trzy dni. A potem jedziesz na Ukrainę, bo tam są fajne przejścia. Nie ma tej chamowaty przejścia polsko-ukraińskiego, tego tumultu, tej arogancji, zwłaszcza polskich służb.

Przez Rumunię wjeżdżasz na Zakarpacie i po prostu – bardzo ładnie. To jest Maramuresz. Nie myślę o Zachodzie, kiedy myślę „Europa”. Z Moniką jeździmy tam teraz nawet na te tak zwane wakacje. Przepiękny kraj. Moja Europa. Trochę ją sobie zawężilem.

Ty w ogóle jesteś bliżej wschodniej części Europy. Właściwie dlaczego? Nie ufasz zachodniej? Nie podoba ci się, nie identyfikujesz się z nią?

Słucham instynktu – na tym Wschodzie po prostu bardziej mi się podoba. Mniej kamer, mniej cywilizacji. Ile byś się musiał najeździć po Zachodzie, żeby wyjechać na step?

Skoro powiedziałeś, że Rosjanie to Polacy, tylko cztery razy bardziej – może da się to odwrócić w twoją stronę? Tak jak oni cztery razy bardziej nie znoszą Zachodu, tak i ty masz w sobie tę nieufność.

Nie mam nieufności. Nie miałem po prostu nigdy wielkiej ciekawości. Porządek tego Zachodu mnie deprymuje, rozumiesz? Ja naprawdę lubię wysiąść z samochodu i się odlać. Wyjechać na rumuński step i rozbić namiot. Nie kombinować, czy dron przyleci, bo nie wolno palić ognia. A w Rumunii można dziko obozować i nikt się nie przypieprzy. Poza parkami, oczywiście – ja jestem głęboko za parkami. Takich miejsc jest tam mnóstwo, a ja mam do nich cztery i pół godziny jazdy. Wiesz, to jest trochę zastępstwo za Rosję. Nie mogę już przez Rosję pojechać do Mongolii, to jeżdżę na ukraińskie Zakarpacie i do Maramureszu. Ja zawsze byłem za wolnością. Mogę sobie wybrać Europę Wschodnią – bo ona, jak widzisz, cały czas jest interesująca. Cały czas. Wiem oczywiście, że Zachód ma swoje Południe, musi się z tym wszystkim dogadywać – i z nami też. Ale to jest moja Europa.

To gdzie się kończy?

Europa się nigdzie nie kończy. To znaczy: kończy się w Donbasie. Tam się w tej chwili kończy – i tam się broni. Ukraina jest najbardziej europejskim ze wszystkich europejskich krajów. I płaci za to cenę, jakiej my sobie nawet nie wyobrażamy. Dlatego chcę być bliżej niej. A dalej od mojego ukochanego Wschodu apokalipsy. ■

DEMOGRAFIA I JEJ MITY

Zanim zapytamy, dlaczego rodzi się coraz mniej dzieci, powinniśmy zadać kilka innych pytań. Niekoniecznie będą dotyczyły ekonomii.

TEKST:

Krystyna Romanowska

Jeszcze kilkanaście lat temu odpowiedź na pytanie o przyczynę spadku liczby urodzeń wydawała się stosunkowo prosta i oczywista. Młodzi ludzie odkładają decyzję o dziecku, bo nie mogą liczyć na kupno mieszkania, stabilną pracę czy pomoc w opiece nad potomstwem. Taka diagnoza była wygodna również dla polityków. Skoro problem jest przede wszystkim ekonomiczny, można próbować rozwiązać go za pomocą kolejnych programów wsparcia. Dziś coraz więcej demografów uważa, że taki sposób myślenia nie pozwala w pełni wyjaśnić zachodzących zmian.

– Dotychczasowa wiedza o uwarunkowaniach prokreacji nie wystarcza – mówi prof. Irena Kotowska, emerytowana profesorka zwyczajna w Instytucie Statystyki i Demografii Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, honorowa przewodnicząca Komitetu Nauk Demograficznych PAN, członkini Naukowej Rady Statystycznej GUS i Rządowej Rady Ludnościowej. Jedna z najważniejszych polskich badaczek procesów ludnościowych zwraca uwagę, że obok czynników ekonomicznych coraz większe znaczenie mają zmiany kulturowe, sposób budowania relacji, zdrowie reprodukcyjne, technologie oraz narastająca niepewność dotycząca przyszłości.

– Wiemy już bardzo dużo o wpływie wykształcenia, sytuacji materialnej czy polityki rodzinnej, ale dziś pojawiają się nowe zjawiska, których wcześniej nie było. Technologie komunikacyjne zmieniają relacje między kobietami i mężczyznami. Nie potrafimy jeszcze powiedzieć, jaki będzie ich wpływ na dzietność, ale jestem przekonana, że właśnie tutaj należy szukać części odpowiedzi na pytanie, dlaczego młodzi ludzie odkładają rodzicielstwo lub z niego rezygnują – zaznacza profesor Kotowska. – Potrzebujemy nowych badań, bo jesteśmy u progu nowego etapu rozpoznawania tego, jak będą podejmowane decyzje o dzieciach.

Nie jest to wyłącznie polska diagnoza. Według prognozy opublikowanej w 2024 r. na łamach „The Lancet” pod koniec XXI w. jedynie sześć spośród 204 analizowanych państw i terytoriów ma utrzymać dzietność powyżej poziomu zastępowalności pokoleń. Również przewidywania ONZ wskazują, że po osiągnięciu maksimum około lat 80. XXI w. liczba ludności świata zacznie spadać. Jeszcze pół wieku temu największym wyzwaniem wydawało się prze-ludnienie. Dziś coraz więcej państw zastanawia się, jak powstrzymać kurczenie się kolejnych pokoleń.

CIĄGLE WIĘCEJ, ALE JEDNAK MNIEJ

– Jeszcze przez co najmniej 50 lat liczba ludności będzie rosła mimo nominalnego spadku urodzeń w większości krajów Europy, a coraz częściej także Azji. Okazuje się, że kraje stereotypowo uważane za „dzietne” – takie jak Indie, Bangladesz i Indonezja – odnotowują przez ostatnie lata sukcesywny spadek urodzeń, chociaż wciąż jeszcze współczynnik dzietności gwarantuje tam zastępowalność pokoleń – mówi dr hab. Piotr Szukalski, demograf, profesor Uniwersytetu Łódzkiego, członek Komitetu Prognoz PAN i Komitetu Nauk Demograficznych PAN. – Globalnie, mimo że dzietność się zmniejsza z 4,9 do 2,3 dziecka, na świecie wciąż przybywa ludzi i jeszcze przez jakiś czas będzie się tak działo, ponieważ urodzone podczas pików demograficznych



lat 90. do 1,83 w 2021 r. Wielu ekspertów uznało, że właśnie tak powinna wyglądać skuteczna polityka prorodzinna. Tymczasem już dwa lata później liczba urodzeń ponownie zaczęła gwałtownie spadać. Cudu nie ma. W maju 2026 r. Czeski Urząd Statystyczny podał, że współczynnik dzietności w 2025 r. wyniósł 1,28 dziecka na kobietę.

Okazało się, że nawet dobrze zaprojektowane rozwiązania instytucjonalne nie są w stanie całkowicie odwrócić długofalowych zmian społecznych.

Już ponad 20 lat temu czeski demograf Tomáš Sobotka przewidywał, że kraje Europy Środkowo-Wschodniej po upadku komunizmu wejdą na ścieżkę trwale niskiej dzietności, późnego rodzicielstwa i szybkiego starzenia się społeczeństw. Wskazywał, że transformacja ustrojowa oznacza nie tylko zmianę gospodarczą, ale również głęboką zmianę stylu życia i modelu rodziny. Dwie dekady później jego prognozy w dużej mierze się potwierdziły – Polska, Czechy, Węgry czy Rumunia doświadczają podobnych procesów, a kraje dodatkowo dotknięte masową emigracją stały się laboratoriami depopulacji.

Ale są też pozytywne zaskoczenia. Na przykład japońskie miasteczko Nagi, które często określa się mianem „demograficznego cudu”. Dzięki konsekwentnie prowadzonej od ponad dwóch dekad polityce wspierania rodzin – od rozbudowy opieki nad dziećmi, przez dopłaty mieszkaniowe, po lokalne programy integrujące społeczność – współczynnik dzietności wzrósł tam z 1,4 w 2005 r. do rekordowych 2,95 w 2019 r., a w 2021 r. nadal wynosił 2,68 dziecka na kobietę. To ponad dwukrotnie więcej niż średnia Japonii. Nagi pozostaje jednak wyjątkiem, a nie modelem, który można by bezpośrednio przenieść do wielkich miast czy całych państw.

NAJTRUDNIEJ STWORZYĆ ZWIĄZEK

W 2013 r. demografowie Nicoletta Balbo, Melinda Mills i Francesco Billari, który będzie gościem na Impact Leading Minds w Warszawie, pokazali, że współczesna niska dzietność nie ma jednej przyczyny. Jest efektem nakładania się wielu procesów: wydłużania edukacji, późniejszego wchodzenia w dorosłość, niepewności ekonomicznej, przemian ról kobiet i mężczyzn oraz innych zmian kulturowych. To właśnie ich połączenie sprawia, że coraz mniej dzieci przychodzi na świat. Potwierdzają to badania prowadzone w ramach

kobiety teraz rodzą dzieci. Wysoka dzietność nadal utrzymuje się w Omanie i Jemenie, na południu Półwyspu Arabskiego. Co ciekawe, demografowie jeszcze niedawno wieszczili, że proces zmniejszania się liczby ludzi będzie wolniejszy. Okazało się, że jest szybszy niż nasze estymacje – dodaje.

Polska notuje dziś jeden z najniższych wskaźników dzietności na świecie. W 2025 r. wyniósł on zaledwie 1,07 dziecka na kobietę, podczas gdy dla zastępowalności pokoleń potrzebny jest poziom ok. 2,1. I nie jesteśmy wyjątkiem. Z podobnymi problemami mierzą się kraje skandynawskie, a także Francja, Japonia czy Korea Południowa, mimo że od lat prowadzą znacznie bardziej rozbudowaną politykę prorodziną. To właśnie dlatego badacze coraz ostrożniej podchodzą do prostych wyjaśnień i szukają odpowiedzi wykraczających poza ekonomię.

Dobrze pokazuje to przykład Czech. Jeszcze kilka lat temu były przedstawiane jako demograficzny sukces Europy Środkowej. Dzięki elastycznym urlopom rodzicielskim, rozwiniętej opiece nad dziećmi i szerokiemu dostępowi do leczenia niepłodności współczynnik dzietności wzrósł z 1,13 pod koniec

międzynarodowego programu Generations and Gender Programme (GGP) w 11 krajach Europy. Wynika z nich, że większość Europejczyków nadal chce mieć więcej dzieci, niż ostatecznie ma. Kobiety w wieku 18–29 lat deklarują, że chciałyby mieć średnio od 1,82 dziecka (Finki) do 2,47 (Mołdawianki), jednak pod koniec wieku rozrodczego rzeczywista liczba urodzonych dzieci jest wyraźnie niższa. Problemem nie jest więc zanik pragnienia rodzicielstwa, lecz rosnący rozdzźwięk między planami a ich realizacją. Badacze wskazują, że odpowiadają za to przede wszystkim odkładanie rodzicielstwa, niepewność życiowa oraz trudności w godzeniu pracy z życiem rodzinnym.

Na ten sam problem zwraca uwagę profesor Kotowska. – Nie demonizowałabym narracji niechętniej rodzicielstwa. Skupiłabym się raczej na tych ludziach, którzy chcą mieć dzieci, a z różnych powodów nie mogą. Programy in vitro, leczenie niepłodności i edukacja dotycząca zdrowia reprodukcyjnego powinny być dostępne dla wszystkich – podkreśla.

To prowadzi do jeszcze jednego ważnego wniosku. Problem często zaczyna się znacznie wcześniej niż decyzja o pierwszym dziecku. Żeby pojawiło się dziecko, najpierw musi powstać para. – Największym problemem współczesnej demografii nie jest już tylko rozpad rodzin, lecz trudność w tworzeniu trwałych związków. Jeśli nie powstają związki, nie mogą się również pojawić dzieci – mówi Mateusz Łakomy, dyrektor programu Demograficon w Polskim Towarzystwie Gospodarczym, mówca Impact'26 i autor książki „Demografia jest przyszłością. Czy Polska ma szansę odwrócić negatywne trendy?”.

Jeszcze kilkanaście lat temu sądzono, że o różnicach w dzietności między krajami decydują przede wszystkim decyzje par dotyczące kolejnych dzieci. Dziś wiadomo, że kluczowe jest coś wcześniejszego – sama możliwość stworzenia trwałego związku. Pokazały to badania Arnsteina Aassvego, Pau Bazána i Francesco Billariego porównujące Szwecję i Hiszpanię. Choć mieszkańcy obu krajów deklarowali podobne plany dotyczące liczby dzieci, młodzi Szwedzi znacznie częściej przed trzydziestką żyli w stabilnych związkach. Badacze oszacowali, że aż trzy czwarte różnicy w liczbie pierwszych urodzeń przed 30. rokiem życia wynikało właśnie z częstszego tworzenia par, a nie z odmiennych preferencji

dotyczących rodzicielstwa. W ten sam obraz wpisują się dane z Polski. Wiek zawierania małżeństw i urodzenia pierwszego dziecka systematycznie rośnie, coraz więcej osób przez dłuższy czas żyje samotnie, a etap przechodzenia od edukacji do stabilnego życia rodzinnego się wydłuża. Samo odłożenie decyzji o posiadaniu dzieci nie oznacza jeszcze rezygnacji z nich, ale skraca czas na realizację wcześniejszych planów.

Zmienia się także samo podejście do rodzicielstwa. Jak zauważa prof. Irena Kotowska, dawniej kobiety koncentrowały się przede wszystkim na unikaniu nieplanowanej ciąży, dziś natomiast poczęcie dziecka staje się rezultatem świadomej decyzji – to dwa odmienne sposoby myślenia.

Podczas tegorocznego VI Kongresu Statystyki Polskiej obalono również jeden z najbardziej rozpowszechnionych mitów dotyczących demografii. Wbrew obiegowym opiniom wyższe wykształcenie kobiet nie oznacza rezygnacji z macierzyństwa. Badania programu Generations and Gender Programme pokazują, że kobiety z wyższym wykształceniem częściej zostają matkami jednego lub dwojga dzieci, niż pozostają bezdzietne. Zależność ta jest najsilniejsza w krajach, które skutecznie pomagają łączyć pracę zawodową z wychowywaniem dzieci. Problemem nie jest więc brak chęci posiadania dzieci przez wykształcone kobiety, lecz stworzenie warunków, które pozwolą im pogodzić życie rodzinne z zawodowym.

CZY SMARTFON JEST ANTYKONCEPCJĄ

Do tego dochodzą zmiany technologiczne, których wpływ dopiero zaczynamy rozumieć, a które mogą się okazać ważniejsze, niż nam się wydaje.

Profesor Kotowska podkreśla, że nie ma jeszcze badań pozwalających precyzyjnie oszacować ich wpływ, ale trudno ignorować fakt, że nowe technologie zmieniają sposób nawiązywania i utrzymywania relacji. – Komunikatory, aplikacje randkowe i pornografia zmieniły charakter relacji. Nie wiemy jeszcze, jak silny wpływ będzie to miało na procesy demograficzne, ale jeśli preferowanym modelem staną się krótkotrwałe związki oparte przede wszystkim na przyjemności, dzieci z tego nie będzie – ocenia demografka.

Podobnie patrzy na to Mateusz Łakomy. – Smartfony i media społecznościowe dostarczają szybkiej dopaminy i zastępują prawdziwe relacje. Coraz więcej czasu spędzamy przed ekranami, a coraz mniej z drugim człowiekiem – mówi. Nie oznacza to oczywiście, że media społecznościowe są główną przyczyną niskiej dzietności. Byłoby to zbyt daleko idące uproszczenie. Coraz więcej badaczy traktuje je raczej jako element szerszej zmiany stylu życia – obok wydłużającej się edukacji, większej mobilności zawodowej, rosnącej liczby jednoosobowych gospodarstw domowych czy osłabienia tradycyjnych wzorców życia rodzinnego.

Właśnie dlatego pytanie o liczbę urodzeń coraz częściej okazuje się pytaniem o jakość relacji społecznych. Jeśli młodzi ludzie później tworzą trwałe związki, później podejmują decyzję o wspólnym życiu albo w ogóle nie znajdują partnera, polityka rodzinna działa dopiero na końcu procesu, a nie u jego źródła. Warto jednak zachować ostrożność w formułowaniu wniosków. Kryzys relacji nie jest jedynym wyjaśnieniem spadku liczby urodzeń. Równie istotne są głębokie przemiany społeczne, które w ostatnich dekadach zmieniły sposób myślenia o pracy, rodzinie, rolach

kobiet i mężczyzn oraz o samym znaczeniu rodzicielstwa. To one sprawiają, że współczesna demografia staje się znacznie bardziej złożona niż jeszcze pokolenie temu.

NIE BĘDZIE JEDNEGO ROZWIĄZANIA

Jednym z największych błędów w dyskusji o demografii jest przekonanie, że istnieje jeden dominujący powód spadku liczby urodzeń. Raz winne mają być mieszkania, innym razem świadczenia społeczne, emancypacja kobiet, media społecznościowe albo zmiana systemu wartości. Tymczasem współczesne badania prowadzą do znacznie bardziej złożonego obrazu. Ta zmiana sposobu myślenia wydaje się dziś najważniejszym wnioskiem płynącym z badań nad współczesną demografią. Jeszcze niedawno pytaliśmy przede wszystkim, dlaczego rodzi się coraz mniej dzieci. Dziś coraz częściej okazuje się, że wcześniej trzeba odpowiedzieć na inne pytania: dlaczego młodzi ludzie coraz później tworzą trwałe związki, dlaczego tak wielu z nich nie realizuje planów dotyczących rodziny i jak stworzyć warunki, które pozwolą je urzeczywistnić.

Podobne wnioski płyną z najnowszych badań prowadzonych także w Polsce. Program „Rodzina 500+” przeanalizowała Anna Bokun, socjolożka i demografka zajmująca się przemianami rodziny. W badaniu opublikowanym w 2024 r. w czasopiśmie naukowym „Demographic Research”, opartym na danych z lat 2010–2018, oszacowała, że świadczenie zwiększyło roczne prawdopodobieństwo urodzenia dziecka średnio o 1,5 pkt proc., lecz jego oddziaływanie było nierównomierne. Wzrost dzietności zanotowano w grupie kobiet w wieku 31–40 lat, natomiast wśród najmłodszych oraz najlepiej sytuowanych wpływ programu był niewielki.

Oznacza to, że wsparcie finansowe może przyspieszyć decyzję o dziecku u części rodzin, ale nie usuwa barier związanych z późniejszym tworzeniem związków, niepewnością życiową czy trudnościami z godzeniem pracy zawodowej z rodzicielstwem.

To dobrze współgra z wnioskami prof. Ireny Kotowskiej. Jej zdaniem celem współczesnej polityki rodzinnej nie powinno być przekonywanie ludzi do posiadania dzieci za pomocą kolejnych zachęt finansowych, lecz usuwanie przeszkód, które utrudniają realizację planów rodzicielskich. Oznacza to inwestowanie nie tylko w świadczenia, ale także w mieszkalnictwo, opiekę nad dziećmi, zdrowie reprodukcyjne, elastyczny rynek pracy i rozwiązania ułatwiające budowanie trwałych relacji.

Również Mateusz Łakomy przekonuje, że skuteczna polityka demograficzna nie może się ograniczać do kolejnych świadczeń. – Nie wystarczy jeden program finansowy. Potrzebne są zmiany dotyczące rynku pracy, mieszkalnictwa, jakości relacji i zdrowia psychicznego młodych ludzi – mówi.

Podkreśla także, że obecny system często nie odpowiada realiom rynku pracy. Według danych GUS wskaźnik zatrudnienia kobiet w wieku 20–64 lata wynosi w Polsce 72,5 proc. Nie można jednak ustalić, ile kobiet w wieku rozrodczym pozostaje poza systemem ubezpieczeń zapewniającym prawo do zasiłku macierzyńskiego – wiadomo jedynie, że nie obejmuje on wszystkich. Za równie ważne uznaje konieczność odbudowania społecznego zaplecza dla rodziny. – Zostawiliśmy młodych dorosłych samym sobie. Nie ma już wsparcia społecznego dla bycia w rodzinie. Większości

NAJWIĘKSZYM PROBLEMEM WSPÓŁCZESNEJ DEMOGRAFII NIE JEST JUŻ TYLKO ROZPAD RODZIN, LECZ TRUDNOŚĆ W TWORZENIU TRWAŁYCH ZWIĄZKÓW.

ludzi po prostu brakuje zasobów, żeby samemu poradzić sobie z budowaniem trwałego związku i rodziny – mówi. Jego zdaniem równie ważne jest zapewnienie stabilnych warunków zatrudnienia, bezpieczeństwa ekonomicznego oraz wsparcia rodziców na różnych etapach życia, a także tworzenie okoliczności, które pozwolą młodym ludziom wcześniej zakładać rodziny. Nie wierzy również, że kryzys demograficzny rozwiąże migracja.

– Może być ona elementem polityki demograficznej, lecz nigdy nie zastąpi własnego potencjału ludnościowego. Podstawowym rozwiązaniem pozostaje zwiększenie liczby urodzeń wśród osób mieszkających w Polsce – uważa. Czasu na działanie jest coraz mniej. – Demografię można poprawić, ale im później zaczniemy działać, tym mniejszą populację uda się ostatecznie ustabilizować. W demografii każda dekada zwłoki oznacza kolejne nieurodzone roczniki dzieci, których nie da się już odzyskać – mówi Mateusz Łakomy. Jak skrupulatnie wyliczył węgierski demograf Csaby G. Tóth: gdyby Polska od początku lat 90. utrzymała współczynnik dzietności na poziomie zapewniającym zastępowalność pokoleń, w latach 1990–2020 urodziłoby się ok. 5,5 mln dzieci więcej. Dziś większość z nich byłaby już w wieku produkcyjnym – pracowaliby jako lekarze, nauczyciele, przedsiębiorcy czy inżynierowie, zasilać rynek pracy i system podatkowy. Ich brak – czy tego chcemy, czy nie – odczuwamy dziś w postaci niedoboru pracowników, szybkiego starzenia się społeczeństwa oraz rosnącej presji na system emerytalny i ochronę zdrowia. ■

Europa bez dzieci. Co czeka gospodarkę

Od ponad 50 lat w Europie rodzi się coraz mniej dzieci. To efekt długotrwałych zmian społecznych i ekonomicznych, które objęły także Polskę.

Jak spadek liczby ludności wpłynie na wzrost gospodarczy, rynek pracy i finanse państwa?

TEKST: Marek Skawiński,
Michał Kulbacki (XYZ)

Demografia stała się kluczowym tematem w debacie publicznej. Rekordowo niska liczba urodzeń, starzenie się społeczeństwa i pesymistyczne prognozy odnośnie do spadku liczby ludności sprawiają, że pytania o przyczyny niskiej dzietności i jej konsekwencje stają się coraz ważniejsze.

► **Wykres nr 1** pokazuje długookresowe zmiany współczynnika dzietności (TFR – Total Fertility Rate) w latach 1960–2024 dla Polski oraz czterech grup państw europejskich: Europy Zachodniej i Północnej, Europy Południowej, Europy Środkowo-Wschodniej i części państw byłej Jugosławii. Mimo odmiennej historii wszystkie regiony łączy wyraźny trend – systematyczny spadek liczby rodzących się dzieci. Różnice dotyczą przede wszystkim jego początku, tempa oraz poziomu, na którym dzietność się ustabilizowała w ostatnich dekadach. Najwcześniej proces ten rozpoczął się w Europie Zachodniej i Północnej. Już na początku lat 70. XX w. w Niemczech czy Finlandii współczynnik dzietności wynosił 1,6–1,7 dziecka na kobietę, a zatem znacznie poniżej tego, który

teoretycznie zapewnia wymienialność pokoleń (2,1). Pod koniec dekady już praktycznie w każdym z krajów grupy (oprócz Francji) wahał się on między 1,4 a 1,7.

ZMIANY KULTUROWE, PIGUŁKA I KRYZYS NAFTOWY

Jakie były przyczyny tej zmiany? Nie da się wskazać jednego czynnika. Najważniejsze wydają się przemiany zachodzące w społeczeństwie – późniejsze zawieranie małżeństw, więcej związków nieformalnych, rosnące przyzwolenie społeczne na rozwody, a także dążenie do samorealizacji kosztem przestrzegania tradycyjnych norm rodzinnych. Pigułka antykoncepcyjna umożliwiła kontrolowanie liczby dzieci.

W tym czasie wzrósł także poziom wykształcenia kobiet i ich aktywności zawodowej. Zgodnie ze słynnym modelem noblisty Gary'ego Beckera obok skrócenia okna reprodukcyjnego powodowało to wzrost kosztu alternatywnego związanego z posiadaniem dzieci. Rodzice coraz częściej decydowali się mieć mniej potomstwa, aby móc inwestować więcej (czasu, energii i pieniędzy na edukację i zajęcia dodatkowe) w przeliczeniu na jedno dziecko. Ta zamiana ilości na jakość w ekonomii rodziny znana jest jako „quantity–quality trade-off”.

Do tego nadeszły trudniejsze ekonomicznie czasy. „Złoty wiek” gospodarczy Europy po II wojnie światowej zakończył się symbolicznie wraz z kryzysem naftowym w 1973 r. Brak stabilności finansowej sprawiał, że ludzie odkładali decyzje o założeniu rodziny. Sytuację pogarszały także ograniczenia w dostępności mieszkań.

GWAŁTOWNE ZAŁAMANIE NA POŁUDNIU EUROPY

Spośród analizowanych regionów to w Europie Południowej przez długi czas rodziło się najwięcej dzieci. Jeszcze w połowie lat 70. Hiszpania, Portugalia i Grecja utrzymywały współczynnik przekraczający 2,3–2,8 dziecka na kobietę. W tym samym okresie kraje te się zdemokratyzowały. W ciągu zaledwie 10 lat sytuacja gwałtownie się pogorszyła. Już w połowie lat 80. współczynnik dzietności spadł do 1,6–1,7, a pod koniec dekady osiągnął około 1,4. Pod

wieloma względami zachodziły te same procesy co w Europie Zachodniej: zwiększenie poziomu wykształcenia i aktywności zawodowej kobiet, łatwiejszy dostęp do antykoncepcji, liberalizacja norm, problemy mieszkaniowe. Z kilku powodów proces ten był jednak gwałtowniejszy. Opóźnianie zawierania małżeństw silniej wpłynęło na spadek dzietności, bo urodzenia pozamałżeńskie były mniej akceptowane społecznie. Poza tym kraje Europy Południowej nie wprowadziły wówczas instytucji wspierających rodziców w utrzymaniu dziecka, takich jak urlop macierzyński, opieka żłobkowa i przedszkolna czy elastyczny czas pracy.

EUROPA ŚRODKOWO-WSCHODNIA I WYJĄTEK JUGOSŁOWIAŃSKI

W przeciwieństwie do Europy Zachodniej i Południowej w krajach naszego regionu aż do końca lat 80. rodziło się dużo dzieci. Dopiero transformacja ustrojowa i gospodarcza przyniosła bardzo szybki spadek dzietności – z poziomu przekraczającego dwoje dzieci na kobietę do około 1,3 pod koniec lat 90. Polska nie jest żadnym wyjątkiem w tym względzie. Trajektorie współczynnika dzietności jest niemal identyczna jak w całym regionie w ciągu ostatnich 35 lat. W ostatnich latach jego poziom jest nieco niższy, co być może wynika z obawy przed agresją ze strony Rosji.

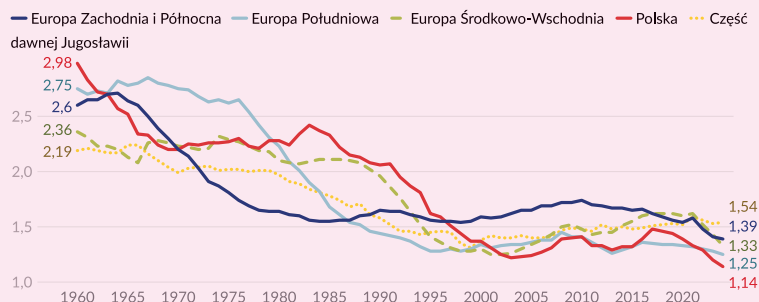
Upadek gospodarki planowej oznaczał likwidację wielu miejsc pracy, wzrost niepewności, pojawienie się bezrobocia i odejście od systemu państwowych zabezpieczeń. W efekcie młodzi ludzie zaczęli odkładać decyzje o małżeństwie i pierwszym dziecku do momentu uzyskania stabilniejszej sytuacji ekonomicznej.

Transformacja zmieniła też model życia rodzinnego. W okresie socjalizmu kobiety masowo pracowały, ale państwo zapewniało rozwiązania ułatwiające łączenie pracy i macierzyństwa, takie jak rozwinięta opieka nad dziećmi czy większa stabilność zatrudnienia. Po 1990 r. część tych mechanizmów osłabła, a jednocześnie wzrosły wymagania rynku pracy i znacznie wykształcenia oraz kariery. Koszt alternatywny posiadania dziecka gwałtownie wzrósł. Do tego doszło przenikanie norm kulturowych znanych z Europy Zachodniej kładących większy nacisk na samorealizację.

Wykres nr 1

Spadek dzietności w Europie

Współczynnik dzietności (TFR) w Europie w latach 1960–2024



* Europa Zachodnia i Północna: Niemcy, Francja, Włochy, Holandia, Belgia, Austria, Dania, Szwecja i Finlandia. Europa Południowa: Hiszpania, Portugalia i Grecja. Europa Środkowo-Wschodnia: Polska, Rumunia, Czechy, Węgry, Bułgaria, Słowacja, Litwa, Łotwa i Estonia. Część dawną Jugosławii: tu Serbia, Chorwacja, Słowenia.
** Średnie nieważone.

Źródło: XYZ na podstawie danych Banku Światowego

XYZ

Interesującym, pośrednim przypadkiem są państwa byłej Jugosławii (Serbia, Chorwacja i Słowenia). W odróżnieniu od krajów Europy Środkowo-Wschodniej nie doświadczyły one gwałtownego załamania dzietności po 1990 r. Spadek rozpoczął się wcześniej i miał bardziej stopniowy przebieg już od lat 70. Dzięki temu okres transformacji nie przyniósł tak silnego szoku demograficznego jak w Polsce, Czechach, Rumunii czy na Węgrzech.

KONSEKWENCJE SPADKU POPULACJI

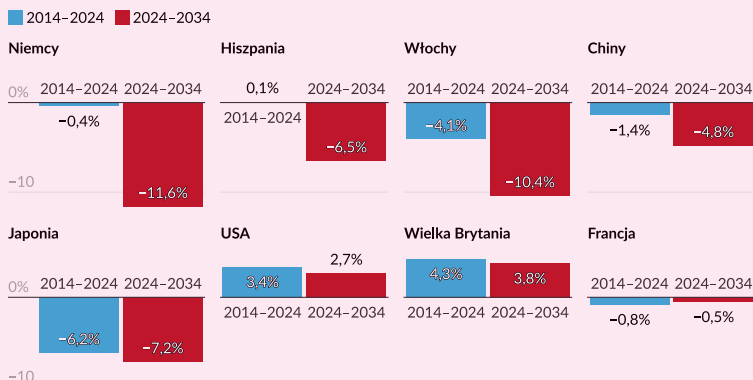
Mniejsza dzietność, o ile nie jest równoważona przez imigrację, w dłuższym okresie prowadzi do spadku liczby ludności w danym kraju. Ma to bardzo istotne konsekwencje gospodarcze, społeczne oraz polityczne.

Wśród skutków stricte ekonomicznych należy wymienić spadek podaży pracy. To z kolei może prowadzić do niedoborów pracowników, a następnie wzrostu płac. O ile jest to zjawisko pozytywne dla samych zatrudnionych, pozostających na rynku pracy, o tyle negatywnie odbija się na firmach. Może sprawić, że koszty

Wykres nr 2

Niekorzystna demografia krajów UE

Zmiana liczby osób w wieku produkcyjnym (20–64 lata) w proc.



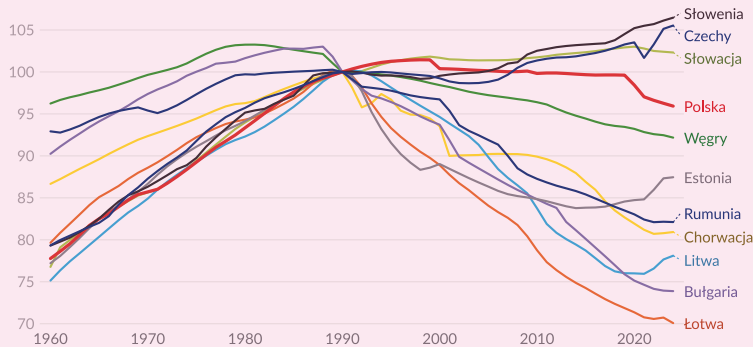
Źródło: XYZ na podstawie ONZ

Wykres nr 3

Większość krajów regionu przeszła transformację gospodarczą przy malejącej populacji

Zmiana liczby ludności w krajach Europy Środkowo-Wschodniej względem 1990 r.

1990 = 100; wynik poniżej 100 oznacza mniejszą populację niż w 1990 r., a wynik powyżej – większą



Źródło: XYZ na podstawie danych UN Population Division

XYZ

pracy będą rosły szybciej niż produktywność, prowadząc do spadku marż przedsiębiorstw. Kurczenie się populacji oznacza też zmniejszenie się liczby konsumentów. Najistotniejszym jednak efektem jest ten bezpośredni – coraz mniej osób w wieku produkcyjnym.

Innym skutkiem depopulacji jest spowolnienie innowacji, ponieważ zwykle to młodzi ludzie są motorem rozwoju – szybciej przyswajają nowe technologie, zmieniają pracę czy zakładają przedsiębiorstwa. Starsi zaś bardziej boją się ryzyka. Wraz ze spadkiem liczby ludności maleją możliwości specjalizacji gospodarki, a przekazywanie wiedzy i doświadczenia staje się coraz trudniejsze. Brak pracowników może prowadzić do zaniku niektórych branż, zwłaszcza tych wytwarzających niższą wartość dodaną. Ze względu na niewielkie marże firmy działające w tych sektorach nie są w stanie oferować wyższych wynagrodzeń, a dalsze prowadzenie działalności przestaje być opłacalne.

Znaczące są również konsekwencje w polityce fiskalnej. Zwiększają się wydatki na emerytury, a także zatrudnienie i nakłady na służbę zdrowia. Może to prowadzić do konfliktu międzypokoleniowego w związku z dyskusją, jaka część budżetu państwa powinna być na takie cele przeznaczana. Starzenie się społeczeństwa zwiększa także obciążenie związane z opieką nad starszymi członkami rodziny.

JAPONIA I RESZTA ŚWIATA

Japonia była pierwszym krajem, który przeszedł (i nadal przechodzi) tak głęboką transformację struktury demograficznej. Liczba osób w wieku produkcyjnym zmniejszyła się od szczytu w połowie lat 90. z 87 mln osób do 73 mln obecnie. Ten spadek zbiegł się w czasie ze stagnacją gospodarczą Japonii. Czynnikiem było więcej, w tym efekty załamania się cen nieruchomości oraz rynku akcji w tym czasie, ale wielu analityków upatruje słabości azjatyckiego państwa właśnie w demografii. Ekonomista Jesús Fernández-Villaverde pokazał, że tempo wzrostu PKB na osobę w wieku produkcyjnym w Japonii było zbliżone do tego w USA w latach 1998–2019. Stagnacja samego PKB wiąże się więc z depopulacją.

Przykłady nie ograniczają się tylko do Japonii. Marzizm włoskiej czy fińskiej gospodarki w cią-

gu ostatnich 15 lat również częściowo wynikał z szybkiego starzenia się społeczeństwa. W najbliższych 10 latach problem ten dotknie również Niemców czy Hiszpanów. A także Chińczyków, co jest konsekwencją polityki jednego dziecka obowiązującej do 2015 r. ► **Wykres nr 2**

DEMOGRAFIA TO NIE DETERMINIZM

Pomimo licznych negatywnych konsekwencji spadku populacji warto jednak pamiętać, że trendy demograficzne nie muszą determinować sytuacji ekonomicznej. Świadczą o tym przykłady państw Europy Środkowo-Wschodniej w okresie początku transformacji gospodarczo-ustrojowej. ► **Wykres nr 3**

Na wykresie widać zmiany populacji w 11 państwach regionu, które przystąpiły do Unii Europejskiej. Rokiem bazowym jest 1990, do którego odnosi się liczbę ludności w latach poprzedzających i późniejszych. W latach 1960–1990 populacja we wszystkich badanych państwach wzrosła. W niektórych bardzo znacząco, na Litwie aż o 1/3. Z kolei w Polsce, Estonii, Słowacji, Słowenii czy na Łotwie o ponad 25 proc.

Po rozpoczęciu transformacji w większości państw regionu rozpoczęła się depopulacja. Najgłębsza była w krajach bałtyckich oraz na Bałkanach. Populacja Łotwy spadła pomiędzy 1990 a 2024 r. aż o 30 proc, w Bułgarii o 25 proc., na Litwie, natomiast w Chorwacji i Rumunii o ok. 20 proc.

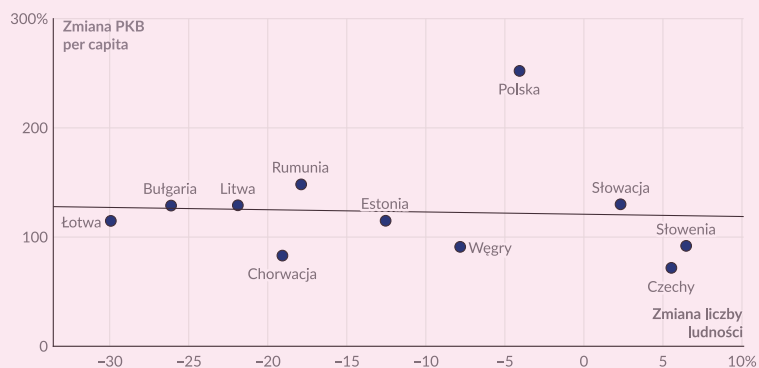
W Polsce sytuacja była bardzo stabilna. Liczba ludności pomiędzy 1990 a 2019 r. utrzymywała się praktycznie na tym samym poziomie. Spadek rozpoczął się w 2020 r., co należy wiązać z wybuchem pandemii. W 2024 r. populacja kraju była o ok. 4 proc. niższa niż w 1990 r. Jednocześnie w trzech państwach liczba ludności nieznacznie wzrosła – w Słowenii (2 proc.), Czechach (5 proc.) i Słowacji (6 proc.). ► **Wykres nr 4**

Zmiany demograficzne nie miały jednak widocznego wpływu na wzrost dochodu na osobę. Kraje, które odnotowały znaczący spadek PKB per capita (mierzone z uwzględnieniem różnicy w cenach), rozwijały się w latach 1990–2024 podobnie jak te, w których populacja malała wolniej czy nawet rosła. Na Łotwie, Litwie czy w Bułgarii spadek ludności był istotny, a skumulowany wzrost gospodarczy na osobę wyniósł 115–130 proc. Podobny wynik

Wykres nr 4

W krajach regionu nie widać zależności pomiędzy tempem wzrostu dochodu na osobę a zmianą wielkości populacji

Zestawienie zmiany populacji oraz zmiany realnego dochodu na osobę w latach 1990–2024 (w proc.)



Źródło: XYZ na podstawie danych Banku Światowego

XYZ

osiągnęła Słowacja, która odnotowała przyrost liczby mieszkańców. Pod względem wzrostu krajem odstającym od regionu była Polska, gdzie dochód na osobę od 1990 r. zwiększył się 2,5-krotnie. Wynikało to jednak z bardzo niskiego punktu startowego w tymże roku.

Wniosek? Wzrost gospodarczy w przeliczeniu na osobę jest zależny od innych czynników niż demografia. W przypadku regionu decydowało o nim wiele elementów, z których wspólnym dla wszystkich krajów i najważniejszym była konwergencja z Unią Europejską, czyli doganianie jej gospodarek.

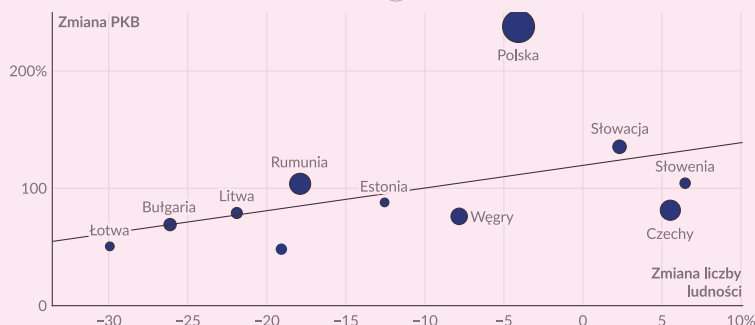
Pogląd, że demografia niekoniecznie musi się wiązać z ograniczeniem wzrostu, podziela również laureat Nagrody Nobla z ekonomii Daron Acemoğlu, gość Impact'26. W opublikowanym niedawno wraz ze współautorami artykule „Baby Busts and Growth Booms” pokazuje, że w przeszłości spadek dzietności i starzenie się społeczeństw nie prowadziły do wolniejszego wzrostu PKB na osobę w wieku produkcyjnym. Niedobór pracowników skłaniał bowiem firmy do szybszego wdrażania technologii

Wykres nr 5

Pozytywna zależność pomiędzy zmianą liczby ludności a wielkością PKB

Zestawienie zmiany populacji oraz zmiany realnego PKB w latach 1990–2024 (w proc.)

Nominalne PKB w 2024 r. (w mld USD) ○ 90 ○ 350 ○ 900



Źródło: XYZ na podstawie danych Banku Światowego

XYZ

W PRZESZŁOŚCI SPADEK DZIETNOŚCI I STARZENIE SIĘ SPOŁECZEŃSTW NIE PROWADZIŁY DO WOLNIEJSZEGO WZROSTU PKB NA OSOBĘ W WIEKU PRODUKCYJNYM. NIEDOBÓR PRACOWNIKÓW SKŁANIAŁ FIRMY DO SZYBSZEGO WDRAŻANIA TECHNOLOGII ZWIĘKSZAJĄCYCH WYDAJNOŚĆ.

zwiększających wydajność, co w dużej mierze kompensowało negatywny wpływ zmian demograficznych na poziom produkcji. Autorzy zastrzegają jednak, że wcale nie musi być tak w przyszłości. W kolejnych dekadach zmiany demograficzne będą znacznie szybsze. ► **Wykres nr 5** Sytuacja wygląda inaczej, gdy spojrzymy na wzrost PKB. Wynika to z prostej matematyki. Skoro ten wskaźnik oznacza dochód na osobę pomnożony przez liczbę ludności, to jej zmiana powinna mieć na niego wpływ. Dlatego kraje, w których spadek populacji pomiędzy 1990 a 2024 r. był mniejszy lub też mieszkańców przybyło, odnotowały wzrost PKB. Ten efekt jest wzmocniony przez znaczne zwiększenie dochodu w Polsce. W połączeniu ze stabilną liczbą ludności przełożyło się to na niemal proporcjonalny wzrost całego PKB.

CO NAS CZEKA

Malejąca liczba osób w wieku produkcyjnym będzie w najbliższych latach jednym z czynników ograniczających tempo wzrostu gospodarczego Polski. Szczególnie silnie odczuwamy to za 10–15 lat. Polska będzie wówczas w innej sytuacji niż kraje Europy Środkowo-Wschodniej, które po wejściu do Unii Europejskiej notowały bardzo szybki wzrost dzięki efektowi doganiania gospodarek Wspólnoty. Państwa takie jak Rumunia czy Bułgaria nadrabiały duży dystans do Zachodu – mimo spadku populacji – przez napływ kapitału, inwestycji zagranicznych, transfer technologii i wzrost produktywności z niskiej bazy. Polska będzie znacznie bliżej poziomu rozwiniętych gospodarek, więc potencjał takiego „łatwego” doganiania okaże się mniejszy.

Spadek liczby pracowników oznacza, że przyszły wzrost będzie w większym stopniu zależał od inwestycji i zwiększenia produktywności. Automatyzacja, cyfryzacja, sztuczna inteligencja, poprawa systemu ochrony zdrowia, lepsza edukacja i efektywniejsza organizacja pracy mogą częściowo kompensować skutki spadku liczby ludności. Niekorzystna demografia złagodzi też groźbę bezrobocia technologicznego związanego z AI. Polska nadal będzie się rozwijać, ale prawdopodobnie w wolniejszym tempie niż w okresie po 2004 r. ■

EXPECT THE UNEXPECTED

impact'27

12-13 MAY

POZNAŃ / WIELKOPOLSKA

CZY DEMOKRACJA PRZETRWA REWOLUCJĘ AI

Każde kolejne wybory wygra ten ośrodek interesów, który dysponuje lepszą sztuczną inteligencją, twierdzi pisarz sci-fi, Jacek Dukaj. Czy ma rację?

TEKST: Kasper Kalinowski,
Gazeta Wyborcza

W styczniu 2024 r. Suharto przemówił do Indonezyjczyków. Były prezydent zachęcał ich, by w nadchodzących wyborach głosowali na kandydatów partii Golkar. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie fakt, że Suharto nie żył od 16 lat.

Nagranie wygenerowane przez AI i rozpowszechnione przez polityków partii Golkar – ugrupowania, które przez dekady stanowiło polityczne zaplecze autorytarnych rządów Suharto – w ciągu kilku dni obejrzano miliony razy. Nie był to fałszywy materiał podsunięty wyborcom przez anonimowych internetowych trolli. Sztuczna inteligencja została wykorzystana otwarcie, by przywrócić do politycznego życia zmarłego prezydenta i posłużyć się jego autorytetem w walce o głosy.

W tym samym roku do urn na całym świecie mogły pójść niemal 4 mld ludzi. Obawiano się, że będą to pierwsze wybory epoki deepfake'ów: fałszywych nagrań, armii botów i komunikatów skrojonych tak precyzyjnie, by celnie trafiały w lęki pojedynczego człowieka.

Pisarz Jacek Dukaj pisał o wyborach prezydenckich w USA w 2024 r., że mogą być „ostatnimi wyborami człowieka”. Każde kolejne wygra ten ośrodek interesów, który będzie dysponował lepszą sztuczną inteligencją. Czy rzeczywiście tak będzie?

GDY GINIE WSPÓLNY ŚWIAT FAKTÓW

W 2024 r. nagranie z wygenerowanym przez AI głosem udającym Joego Bidena nakłaniało wyborców podczas prawyborów w New Hampshire do pozostania w domach. Prawdopodobnie mieliśmy wówczas do czynienia z pierwszą próbą wykorzystania sztucznej inteligencji do ingerencji w wybory za oceanem. Jego zasięg był ponoć stosunkowo niewielki – nagranie miało trafić do 5–25 tys. osób, a jeden ze sprawców został ukarany grzywną.

Niedługo później, tuż przed właściwymi wyborami prezydenckimi, Elon Musk udostępnił na platformie X nagranie, w którym wygenerowana przez AI Kamala Harris mówi, że została



kandydatką demokratów, bo Joe Biden podczas debaty ujawnił niedyspozycje związane z sędziwym wiekiem. Ją samą wybrano zaś ze względu na „różnorodność”, choć tak naprawdę nie potrafi rządzić krajem. Nagranie było oczywiście parodią, ale Musk tego nie zaznaczył. Wpis miał ponad 130 mln wyświetleń. Nie wiemy, ilu wyborców przekonał, ale być może nie to jest najważniejsze. Takie treści roznoszą się i odnoszą sukces, gdy już zadomowią się w debacie publicznej. Ludzie potrafią pamiętać przez lata coś, co nigdy się nie wydarzyło.

Deepfaki związane z politykami stają się w ostatnich latach coraz popularniejsze, zwłaszcza w okresach kampanii wyborczych. Służą nie tylko do dezinformacji, często są też wykorzystywane do tworzenia satyry czy memów. Zdaniem ekspertów zagrożenie, jakie niosą, nie kończy się na tym, że mogą wprowadzać odbiorców w błąd. Niebezpieczne jest również to, że ich istnienie pozwala podważać materiały prawdziwe.

To zjawisko, nazwane w 2018 r. przez profesorów prawa Roberta Chesneya i Danielle Citron „dywidendą kłamcy” („liar’s dividend”), podsuwa politykom prostą strategię przetrwania skandalu: autentyczne, kompromitujące nagranie zawsze można uznać za dzieło AI. – Bardziej niż syntetyczna perswazja martwi mnie właśnie „ premia kłamcy”. Kiedy podrobić można wszystko, największą korzyścią dla nieuczciwego aktora nie jest sam fałszywy materiał, lecz parasol zaprzeczalności: autentyczne, kompromitujące nagranie da się zbyć stwierdzeniem: „to przecież AI”. To eroduje rozliczalność u podstaw, niezależnie od tego, czy konkretny deepfake kogokolwiek nabierze – mówi Dariusz Jemielniak, profesor zarządzania Akademii Leona Koźmińskiego, kierownik Katedry Management in Networked and Digital Societies (MINDS), pracujący także jako faculty associate w Berkman Klein Center for Internet and Society na Uniwersytecie Harvarda.

– To prawdopodobnie sztuczna inteligencja – odpowiedział Donald Trump, kiedy dziennikarze zapytali go o popularne nagranie, na którym widać, jak ktoś wyrzuca coś przez okno Białego Domu. Jego zespół prasowy wcześniej poinformował dziennikarzy, że film jest autentyczny.

– Jednym z problemów jaki mamy ze sztuczną inteligencją (...) jest to, że jeśli wydarzy się coś naprawdę złego, można po prostu zrzucić winę na AI – komentował później Trump.

Prawdziwym kosztem „dywidendy kłamców” nie jest więc fałszywka, w którą ktoś uwierzy, tylko prawda, w którą nikt już wierzyć nie musi. – Eroduje samo pojęcie dowodu, a demokracja bez wspólnego zasobu faktów zamienia się w konkurs lojalności plemiennych. Bańki informacyjne są przy tym problemem drugorzędny, ludzie zawsze żyli w bańkach. Problemem jest to, że bańki przestają dzielić wspólną rzeczywistość bazową – zauważa Michał Fedorowicz, analityk mediów cyfrowych i badacz dezinformacji, przewodniczący Res Futura, firmy zajmującej się analityką sieci dla biznesu. Deepfaki i „dywidenda kłamcy” pokazują najbardziej widowiskową i oczywistą stronę problemu. Jednak wpływ AI na wybory może być znacznie bardziej zamaskowany, sprowadzony do sposobu, w jaki wyborcy szukają informacji, rozmawiają z cyfrowymi asystentami i jak trafiają do nich polityczne argumenty.

AI SKUTECZNIEJSZA W PERSWAZJI NIŻ CZŁOWIEK?

Jedno z pierwszych badań, które dowiodło, że rozmowa z modelem językowym może zmieniać nasze preferencje polityczne, opublikowano pod koniec 2025 r. na łamach „Nature”. Przeprowadził je międzynarodowy zespół naukowców, w którym znalazła się m.in. dr Gabriela Czarnek z Zakładu Psychologii Społecznej Instytutu Psychologii Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W badaniu ok. 6,5 tys. uczestników z Kanady, USA i Polski najpierw oceniali swoje preferencje wyborcze na skali 0–100, a następnie rozmawiało z chatbotem, który miał ich przekonać do określonego kandydata lub stanowiska politycznego. W przypadku Polski byli to Rafał Trzaskowski i Karol Nawrocki. Część komunikatów była personalizowana, część nie.

Wyniki zaskoczyły samych autorów. Krótkie, zaledwie kilkuminutowe interakcje z AI miały znacznie większy wpływ na preferencje wyborców niż tradycyjne spoty. W niektórych przypadkach zwiększały poparcie dla danego

kandydata nawet o 12 punktów procentowych. Choć politykę często kojarzymy ze sferą emocji, AI najskuteczniej przekonywała wyborców wtedy, gdy dostarczała fakty. Pozbawienie jej dostępu do nich zmniejszało skuteczność perswazji w Polsce aż o 78 proc., a w Kanadzie – o ponad połowę. Za to personalizacja – dostarczenie modelowi większej ilości danych o użytkowniku – nie zwiększała skuteczności przekonywania. – Spodziewaliśmy się, że chatboty działające bez personalizacji będą znacznie mniej skuteczne. Okazało się jednak, że pod tym względem praktycznie nie różniły się one od tych, które personalizowały przekaz – mówi dr Gabriela Czarnek. Ważniejsza okazała się jakość i gęstość argumentacji: bombardowanie ludzi faktami lub informacjami wyglądającymi jak fakty oraz prezentowanie kandydata w korzystnym, niemal propagandowym świetle. Skoro kluczowa jest nie tyle personalizacja, ile zalew przekonujących argumentów, przewaga AI staje się oczywista. Nigdy wcześniej nie można było produkować politycznej perswazji tak szybko, tanio i na taką skalę.

LABORATORIUM TO NIE KAMPANIA?

Czy ustalenia z laboratorium można przenieść do realnych kampanii politycznych? Tu należy zachować ostrożność. Uczestnicy eksperymentu zgodzili się rozmawiać z AI i wiedzieli, że model chce ich do czegoś przekonać. Kampania nie odtworzy tego łatwo. Wyborca Nawrockiego nie spędzi z własnej woli kilku minut, dając się namawiać do zmiany zdania botowi Trzaskowskiego, ani odwrotnie. Zdaniem prof. Dariusza Jemielniaka bardziej prawdopodobne jest wpłatanie perswazyjnych treści tam, gdzie ludzie już są i już ufają: w wyszukiwarkach, asystentach AI czy aplikacjach-towarzyszach. AI może też służyć do masowej produkcji i testowania przekazów kierowanych do ludzi, zamiast bezpośrednio z nimi rozmawiać. Wpływ może być subtelny: algorytm poproszony o informacje o kandydacie może częściej podsuwać treści, które stawiają go w korzystnym świetle. Wyborca nie musi wiedzieć, że ktoś próbuje zmienić jego poglądy.

Michał Fedorowicz opisuje ten mechanizm jako nasycanie środowiska informacyjnego. Treści tworzone przez modele trafiają do kome-

tarzy, grup, filmów i odpowiedzi asystentów AI. – Wyborca nie rozmawia z botem, wyborca żyje w informacyjnym akwarium, którego wodę podmieniono. Skuteczność mierzy się tu nie zmianą pojedynczej decyzji, lecz przesunięciem tego, co uchodzi za normalne i oczywiste – mówi.

Boty mogą także tworzyć wrażenie społecznego konsensusu. Jeśli pod wpisem w mediach społecznościowych widzimy 2 tys. głosów poparcia, łatwo uznać, że „tak myślą ludzie”. – To najtańsza dźwignia wpływu, jaką znamy, a generatywna AI obniżyła jej koszt niemal do zera i podniosła jakość na tyle, że klasyczna detekcja (powtarzalne frazy, identyczne godziny publikacji) przestaje działać. W naszym monitoringu widzimy to codziennie: sieci kont, które nie mają nikogo przekonywać, tylko rozgrzać temat na tyle, żeby przejęły go algorytmy rekomendacji, a potem prawdziwi ludzie. Bot jest zapalką, nie pożarem – mówi Fedorowicz.

W mediach społecznościowych wpływ może iść jeszcze dalej. Nie chodzi tylko o uszczelnianie baniek informacyjnych, ale też o stworzenie środowiska, w którym jeden kandydat jest systematycznie przedstawiany w korzystniejszym świetle. Skalę możliwych konsekwencji pokazały wybory prezydenckie w Rumunii w 2024 r. Po zarzutach dotyczących skoordynowanej kampanii internetowej wspierającej Călina Georgescu, m.in. na TikToku i Telegramie, rumuński Sąd Konstytucyjny unieważnił pierwszą turę wyborów. Odtajnione raporty wywiadu wskazywały na zagraniczną ingerencję i preferencyjne traktowanie kandydata w mediach społecznościowych.

Zdaniem Michała Fedorowicza być może jeszcze ważniejsza zmiana zachodzi jednak gdzie indziej. Coraz więcej wyborców nie szuka informacji w wyszukiwarce, lecz pyta asystenta AI: „Kto ma lepszy program mieszkaniowy?”, „Czy ten polityk kłamał?”. Jedna odpowiedź zastępuje 10 linków i różnorodność źródeł, które w ten sposób zyskiwaliśmy. Władza nad tym, co zobaczy wyborca, przesuwana jest więc w stronę kilku firm technologicznych, których zasad działania nikt z zewnątrz nie sprawdza.

Przed wyborami parlamentarnymi w Wielkiej Brytanii w 2024 r. 13 proc. uprawnionych do głosowania korzystało z chatbotów podczas

szukania informacji istotnych dla swojej decyzji wyborczej. Dlatego w 2027 r. pytanie o to, co chatboty mówią o kandydatach, może być ważniejsze niż to, co mówią o nich telewizje.

KTO KARMI „CZARNE SKRZYŃKI”

Im częściej pytamy chatboty o politykę, tym ważniejsze staje się to, skąd biorą odpowiedzi. – Podstawowym problemem dla obywateli i badaczy jest brak wglądu w to, co się dzieje wewnątrz modeli AI – pozostają one dla nas „czarną skrzynką”. Nie wiemy, co dokładnie służyło do ich wytrenowania. Zagroženiem dla demokracji jest fakt, że instytucje powiązane np. z Kremlm zalewają internet strategicznie produkowanymi treściami. Algorytmy wchłaniają te dane, a później mogą je powielać – wskazuje dr Gabriela Czarnek.

W lutym 2024 r. francuska agencja Viginum opisała sieć Portal Kombat obejmującą 193 cyfrowe „portale informacyjne” rozpowszechniające prorosyjskie treści. Strony te nie produkowały własnych artykułów, ale masowo kopiowały materiały z rosyjskich agencji informacyjnych i prorosyjskich kont w mediach społecznościowych.

Gdy rok później NewsGuard przeprowadził audyt 10 popularnych narzędzi generatywnej AI, okazało się, że dezinformacje z tej samej operacji, znanej już jako sieć Pravda, pojawiały się w 33 proc. odpowiedzi. Pravda opublikowała ok. 3,6 mln artykułów, a jej strategia polegająca na zalewaniu wyszukiwarek prorosyjskimi treściami okazała się skuteczna.

W cyfrowym świecie nie trzeba więc przekonywać milionów odbiorców bezpośrednio. Wystarczy zalać treściami miejsca, z których czerpią informacje ludzie i algorytmy: Wikipedię, platformę X czy wyszukiwarki. Stamtąd trafiają one do odpowiedzi chatbotów. Dlatego, zdaniem ekspertki z Instytutu Psychologii Wydziału Filozoficznego UJ, kluczowe jest oznaczanie treści wygenerowanych przez AI. – Poleganie na tym, że rynek sam się w tej kwestii zdyscyplinuje, to błąd – podkreśla dr Gabriela Czarnek. Profesor Jemielniak proponuje z kolei „czwarte prawo robotyki”: AI nie powinna móc podszywać się pod człowieka.

Michał Fedorowicz przesuwając akcent z samych modeli i treści na kanały, którymi docierają one

PARTIA, KTÓRA W 2027 R. NIE BĘDZIE MIAŁA WŁASNEJ KOMÓRKI ANALIZUJĄCEJ ŚRODOWISKO INFORMACYJNE, WEJDZIE DO KAMPANII JAK DRUŻYNA BEZ BRAMKARZA.

do wyborców. – Nie regulowałbym modeli, tylko dystrybucję – przekonuje. Powód? Modele rozwijają się szybciej niż jakikolwiek proces legislacyjny, natomiast kanały dotarcia do wyborcy są policzalne: kilka platform, kilka systemów rekomendacji. Tam powinny działać obowiązki: rejestry reklam politycznych, oznaczanie treści syntetycznych i audyty algorytmów w okresie kampanii. Problemem jest tempo egzekucji mierzone w latach, gdy kampania mierzy czas w godzinach. – Polska potrzebuje też ośrodka, który potrafi analizować środowisko informacyjne w tempie kampanii, a nie publikować raport pół roku po wyborach. Prawo nigdy nie dogoni technologii, ale instytucje mogą nauczyć się biec – zauważa ekspert.

PIERWSZE WYBORY CZŁOWIEKA Z MASZYNĄ

Wszystkie te zmiany nie pozostaną bez wpływu na same kampanie wyborcze. Jak podkreśla prof. Dariusz Jemielniak: – Najpierw pęknie struktura kosztów. Produkcja przekazu robi się niemal darmowa. Czekamy na nieskończenie wiele wariantów i testowanie kampanii na wcześniej nieosiągalną skalę. Format przesuwają się od nadawania w jedną stronę ku komunikacji responsywnej. Reagowanie na przekaz przeciwnika i własna narracja dają się łatwo zautomatyzować.

Sztaby nie będą produkować pięciu, lecz setki przekazów dziennie i testować je, jak firmy e-commerce testują reklamy. Zdaniem Michała Fedorowicza badania reakcji elektoratu będą się odbywać na modelach, nie na ludziach. Powstaną zespoły szybkiego reagowania, monitorujące narracje w czasie rzeczywistym. Partia, która w 2027 r. nie będzie miała własnej komórki analizującej środowisko informacyjne, wejdzie do kampanii jak drużyna bez bramkarza.

– To nie będą ostatnie wybory człowieka, tylko pierwsze wybory, w których człowiek bez maszyny będzie jak sztab bez telefonów w latach 90. Polityka nadal rozstrzyga się na emocjach, wydarzeniach i błędach kandydatów, jednak infrastruktura, która te emocje wzmacnia i kieruje, jest już w pełni zautomatyzowana. I to jest realna stawka 2027 r. w Polsce – mówi przewodniczący Res Futura.

AI nie musi wcale przejmować wyborów w spektakularny i dostrzegalny sposób. Wystarczy, że stanie się pośrednikiem między wyborcą a informacją. Potem podsunie wybrane fakty, pomijając inne, w innym przypadku uwiarygodni fałsz albo pozwoli nazwać prawdę deepfakiem. A wyborcy bez wspólnego świata faktów nawet nie zauważą, kiedy podejmą decyzję, które ktoś im podsunie. ■

POD BATUTĄ TESTOSTERONU

ROZMAWIAŁ:
Kasper Kalinowski,
Gazeta Wyborcza

Współcześni mężczyźni rodzą się z niższym poziomem testosteronu, a siedzący tryb życia, nadwyżki kaloryczne i masa chemii w jedzeniu powodują, że ubywa go jeszcze więcej. – Mamy do czynienia z epidemią spadku testosteronu u mężczyzn – alarmuje dr n. med. Robert Jarema i tłumaczy, jakie znaczenie dla naszego zdrowia, samopoczucia, związków i pracy ma ten jeden z najważniejszych hormonów.

Gdybyśmy porównali poziom testosteronu w naszych organizmach z tym, jaki mieli nasi dziadkowie, jak byśmy wypadli?

Dr n. med. Robert Jarema: Mało optymistycznie. Mamy do czynienia z epidemią spadku poziomu testosteronu u mężczyzn. Kolejne dekady pokazują wyraźnie dwa niepokojące zjawiska – mężczyźni rodzą się z coraz niższym poziomem testosteronu, a do tego w ciągu ich życia spada on znacznie szybciej niż kiedyś. Jeszcze w 1973 r. 35-latek miał średnio 650 ng/dl testosteronu, dziś mężczyzna w tym samym wieku ma go już tylko 450 ng/dl – to spadek o ponad 30 proc. w ciągu 50 lat. Wiele mówią wyniki olbrzymiego badania przeprowadzonego w Izraelu, w którym przez 20 lat monitorowano grupę ponad 100 tys. mężczyzn. Wykazano, że poziom testosteronu u 20-latków był porównywalny do tego, który u poprzednich pokoleń obserwowano u... 70-latków.

Na pewno nie pomaga epidemia otyłości, która w pewnym stopniu wpływa na kolejne zjawisko – niski poziom testosteronu u chłopców przy narodzinach. Istnieje nawet teoria, według której kluczowe dla poziomu testosteronu jest życie płodowe. Jeśli matka ma nadwagę lub otyłość, a ojciec prowadzi niezdrowy tryb życia, dziecko z założenia rodzi się „słabsze” hormonalnie. Tkanka tłuszczowa szkodzi oczywiście również mężczyznom w ciągu dalszego życia, zwłaszcza ta zgromadzona w brzuchu, czyli trzewna. Zawiera ona enzym aromatazę, który przekształca testosteron w estradiol, hormon wciąż mylnie określany jako „kobiecy”. Dodajmy do tego fakt, że testosteron produkowany jest głównie w nocy. Już tydzień snia poniżej 5 godzin na dobę obniża poziom hormonu o 10–15 proc. nawet u młodych, zdrowych mężczyzn.

Mamy więc do czynienia z epidemią wynikającą ze stylu życia i czynników, które dziedziczymy?

Zdecydowanie. Na naszych oczach za błędy ojców odpowiadają ich dzieci. Chciałbym jednak, abyśmy unikali skrajności. Z jednej strony mamy obraz testosteronu jako paliwa dla „agresywnych mięśniaków”, a z drugiej – traktowanie go jako „złotej tabletki” na wszystko. Prawda jest taka, że to po prostu bardzo dobry lek, który ma fundamentalne znaczenie dla funkcjonowania organizmu, a zjawisko niskiego testosteronu stanowi problem społeczny. Odbija się on w zasadzie na wszystkim: na zdrowiu, związkach, partnerstwie i wydajności w pracy.

Co nas czeka za kilka dekad, jeśli ten trend się utrzyma?

Nasze wnuki mogą mieć o połowę mniej testosteronu niż ich dziadkowie. Testosteron jest jak paliwo. Jeśli wlejemy benzynę do sprawnego silnika, samochód pojedzie świetnie, ale jeśli silnik jest uszkodzony, wlewanie paliwa może go tylko zalać. Żyjemy w środowisku pełnym pestycydów i mikroplastiku, jemy niezdrowe jedzenie i pijemy wodę pełną substancji estrogenopodobnych, które niestety zaburzają działanie komórek odpowiedzialnych za produkcję hormonów.



Jeśli mężczyźni będą coraz słabsi, przestaną być dobrymi partnerami i pracownikami. Do mojego gabinetu trafia coraz więcej młodych ludzi, którzy mówią: „Doktorze, gorzej myślę, nie mam siły ćwiczyć, nie mam porannych wzwodów ani tej przebojowości, co kiedyś”.

Dlaczego twierdzi pan, że nie powinniśmy mówić o „hormonach żeńskich” u mężczyzn?

Ponieważ nie ma oddzielnych hormonów męskich i żeńskich. Różnimy się tylko ich stężeniem. Zresztą to z testosteronu powstaje wspomniany estradiol, który jest dla mężczyzn bardzo ważny. Odpowiada za nawodnienie stawów, ścięgien, a nawet za reakcje emocjonalne. Znam mężczyzn, którzy przy wysokim poziomie estradiolu niemal „plakali na reklamach”, ale bez niego lub przy zbyt niskim poziomie czuli się fatalnie i łapali kontuzje. Sam mam 56 lat, mój poziom testosteronu to 608 przy normie do 830 i nic nie biorę – po prostu dobrze poukładałem tę układankę: rozsądne odżywianie (żadna dieta!), trochę aktywności fizycznej, dobry sen i szczypta suplementów. Tylko tyle i aż tyle.

Skoro nie ma hormonów męskich i żeńskich, to jak testosteron wpływa na kobiety?

W jednym z badań uczestniczkom podano testosteron w żelu lub placebo i kazano im wspólnie z partnerami podejmować decyzje dotyczące niejasnych wzorów na ekranie komputera. Kobiety, które otrzymały testosteron, znacznie częściej przeceniały własną opinię, ignorując zdanie partnerów. Testosteron powodował bardziej egocentryczne wybory, co pogarszało wyniki pracy zespołowej. Badanie to pokazało, że wpływ hormonu na pewność siebie i skłonność do dominacji występuje niezależnie

od płci. Jest też kwestia libido – testosteron, podobnie jak u mężczyzn, znacznie zwiększa potrzeby seksualne u kobiet.

A jak jego niedobór wpływa na nastrój mężczyzn?

Niski poziom testosteronu u mężczyzn często objawia się stanami, które pacjenci w moim gabinecie opisują jako „permanentny PMS” czy bycie „lemurem w depresji”. Mają obniżony nastrój i są apatyczni, wspominają o chronicznym zmęczeniu. Często stają się nadmiernie emocjonalni. Niski testosteron pogarsza także zdolność organizmu do radzenia sobie ze stresem, co tworzy błędne koło, gdyż stres dodatkowo obniża poziom hormonu. Z tymi lemurami to nie przesada – mężczyźni z niskim poziomem testosteronu brakuje chęci do ćwiczeń, a gdy już się zmusi, następnego dnia umiera – bołą go stawy i nie może się zregenerować. No i zero seksu.

W internecie obserwujemy zalew treści od influencerów, którzy polecają suplementować testosteron niezależnie od wieku i jego poziomu. Jak zweryfikować takie informacje, nie mając wiedzy medycznej?

To trudne, dlatego napisałem tę książkę, nie naukowym, ale prostym językiem dla każdego. Jedyłą szansą jest rzetelność. Dobra, sprawdzona wiedza, podana w przystępny sposób. Jako lekarz nie przebiję zasięgami kogoś, kto obiecuje cuda, często myląc badania na zwierzętach z badaniami na ludziach. Nie mam również szans z poradami kulturowymi, którzy biorą ogromne dawki sterydów.

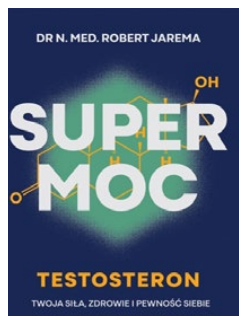
Które mity związane z testosteronem są według pana najgroźniejsze?

Traktowanie go jak cudownego środka na wszystkie dolegliwości. Zapominamy, że testosteron to lek, hormonalny, ale jednak lek – taki sam jak np. hormony tarczycy. Swoją drogą niedobór hormonów tarczycy daje bardzo podobne objawy do niedoboru testosteronu. Nikt po zażyciu hormonu tarczycy nie przeżywa euforii. Jeśli ktoś oczekuje niesamowitych przyrostów mięśni, to idzie w sterydy anaboliczne. Kolejny mit to przekonanie, że testosteron wspiera płodność. Jest przeciwnie – działa jak środek antykoncepcyjny. Podanie go z zewnątrz sprawia, że przysadka mózgowa blokuje pracę jąder, co zatrzymuje produkcję plemników.



DR N. MED. ROBERT JAREMA
lekarz z niemal 30-letnim stażem pracy; chirurg, urolog, androlog, specjalista od męskich hormonów; założyciel kliniki MOC zajmującej się zdrowiem mężczyzn oraz NOVA-CELL specjalizującej się w najnowszych terapiach komórkami macierzystymi. Mówca Impact'26.

ROBERT JAREMA
„Super moc. Testosteron. Twoja siła, zdrowie i pewność siebie”,
Wydawnictwo Buchmann, 2026



Robert Kennedy Jr. i inni przyznają się publicznie do terapii testosteronem. To niebezpieczna moda?

Terapia testosteronem to żadna nowość. Już sportowcy na greckich igrzyskach olimpijskich spożywali surowe jądra baranów, wierząc, że poprawi to ich wyniki w rywalizacji. Pod koniec XIX w. 72-letni profesor Harvardu wstrzykiwał sobie podskórnie wyciąg ze zmiażdżonych jąder psów i świnek morskich zmieszany z nasieniem i krwią z żył jądrowych. Donosił nawet w czasopiśmie „Lancet”, że odzyskał siły vitalne, mógł wbiegać po schodach i pracować przez wiele godzin, choć efekty te okazały się przejściowe. Te „sukcesy” doprowadziły do masowego wykupywania świnek morskich przez lekarzy. Oczywiście te próby nie obyły się bez groźnych sytuacji. Jeden z domorosłych naukowców, Henry Reseding, w pogoni za eliksirem młodości wstrzyknął nieznaną substancję starszemu mężczyźnie, co doprowadziło do jego śmierci w strasznych bólach. Współcześnie moda na zwiększanie poziomu testosteronu istnieje, ale jestem optymistą. Dostrzegam, że mężczyźni po 35. roku życia powoli zmieniają nastawienie. Pacjenci stają się coraz bardziej świadomi. Kończą się czasy, kiedy jedyne, czego chcieli od lekarza, to recepta. Coraz częściej pacjenci chcą się kompleksowo przebadac, zrozumieć swój organizm i najpierw spróbować innych metod. Dużą rolę odegrały tu biohacking i ruch longevity. Dały ludziom świadomość, jak duży wpływ na ich zdrowie mogą mieć mechanizmy ich własnego organizmu.

Co by pan odpowiedział mężczyźnie, który w gabinecie oświadczyłby: „Nie mam czasu na zmianę stylu życia, proszę o receptę”?

Lekarz musi się dopasować do pacjenta, a nie odwrotnie. Jeśli narzucę komuś coś wbrew jego naturze i nawykom, wytrzyma może miesiąc i porzuci terapię. Muszę poznać cel konkretnego człowieka. Jeśli ma 38 lat i chce ostatni raz zrobić coś dla swojej sylwetki, nie mówię „nie”, ale staram się, żeby zrobił to mądrze. Szanuję i rozumiem pacjentów, którzy mówią: „Tu są moje wyniki, zrób coś z tym, żeby ja nie musiał się tym zajmować”. Właśnie od tego jestem specjalistą.

Testosteron to wciąż synonim agresji. Słusznie?

Absolutnie nie. Testosteron to nie sprawca, ale współnik. Nasila to, co już mamy w głowie i jacy jesteśmy. Jeśli ktoś jest agresywny z natury, będzie

po prostu jeszcze agresywniejszy. Problemem jest to, że testosteron sprawia, iż podejmujemy decyzje szybciej, ale one niekoniecznie są lepsze. Stąd bierze się „syndrom młodego idioty”. Uważam jednak, że taka męska nieprzewidywalność stanowi również zaletę – pozwala nam robić rzeczy przebojowe. Współczesny mężczyzna jest „kastrowany” społecznie przez system edukacji i wychowania zdominowany przez kobiety (przedszkola, szkoły, uczelnie), więc ta brawura bywa jego jedynym wentylem bezpieczeństwa. Poza tym nie bez znaczenia jest wątek kulturowy. W słynnym eksperymencie psychologicznym Richarda E. Nisbetta i Dova Cohena z lat 90. zbadano różnice w reakcjach mężczyzn wychowanych w różnych regionach Stanów Zjednoczonych. Ochotnik „przypadkowo” wpadał na badanego i go obrażał. Mężczyźni z Południa reagowali nie tylko większą agresją niż ich koledzy z Północy, ale odnotowano u nich również wyraźny wzrost poziomu testosteronu w odpowiedzi na tę konfrontację.

Spadek poziomu testosteronu to przyczyna, dla której porównuje pan współczesnego mężczyznę do przylądka Horn?

Tak. Przylądek Horn to miejsce, gdzie spotykają się dwa oceany – Atlantyk i Pacyfik. Panują tam jedne z najtrudniejszych warunków żeglugowych na świecie – porywiste wiatry, potężne prądy morskie i fale sięgające 25 metrów wysokości. Współczesny mężczyzna jest trochę jak skała tego przylądka. Trwa niezachwianie, mimo że targają nim liczne „gigantyczne fale” i „sztormy fizjologiczne”. Z jednej strony już rodzimy się z niskim poziomem testosteronu, do tego dokłada się tryb życia – nigdy w historii ludzkości tyle nie siedzieliśmy, a ruch naturalnie zwiększa poziom testosteronu, szczególnie u mężczyzn. Mamy też spore nadwyżki kaloryczne i całą masę chemii w jedzeniu. Trzeba też wziąć pod uwagę normy kulturowe, które starają się nas ugrzecznić. Ale my trwamy – jak przylądek Horn. I szybko się adaptujemy.

Coraz więcej słyszymy o kryzysie męskości? To realne zjawisko?

Moim zdaniem tak. Nie chodzi tylko o problemy zdrowotne jak spadek poziomu testosteronu. Przemawia do mnie koncepcja psycho-

UWAŻAM, ŻE MĘSKA NIEPRZEWIDYWALNOŚĆ STANOWI TAKŻE ZALETĘ – POZWALA NAM ROBIĆ RZECZY PRZEBOJOWE.

logiczna, według której męskość jest statusem, który – w przeciwieństwie do kobiecości – nie jest dany raz na zawsze. Trzeba na niego zapracować i nieustannie go potwierdzać. Poprzez rywalizację, dominację czy akty odwagi. Gdy mężczyzna nie jest w stanie sprostać tym wyzwaniom (np. z powodu braku energii czy niskiego libido), pojawia się poczucie utraty męskości. Często również depresja czy stany lękowe. Jedynym pocieszeniem jest to, że mężczyźni coraz bardziej dbają o swoje zdrowie. Również psychiczne.

Wróćmy do teorii męskiego idioty. Nie brzmi miło.

Teoria męskiego idioty (z ang. male idiot theory) to koncepcja sugerująca, że testosteron ma silny i bezpośredni wpływ na procesy poznawcze, jak np. podejmowanie decyzji. W określonych sytuacjach może to prowadzić do zachowań nieracjonalnych. W jednym z badań mężczyźni, którym podano jednorazową dawkę testosteronu w żelu, radzili sobie gorzej z testem refleksji poznawczej (uzyskiwali o 20 proc. mniej prawidłowych odpowiedzi niż grupa placebo). Testosteron zdaje się hamować proces namysłu i weryfikowania własnej pracy, nasilając jednocześnie intuicyjne, ale często błędne przekonanie o własnej racji. Spójrzmy na popularne internetowe Nagrody Darwina przyznawane osobom, które zginęły lub zostały wysterylizowane w wyniku wyjątkowo głupich, autodestrukcyjnych działań doprowadzających do wyeliminowania ich genów z ogólnej puli gatunku. Zdobywcą jednej z nich został np. terrorysta, który wysłał list z bombą, jednak nakleił na kopertę znaczek o zbyt niskiej wartości. Poczta zwróciła przesyłkę do nadawcy, a on ją... otworzył. Inny laureat używał szlifierki taśmowej jako autoerotycznego gadżetu, co doprowadziło do drastycznego uszkodzenia jąder. Jedno jądro usunięto już w szpitalu, natomiast drugie pacjent próbował wcześniej ratować samodzielnie przy użyciu zszywacza biurowego. Aż 88,7 proc. laureatów tej nagrody to mężczyźni. Szybkie podejmowanie decyzji pod wpływem testosteronu miało uzasadnienie w ewolucyjnej przeszłości, gdy człowiek musiał błyskawicznie reagować na zagrożenie ze strony drapieżników. Zamiast rozważać różne możliwości, jedyną słuszną decyzją była ucieczka lub walka. Jednak we współczesnym świecie taka strategia rzadko się sprawdza.

Wpływ testosteronu jest jednak znacznie szerszy i nie dotyczy tylko podejmowania decyzji czy agresji.

Tak, testosteron wpływa nawet na decyzje moralne. Słynny eksperyment myślowy „dylemat wagonika” polega na wyobrażeniu sobie wagonika pędzącego po torach wprost na pięcioro nieświadomych niebezpieczeństwa ludzi. Osoba biorąca udział w teście ma możliwość przedstawienia zwrotnicy i skierowania pojazdu na inny tor, na którym jednak pracuje jeden człowiek. Zadaniem uczestnika jest podjęcie błyskawicznej decyzji: kogo zabić, a kogo uratować. Wbrew oczekiwaniom podanie testosteronu zwiększało wrażliwość mężczyzn na normy moralne. Częściej wybierali oni opcję uratowania większej grupy ludzi (pięciu osób) i byli gotowi poświęcić życie jednostki. Eksperymenty z rzutem kostką wykazały, że mężczyźni z wyższym poziomem testosteronu rzadziej kłamali, aby uzyskać nagrodę finansową. Hormon ten bardziej więc promuje zachowania podnoszące status, do którego kłamstwo, jako strategia słabych, często nie pasuje.

Określa pan testosteron mianem „dyrygenta orkiestry”. Dlaczego?

Często spotykam się z określeniem, że testosteron jest najważniejszym hormonem. To oczywiście nieprawda. W naszym organizmie jest około 50 substancji hormonalnych i hormonopodobnych, i wszystkie są równie ważne. Ale to właśnie testosteron spina je we właściwym działaniu. Jest jak dyrygent orkiestry. Jeśli składa się ona z najlepszych muzyków (narządów), ale nie ma dyrygenta, każdy zacznie grać po swojemu i powstanie kakofonia – w organizmie oznacza to zespół metaboliczny: nadciśnienie, hipercholesterolemię, otyłość, insulinooporność, brain fog.

A jak zadbać o jego poziom w sposób naturalny?

Sen. Na początku wspominałem, że to właśnie w nocy produkujemy testosteron, a wydzielamy go między 5 a 7 rano, dlatego mamy wtedy niższy głos i poranne wzdrygnięcia. Zaburzona architektura snu niszczy ten proces i podnosi poziom kortyzolu. Nasz zegar biologiczny jest niesamowicie dokładny. Dlatego tak ważne jest spersonalizowane podejście do każdego pacjenta. Weźmy na przykład świadome osoby uprawiające sport. Jeśli ktoś taki biega wieczorami, najczęściej daje organizmowi sygnał „uciekaj”, co stawia ciało w stanie alertu i uniemożliwia nocną regenerację. Podobnie zresztą działa słynny jeden mały drink wieczorem czy lampka wina do kolacji.

Jakie jest pana największe marzenie po niemal 30 latach praktyki i dbania o zdrowie mężczyzn?

Chciałbym odczarować medycynę. Pokazać, że to nie jest tajemna wiedza, a lekarz nie musi być Panem Bogiem w białym fartuchu nad leżącym przed nim pacjentem. Chciałbym, aby ludzie potrafili oddzielić prawdę od pseudonaukowych i groźnych bzdur. Marzy mi się też bardziej demokratyczny system ochrony zdrowia – taki, w którym osoby dbające o siebie, mające obiektywnie dobre wyniki badań, jak np. prawidłowa waga, morfologia czy parametry zapalne, płaciłyby niższą składkę zdrowotną. To byłaby realna promocja zdrowia. ■

PODŁĄCZENI DO MUSKA

Możesz się uwolnić od państwowej telekomunikacji, od paliw kopalnych, od cenzury mediów, a wkrótce może i od ograniczeń własnego ciała. Jest tylko jeden warunek: klucz do tych wszystkich drzwi trzyma jeden człowiek. Autorzy „Muskizmu” pokazują, że obietnica naszych czasów – suwerenność dzięki technologii – oznacza, że nawet gniazdko w ścianie należy do Elona Muska.

TEKST: Julian Kutyla

Szóstego lipca 2026 r. sąd federalny w San Francisco odrzucił wniosek Elona Muska o unieważnienie werdyktu z marca tego roku, w którym ława przysięgłych uznała, że ponosi on odpowiedzialność za wprowadzenie w błąd inwestorów Twittera podczas przejęcia firmy w 2022 r.

Jeden z tweetów Muska informował, że transakcja została „tymczasowo wstrzymana”. W efekcie inwestorzy sprzedawali akcje, a ich cena spadała. Dlaczego cztery lata później sąd nadal musi się zastanawiać nad konsekwencjami kilkudziesięciu słów napisanych przez najbogatszego człowieka świata?

Quinn Slobodian i Ben Tarnoff w wydanej niedawno książce „Muskizm. Świat według Elona Muska” przekonują, że aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba przestać interesować się

Muskiem jako konkretnym człowiekiem. Jak piszą: „Każdy ma swoje zdanie na temat Elona Muska. To genialny przedsiębiorca, który pcha ludzkość w stronę przyszłości rodem z science fiction. Albo odklejony memiarz na ketaminie, który pompuje kolejne bańki i bełkocze coś o wskaźnikach dzietności. Albo ostatnio: narzędzie w rękach skrajnej prawicy, z mózgiem przeżartym przez Twittera i mroczne wizje inwazji migrantów”.

Opinie na temat Muska są różne, ale wszystkie przedstawiają go jako wyjątkowe indywiduum: „zbawcę, klauna, złoćwincę, ćpuna”. Tymczasem autorzy proponują nieco przesunąć akcenty. Zamiast pytać „kim tak naprawdę jest Musk?”, zastanawiają się: „czego on jest symptomem?”.

To ważne przesunięcie, ponieważ większość opowieści o Musku przyjmuje tradycyjną formę biografii (po polsku możemy przeczytać co najmniej trzy). Perspektywa ta każe szukać wyjaśnienia zachowań miliardera w jego dzieciństwie, charakterze, relacjach z ojcem, skłonności do ryzyka i stanach, które sam określa jako „demon mode” („tryb demona”). Za Teslą, SpaceX, Starlinkiem czy Neuralinkiem stoi w takim ujęciu jeden niezwykle umysł.

Slobodian i Tarnoff nie do końca są zainteresowani psychologizowaniem i tym, co siedzi w głowie Muska. Interesuje ich raczej gęsta sieć przewodów, do których ta głowa jest podłączona: państwowe kontrakty, subsydia, kapitał wysokiego ryzyka, Pentagon, NASA, kultura Doliny Krzemowej i technologiczna prawica. „Muskizm” nie jest więc kolejną biografiją. Stanowi raczej próbę opisanego systemu, który stworzył Musk i który on jednocześnie współtworzy. „Sto lat temu Henry Ford opublikował swoje bestsellerowe wspomnienia »Moje życie i dzieło«. Wkrótce potem ukuto termin »fordyzm« – przypominają autorzy. Ich teza jest prosta i mocna: „Jeśli fordyzm należałoby uznać za system operacyjny XX wieku, to muskizm mógłby stanowić system operacyjny dla wieku XXI”.

CO OBIECUJE MUSKIZM

Fordyzm był w XX w. czymś zdecydowanie więcej niż tylko modelem organizacji produkcji fabrycznej. Masowa produkcja wymagała masowej konsumpcji. W swojej historycznie rozwiniętej postaci fordyzm został zatem powiązany

ZDJĘCIE: GETTY IMAGES



z tworzonym po II wojnie światowej państwem dobrobytu i społecznym kompromisem między pracą a kapitałem. Oczywiście sam Henry Ford bynajmniej nie był socjaldemokratą i zwolnikiem powojennego „welfare state” („państwa dobrobytu” – przyp. red). Zwalczał związki zawodowe, obsesyjnie kontrolował robotników i był jednym z najgłośniejszych antysemitów swoich czasów. Fordyzm okazał się jednak większy od Forda: „doprowadził do renegocjacji umowy społecznej dzięki obietnicy wzrostu poziomu życia dla wszystkich: samochodu w każdym garażu, lodówki w każdej kuchni, płac rosnących wraz z produktywnością”. Jak w tym kontekście prezentuje się muskizm? Na pewno nie zakłada szerokiego podziału zysków. Obiecuje za to osiągnięcie suwerenności dzięki technologii.

Możesz się uwolnić od państwowej telekomunikacji, jeśli korzystasz ze Starlinka. Możesz unieza-

ELON MUSK
według rankingu „Forbsa”
z 1 sierpnia 2026 r.
najbogatszy człowiek
świata, współwłaściciel
i szef Tesli oraz założyciel
SpaceX, Neuralinku
i The Boring Company.
Jego biznesowe imperium
obejmuje również
Starlink, firmę xAI,
platformę X i rozwijające-
go sztuczną inteligencję
Grok.

leżnić transport od paliw kopalnych dzięki Tesli. Możesz uciec od cenzury tradycyjnych mediów dzięki X. Możesz w przyszłości przezwyciężyć ograniczenia ciała dzięki Neuralinkowi. Za każdym razem wyzwolenie oznacza jednak wejście w system kontrolowany przez właściciela technologicznej infrastruktury.

Slobodian i Tarnoff mocno podkreślają fundamentalny paradoks muskizmu. Musk przedstawiany jest jako genialny prywatny przedsiębiorca, który robi to, czego nie potrafią odciepać z powodu biurokracji państwa. Wkracza nawet na obszary będące jeszcze niedawno ich wyłączną domeną: buduje rakiety, wynosi satelity na orbitę, zapewnia łączność armiom. Tyle że państwo, z którym Musk ma rzekomo konkurować, jest jednocześnie warunkiem jego sukcesu. Jego firmy korzystały z ulg, subsydiów, zamówień publicznych i wielomiliardowych kontraktów z NASA oraz Pentagonem. SpaceX nie tyle wyparł państwo

z przestrzeni kosmicznej, ile wyrósł dzięki potężnym strumieniom publicznych pieniędzy.

Słobodian i Tarnoff ujmują to mocniej: „Musk zbudował swoje imperium dzięki zlanu się z państwem w jeden organizm”. Muskizm zacieśnia jednak granicę między prywatnym a publicznym w szczególny sposób: publiczne pieniądze finansują rozwój infrastruktury, ale kontrola nad nią pozostaje prywatna. Państwo pomaga stworzyć potęgę, od której później samo zaczyna być zależne.

Druga cecha muskizmu jest może jeszcze bardziej charakterystyczna. Ford sprzedawał auta (oczywiście najlepiej, gdyby były czarne). Dla Muska produkt jest często tylko dodatkiem. Jak piszą autorzy: „Musk nie sprzedaje jedynie samochodów, rakiet czy satelitów. Sprzedaje fantazję”. Kupując Teslę, nie kupuje się po prostu auta elektrycznego. Kupuje się fragment przyszłości bez paliw kopalnych, za to z autonomicznym transportem. Starlink nie jest wyłącznie dostępem do internetu – jest zapowiedzią świata, w którym sieć pokryje każdy punkt planety. Rakieta SpaceX nie służy jedynie wyniesieniu satelity na orbitę: jest pierwszym krokiem ku Marsowi. Implant Neuralinku, który pozwala sparaliżowanemu człowiekowi sterować kursorem, zostaje wpisany w opowieść o przyszłej symbiozie ludzi i sztucznej inteligencji.

Muskizm jest więc kapitalizmem sprzedającym teraźniejszość na kredyt przyszłości. Produkt czerpie wartość z obietnicy czegoś, czego jeszcze nie ma. Fantazja nie jest dodatkiem do produktu ani zwykłym marketingiem. Jest częścią modelu ekonomicznego: przyciąga inwestorów, klientów, pracowników i państwowe kontrakty.

Dobrze ilustruje to plan kolonizacji Marsa. Musk od lat przedstawia go jako dzieło swojego życia i polisę ubezpieczeniową dla cywilizacji. Oczywiście, jest to pomysł bardzo chwytliwy w dobie postępującej katastrofy klimatycznej. Natomiast, jak pokazali Kelly Weinersmith i Zach Weinersmith w książce „Miasto na Marsie. Czy możemy skolonizować kosmos, czy powinniśmy to robić i czy naprawdę mamy to dobrze przemyślane?”, jest to również pomysł ze wszech miar absurdalny, ponieważ nawet po najgorszej katastrofie klimatycznej warunki do życia na Ziemi będą i tak po wielokroć lepsze

SERIA IMPACT BOOKS



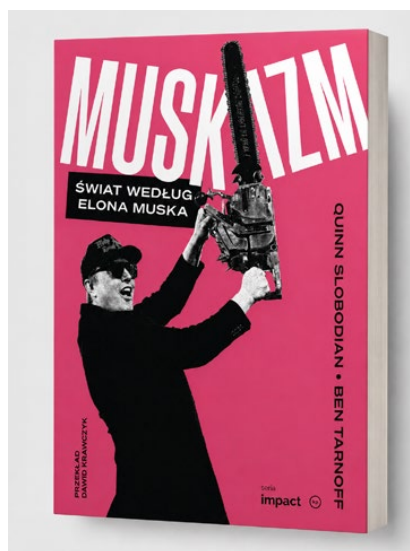
ZDJĘCIE: TONY LUONG | MATERIAŁY PRASOWE

BEN TARNOFF

amerykański pisarz i publicysta zajmujący się technologią, internetem oraz ich wpływem na politykę i społeczeństwo. Współtworzył magazyn „Logic”, poświęcony krytycznej analizie technologii i jest autorem książki „Internet for the People”. Publikował m.in. w „The New York Times”, „The New Yorker”, „The Guardian”.

QUINN SLOBODIAN

kanadyjski historyk, profesor historii międzynarodowej na Uniwersytecie Bostońskim. Bada dzieje neoliberalizmu, globalnego kapitalizmu i współczesnej prawicy. Jest autorem m.in. książek „Globalists”, „Crack-Up Capitalism” i „Hayek’s Bastards”.



QUINN SLOBODIAN
I BEN TARNOFF
„Muskizm.
Świat według Elona
Muska”

Wydawnictwo
Krytyki Politycznej,
2026

**MUSKIZM CHCE ORGANIZOWAĆ TRANSPORT, KOMUNIKACJĘ, WIEDZĘ, DZIAŁANIA
WOJENNE, PODRÓŻE KOSMICZNE, A W KOŃCU NASZ UKŁAD NERWOWY.**

niż te panujące na Marsie. Slobodian i Tarnoff proponują zatem przyziemną interpretację całej tej opowieści: „Mars nigdy nie był dla niego [Muska – przyp. JK] poważnym planem ewakuacji – stanowi raczej kartę przetargową w rozmowach o dalszych przedsięwzięciach”. I być może rację ma Werner Herzog, kiedy w swoim esej poświęconym przyszłości prawdy snuje dość śmiałą hipotezę, że cała ta historia o kolonizacji Marsa jest w istocie dość ekstrawagancką kampanią reklamową elektrycznych samochodów Tesli.

AUTONOMIA, CZYLI UZALEŻNIENIE

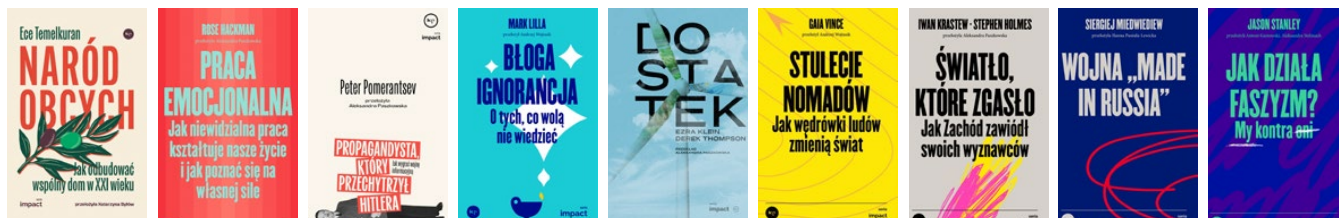
W styczniu 2024 r. pierwszy pacjent Neuralinku otrzymał implant umożliwiający bezpośrednią komunikację mózgu z komputerem. Noland Arbaugh, sparaliżowany od ramion w dół, nauczył się poruszać kursorem za pomocą aktywności mózgu. W sensie medycznym trudno nie widzieć w tym wielkiej obietnicy, choć wydarzenie to wcale nie było tak wielkim przełomem, jak starał się to sprzedać Musk. Ale właśnie w przypadku Neuralinku najlepiej widać mechanizm muskistycznej fantazji. Realny implant pomaga osobie z paraliżem sterować kursorem, pisać posty na platformie X, a nawet grać w „Cywilizację”. Fantazja mówi o połączeniu ludzkiego umysłu ze sztuczną inteligencją i przewyżczeniu ograniczeń biologii. Dodajmy, że projekt nosił wielce sugestywną nazwę: Telepathy. Kilka tygodni po operacji część ultracienkich nici z elektrodami zaczęła się wycofywać z tkanki mózgowej. Spadła liczba skutecznie rejestrowanych kanałów, a sterowanie kursorem się pogorszyło. Neuralink próbował kompensować problem zmianami algorytmów dekodujących sygnały i zdołał odzyskać znaczną część funkcjonalności. Dodajmy jednak, że do lipca 2026 r. wciąż nie jest to produkt dostępny komercyjnie dla pacjentów. Slavoj Žižek nazwał kiedyś perspektywę bezpośredniego połączenia aktywności neuronalnej z cyfrową siecią określeniem „wired brain” – „mózgiem podłączonym”. Najciekawsze jednak w Neuralinku jest to, że przenosi on na nowy obszar logikę znaną już ze Starlinku, Tesli itd.: obietnicę zwiększenia autonomii dzięki coraz głębszemu uzależnieniu od infrastruktury. „Coś, co sprzedawane jest jako technologiczna suwerenność, okazuje się w rzeczywistości wejściem do otoczonego murem ogrodu – a klucz do jego bram jest w rękach Muska” – piszą Slobodian i Tarnoff. „Kiedy tyl-

ko spróbujesz odłączyć się od infrastruktury Muska, odkryjesz, że nawet gniazdko należy do niego”.

Musk jest więc jednocześnie anty-Fordem i hiper-Fordem. Anty-Fordem, ponieważ nie proponuje społecznego kompromisu i nie obiecuje szerokiego podziału zysków, hiper-Fordem, ponieważ jego ambicją jest integracja znacznie pełniejsza od tej, o której mógł marzyć właściciel fabryki River Rouge. Fordym organizował ciało robotnika w fabryce i wyznaczał mu miejsce w konsumpcyjnym społeczeństwie. Muskizm chce organizować transport, komunikację, wiedzę, działania wojenne, podróże kosmiczne, a w końcu sam układ nerwowy.

Największą zaletą „Muskizmu” jest uchwycenie systemowego charakteru tej konfiguracji. Jednak choć Slobodian i Tarnoff próbują napisać książkę nie o Musku, lecz o systemie, nie zawsze potrafią uwolnić się od grawitacji własnego bohatera. Być może to w istocie niemożliwe. Muskizm jest przecież również systemem koncentrowania naszej uwagi na działalności Muska. To on sprawia, że jednocześnie obserwujemy start jego rakiety, czytamy jego polityczne wpisy na X, śledzimy cenę akcji Tesli, wejście na giełdę SpaceX i zastanawiamy się, czy jego firma wkrótce połączy ludzki mózg ze sztuczną inteligencją. Z czym zostajemy po lekturze „Muskizmu”? Mnie zastanowiło nie to, jak Elon Musk jest podłączony do społeczno-ekonomicznego świata wokół nas, ale raczej: czy nasz świat będzie potrafił się jeszcze kiedyś od Elona Muska odłączyć. ■

POZOSTAŁE KSIĄŻKI Z SERII IMPACT BOOKS



Partytura i magia

Jednej mówiono, że stanowi kuriozum w męskim świecie dyrygentury.

Druga słyszała, że jej miejsce jest w kuchni, nie przy pulpicie.

Światowej klasy dyrygentki Agnieszka Duczmal i Anna Duczmal-Mróż, matka i córka, opowiadają o walce o własną osobowość artystyczną i o tym, co przekazuje się z pokolenia na pokolenie.

Rozmawiał:
Karol Furtak, Program 2
Polskiego Radia

Łączą panie nie tylko geny, ale także Orkiestra Kameralna Polskiego Radia Amadeus, którą pani Agnieszka założyła i kierowała przez wiele lat, a której szefuje dziś pani Anna. Pani Agnieszko, jest pani zatem sprawczynią całego zamieszania...

Agnieszka Duczmal: Rzeczywiście. Początki działalności orkiestry były wynikiem pewnego zbiegu okoliczności. Jeszcze kiedy studiowałam w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Poznaniu, dziś Akademii Muzycznej, na uczelni działała orkiestra kameralna, ale osoba ją prowadząca skończyła studia i wyjechała. Wtedy ktoś z Rady Uczelni zapytał mnie, czy nie chciałabym założyć nowej orkiestry kameralnej, a ja bez zastanowienia się zgodziłam. Dla każdego młodego dyrygenta możliwość pracy z zespołem, nawet niewielkim, jest jak złapanie Pana Boga za nogi. Zaczęliśmy próbować i grać dosłownie, gdzie się da... Nasz pierwszy koncert z barokowo-klasycznym programem zagraliśmy podczas sympozjum dla lekarzy. Potem przyszły kolejne propozycje, w tym Festiwal Fama w Świnoujściu i wyjazdy na Zachód – te akurat były możliwe dzięki działającej od 1945 r. światowej organizacji zrzeszającej młodych muzyków, Jeunesses Musicales. Z czasem zaczęliśmy koncertować na obu półkulach, zyskiwać uznanie krytyków i publiczności. I tak powstał poznański Amadeus – dzisiaj Orkiestra Kameralna Polskiego Radia, która ma już 58 lat.

Pani Anno, w zasadzie wychowała się pani z tym zespołem...

Anna Duczmal-Mróż: I nie ukrywam, że bardzo to doceniam. Także to, że urodziłam się w tej, a nie innej rodzinie, choć bycie córką Agnieszki Duczmal

i dyrygentem nie stanowi wygodnego punktu wyjścia, przynajmniej z perspektywy środowiska. Niezależnie od tego cieszę się, że od dziecka mogłam chłonąć tajniki zawodu, nawet jeśli był to proces do pewnego momentu nieświadomy. Żyłam blisko orkiestry, obserwowałam próby, a w domu rodzice rozmawiali o muzyce. Naturalnie przyswoiłam wiedzę na temat tego, jak prowadzi się próby, jak osiąga się ten efekt, którego oczekuje się od koncertu, jak buduje się napięcie odpowiednim smyczkowaniem... W jakimś sensie ja to po prostu wiedziałam i nie musiałam ani o tym czytać, ani uczyć się od belfrów, choć oczywiście nie od dziecka byłam dyrygentem pewnym swego.

Zastanawiam się, ile zbiegów okoliczności potrzeba, by zostać dyrygentem?

A.D.: Całe nasze życie składa się z przypadków. Historia moja jest inna niż Anny. Gdybym nie poszła z ojcem na pewien koncert, nie zakochałabym się w instrumencie, jakim jest orkiestra. Przypadki są kluczowe! Oczywiście realizacja celów zależy od rzetelnej pracy, ale znaczenie ma także to, czy znajdziemy się w odpowiednim miejscu i czasie. Z jednej strony trzeba być konsekwentnym, ale z drugiej trzeba trafić w życiu na odpowiednie osoby, które pozwolą nam na bycie sobą. Mam na myśli choćby mojego profesora, który nigdy nie kazał mi wchodzić w nie swoje buty. Dostrzegł moją osobowość, szanował mój sposób poruszania się i tylko dzięki temu mogłam się rozwijać w określonym kierunku. To ważne, by umieć walczyć o swoją osobowość artystyczną. Kiedyś Henryk Szeryng, wielki skrzypek, powiedział

ZDJĘCIE: JACEK NIOJTA / MATERIAŁY PRASOWE



**ANNA DUCZMAL-MRÓZ: DYRYGENT
SPĘDZA GODZINY NAD ANALIZĄ
PARTYTURY I KONTEKSTÓW, BY W KOŃCU
– TYLKO NA PODSTAWIE NUT – WYOBRAZIĆ
SOBIE, JAK POWINIEN ZABRZMIEĆ UTWÓR.
POTEM ZDERZA SIĘ Z RZECZYWISTOŚCIĄ.**

mi, że nie wolno mi się przejmować opiniami krytyków. Z pełną powagą ostrzegał, że to zawsze prowadzi do utraty artystycznej osobowości.

A.D.M.: Moja droga dyrygenta zaczęła się od żartu. Na zajęciach orkiestrowych profesor wskazał mnie – córkę dyrygentki! – jako tę, która dla zabawy poprowadzi fragment próby. Uważał, że moje miejsce jest za pulpitem, ale jeszcze musiałam dowieść swojej determinacji. Studiowałam grę na skrzypcach w Hanowerze w czasach, kiedy w Niemczech nie poważano dyrygujących kobiet... Ba! Dyrektor mojej szkoły powiedział mi kiedyś wprost, że moje miejsce jest przy garach, a nie przy pulpicie. Jednak zrzędzeniem losu współpracowałam z orkiestrami, z którymi doskonale się dogadywałam, więc nie dotyczyło mnie

to, jak konserwatywni Niemcy patrzą na zjawisko, jakim dla wielu z nich była wtedy kobieta-dyrygent. Zdarzyły się też konkursy, na przykład prestiżowy Konkurs Mahlera, na którym nie zdobyłam żadnej nagrody, ale dostrzeżono mnie i przyznano mi wyróżnienie, którego efektem było koncertowe tournée z niemiecką orkiestrą w Niemczech i Włoszech. Mimo to musiałam ciężko pracować i krok po kroku udowadniać, ile jestem warta. Ale jestem przekonana, że gdyby nie seria przypadków, nie byłabym dziś tu, gdzie jestem.

Czy mogłyby panie więcej opowiedzieć o zawodzie dyrygenta? Można pomyśleć, że żyje jak pączek w maśle – jego praca to de facto machanie rękami, za co czasem dostaje nieprzystojnie wysokie honoraria.

A.D.: Niedawno miałam na ten temat wykład w Krakowie. Opowiadałam o całej swojej drodze – od wyboru instrumentu jako dziecko aż po naukę czytania partytury. Ale to tylko wierzchołek góry lodowej. Potem przychodzi nauka słuchania orkiestry i wrażliwości na potencjał muzyków – w końcu trzeba umieć wykorzystać wszystko, co może zaoferować dany zespół. Do tego jeszcze psychologia, umiejętności pedagogiczne i to, co nazywam elementem wręcz magicznym – nie-dająca się nazwać umiejętność, która sprawia, że nasze ruchy wywołują u muzyków konkretne reakcje i że potrafi się ich porwać.

Faktycznie brzmi magicznie, ale przecież prawda jest taka, że do tej magii trzeba mieć naprawdę twardy tyłek.

A.D.: By to zrozumieć, wystarczy sobie uświadomić, że dyrygent jest sam naprzeciw całej grupy ludzi...

A.D.M.:... grupy, która się wobec tej jednostki czuje bardzo silna!

A.D.: I na tym polega magia – tych ludzi o różnych osobowościach trzeba do siebie przekonać.

A.D.M.: Żeby tego dokonać, samemu trzeba być przekonanym o wartości tego, co ma się do zaproponowania. Młody dyrygent spędza długie godziny nad analizą partytury i kontekstów, by w końcu – tylko na podstawie nut – wyobrazić sobie, jak powinien zabrzmieć utwór. Potem jednak człowiek zderza się z rzeczywistością. Trzeba tak komunikować swoje pomysły, by trafiły



ZDJĘCIE: JACEK MÓJTA / MATERIAŁY PRASOWE

one do wyobraźni muzyków orkiestry... Mam za sobą 25 lat doświadczenia i mogę powiedzieć, że nauczyłam się już rozumieć orkiestrę, ale to był bardzo długi proces.

Wydaje się, że ta praca generuje mnóstwo stresu. A kiedy rodzi się z niej satysfakcja?

A.D.M.: Faktycznie stresu jest bardzo dużo, ale koncert jest wielką nagrodą. Sama stresuję się podczas prób, a nawet jeszcze w dniu koncertu, ale kiedy rozpoczyna się właściwe wykonanie, stresu już nie ma. Wtedy wreszcie mogę oddać się muzyce bez reszty.

A.D.: Od siebie dopowiem tylko, że dyrygent może mieć kilka źródeł satysfakcji. Po pierwsze – reakcje publiczności, po drugie – piękne recenzje, które ukazują się po koncercie, a po trzecie – i to jest w tym najważniejsze z perspektywy dyrygenta – przychodzi satysfakcja z tego, w jaki sposób orkiestra reaguje na najdrobniejszy nawet gest, jak potem muzycy dziękują za wspólną pracę i jak doceniają to, jak się z nimi muzykuje.

Pracowała pani z muzykami Orkiestry Kameralnej Polskiego Radia Amadeus przez długie lata. Dziś jest pani nieco z boku, choć zdarza się pani stawać za pulpitem dyrygenckim.

Nie czuła pani żalu, oddając stery córce?

A.D.: Nie. Od dłuższego czasu przygotowywałam się do tego mentalnie. Poszłam do naszego organizatora z prośbą, żeby nie przedłużał mojego kontraktu – nie chciałam, by ludzie mówili, że „staruszka” prowadzi orkiestrę. W każdej dziedzinie potrzebna jest sztafeta pokoleń. Zmieniają się warunki administrowania orkiestrą i mimo że samo prowadzenie prób oraz dążenie do najbardziej perfekcyjnego przygotowywania programów dla publiczności i do radiowych nagrań jest czymś stałym, wiedziałam, że przyszedł czas na pokoleniową zmianę.

Pani Anno, objęcie stanowiska menedżerskiego w orkiestrze wiązało się z ograniczeniem pani aktywności koncertowej za granicą. Nie było pani szkoda?

ANNA DUCZMAL-MRÓZ
dyrygentka ceniona na
świecie. Początkowo
kształciła się jako
skrzypaczka. Jej
talent dyrygencki odkrył
w Hanowerze japoński
maestro Eiji Ōue, u którego
z wyróżnieniem ukończyła
studia dyrygenckie. Jest
zdobywczynią głównej
nagrody amerykańskiej
Taki Alsop Fellowship.
Dyrygowała orkiestrami
w całej Europie, obu Ame-
rykach i Azji. Z Orkiestrą
Amadeus jest związana od
2009 r., a w 2024 r. została
jej dyrektorem naczelnym
i pierwszym dyrygentem.

A.D.M.: Rzeczywiście, nieco ograniczyłam koncertowe wyjazdy, przynajmniej na chwilę. Była to jednak świadoma decyzja. Chciałam w stu procentach poświęcić swój czas orkiestrze, by móc zrealizować nowe projekty i dokonać zmian organizacyjnych, koniecznych, by funkcjonować w intensywnie zmieniającej się branży. A takie zmiany zawsze wymagają czasu i uwagi. Po ćwierć wieku ciągłych podróży i zmieniania zespołów raz po raz potrzebowałam zatrzymania, pobycia „tu i teraz”, z ludźmi, z którymi się związałam, z rodziną, z tymi, których kocham. Zdarzało się przecież, że jednego dnia miałam koncert w Polsce, drugiego leciałam do Anglii, trzeciego wracałam do kraju na kolejny koncert, a czwartego znowu wracałam na wyspy. To naprawdę potrafi zmęczyć. Poza tym kilka lat temu wygrałam piekielnie trudną walkę z nowotworem, a takie doświadczenie uczy człowieka bardzo wiele – także tego, że trzeba umieć o sobie zadbać i mądrze poukładać pracę. Przez te wszystkie lata zebrałam mnóstwo muzycznych wspomnień, doświadczeń dyrygenckich i wiele koncertowałam, zwiedzając przy okazji cały świat. Już teraz mogłabym stwierdzić: „Mam co wnukom opowiadać”! Myślę zatem, że to dobry moment, by na chwilę się zatrzymać, skupić na jednej instytucji i na tej jednej społeczności. Gdy już osiągnę cele, które sobie założyłam, przyjdzie czas na rozpoczęcie kolejnej drogi. Jest przecież wiele możliwości.

Skoro mowa o możliwościach, ubiegły sezon artystyczny upłynął Amadeusowi pod znakiem prezentowania orkiestry jako zespołu uniwersalnego – była muzyka nowa, a z drugiej strony muzyka baroku, co dziś staje się już rzadkością wśród zespołów niegrających na instrumentach z epoki.

A.D.M.: Orkiestra Amadeus to zespół niezwykle elastyczny, co pozwala na wykonywanie interesujących i często niesztabowych programów. Zdecydowanie będziemy to wykorzystywali, by wspólnie cieszyć się tą różnorodnością. Zagraliśmy na festiwalu BitterSweet, na którym przedstawiliśmy historię muzyki od tej klasycznej aż do

**AGNIESZKA DUCZMAL: NIE CHCIAŁAM, BY LUDZIE MÓWILI,
ŻE „STARUSZKA” PROWADZI ORKIESTRĘ. W KAŻDEJ DZIEDZINIE
POTRZEBNA JEST SZTAFETA POKOLEŃ.**

Piazzoli, a na zwieńczenie programu muzykowaliśmy razem z mistrzami świata w tańcu breakdance. Nazwaliśmy ten projekt „Break Me Amadeus”. Wiele uwagi przykładamy do promocji polskiej muzyki, dlatego zabieramy nasze piękne, rodzime kompozycje na tournée do Nowej Zelandii, Japonii i Niemiec, bo docenia się je na całym świecie. Planujemy też przedsięwzięcia łączące muzykę ze sztukami wizualnymi – będziemy grać do prac Piotra Gonzagi Myszkowskiego, znakomitego polskiego artysty. Zresztą od wielu lat organizujemy wydarzenia, na których różne media wzajemnie na siebie oddziałują.

Jak udało się osiągnąć tę uniwersalność orkiestry?

A.D.: Przez pierwsze lata kształtowaliśmy podstawowe brzmienie, więc graliśmy programy barokowe i klasyczne – od Bacha po Haydna i Mozarta. Potem stopniowo wkraczaliśmy w repertuar romantyczny i współczesny, a jednocześnie nagrywaliśmy polską muzykę, która odpowiadała naszej smyczkowej specyfice. Z czasem wkroczyliśmy w zupełnie nowe obszary, takie jak Amadeus i malarstwo, jazz i taniec, bo zależało nam na prezentowaniu tego, w jaki sposób jeden rodzaj piękna wpływa na doświadczanie walorów innych dziedzin sztuki. A przede wszystkim, gdy w 1977 r. otrzymaliśmy etaty, skupiliśmy się na cyzelowaniu niuansów brzmieniowych podczas codziennych, intensywnych prób.

Pani Agnieszko, jak pani patrzy na takie przedsięwzięcia jak Amadeus i breakdance?

A.D.: Być może pana zaskoczę, ale też miewałam takie propozycje. Uważam jednak, że przy tego typu projektach należy zachować szczególną ostrożność. Łatwo nadać jakiemuś zespołowi etykietę, która nijak się ma do serca jego działalności. Zdarzało się nam zagrać koncert z jazzmanem i natychmiast potem pojawiały się setki jazzowych propozycji. Dlatego mówię o ostrożności, bo nieprzemyślane podążanie za nowościami mogłoby poskutkować utratą naturalnego brzmienia orkiestry.

A.D.M.: Nic tylko powiedzieć, że jestem winna! (śmiech) Zgadza się jednak z opinią mamy. W związku z tym takie przedsięwzięcia proponujemy publiczności z rzadka, jako rodzaj odskoczni, i tylko z absolutnie najlepszymi artystami.

ORKIESTRA KAMERALNA POLSKIEGO RADIA AMADEUS powstała w Poznaniu w 1968 r. z inicjatywy Agnieszki Duczmal, a w 1977 r. została etatowym zespołem Polskiego Radia i Telewizji. Międzynarodowy rozgłos przyniósł jej Srebrny Medal Herberta von Karajana zdobyty w 1976 r. w Berlinie Zachodnim. Zespół koncertował w najważniejszych salach na całym świecie, występując z takimi solistami jak Martha Argerich, Mischa Maisky czy Henryk Szeryng. Ma na koncie ponad 50 płyt oraz nagrodę „BBC Music Magazine” za najlepsze światowe nagranie orkiestrowe (2023, z muzyką Grażyny Bacewicz). Od 2024 r. orkiestra będącą instytucją kultury Samorządu Województwa Wielkopolskiego kieruje Anna Duczmal-Mróz.

A.D.: Pełna zgoda. Dodam jeszcze, że współpracując z jazzmanami, starałam się także zainteresować ich klasyką. Namówiłam przecież Alę Di Meolę, by zagrał z nami koncert Vivaldiego na gitarę i smyczki.

Na co w tym sezonie położone będą akcenty w repertuarze?

A.D.M.: W tym sezonie najważniejsze będą emocje, te głębokie i poruszające ludzką wyobraźnię. Program wybrałam tak, by dotknąć najgłębszych strun naszej duszy. Wykonamy m.in. słynne „Requiem” Gabriela Faurého, „Adagietto” Gustava Mahlera i „Souvenir de Florence” Piotra Czajkowskiego czy koncerty fortepianowe Ludwiga van Beethovena, które bardzo kocham i bez których nie wyobrażam sobie świata muzyki. Przeniesiemy ciężar repertuaru w kierunku romantycznej muzyki przełomu XIX i XX w. Towarzyszyć nam będą wystawy i multimedia oraz interesujące instrumenty.

A.D.: Będą jednak nawiązania do dawniejszych stylów. Przygotowuję dwa dość osobiste programy. W jednym z nich znalazła się „Suita” Ottorina Respighiego, napisana już w XX w., ale pachnąca barokiem. Orkiestra zresztą zagra tę kompozycję po raz pierwszy i to w interesującym zestawieniu – z muzyką Beethovena i Kilara. Będą też genialne „Wariacje na temat



ZDJĘCIE: JACEK WÓJTA / MATERIAŁY PRASOWE



F. Bridge'a" Benjamin Brittena i „Koncert skrzypcowy” Jeana Sibeliusa w opracowaniu na skrzypce i smyczki Jakuba Kowalewskiego. Wypróbowałam – brzmi bardzo intrygująco! Przygotowuję też żartobliwe opracowanie na orkiestrę smyczkową słynnej „Campanelli” Niccolò Paganiniego. W planach na kolejny rok mam też wydanie zestawu CD z nagraniami utworów opracowanych przeze mnie na orkiestrę smyczkową.

A.D.M.: Zależy nam także na przygotowaniu kolejnych nagrań dla Polskiego Radia – mam na myśli moje własne opracowanie „Kwartetu” Maurice’a Ravela, lekkiego i nieco egzotycznego, ale jednocześnie prawdziwego sprawdzianu precyzji dla orkiestry. W końcu dwadzieścioro kilkoro muzyków musi wykonać utwór napisany dla czterech osób. Mamy plan! Teraz szukamy sponsora i o ile wszystko się powiedzie, wydamy nagranie. Cieszymy się także na udział orkiestry w Konkursie Wieniawskiego, bo w tym roku nie będziemy grali 15 razy z rzędu Mozarta! W programie konkursu znalazło się

sporo muzyki polskiej z XX w. – pełnej uroku, ale i bardzo trudnej, wymagającej dojrzałości od uczestników.

A.D.: Uważam, że to świetny pomysł konkursu, bo przecież to wielka promocja polskiej muzyki. Uczestnicy nauczą się wybranych kompozycji, zapoznają z nimi, a usłyszy je publiczność śledząca przesłuchania na całym świecie. Pamiętam, jak prezentowaliśmy te utwory za granicą i wiele osób przecierało oczy ze zdumienia, że polska kultura muzyczna wydała tak wspaniałe partytury.

Na koniec, parafrazując tytuł pewnej książki, zapytam: dlaczego muzyka klasyczna ma wciąż znaczenie?

A.D.: Bo jest uniwersalna i trafia do serc ludzi niezależnie od poglądów, wyznania i statusu społecznego – w dzisiejszych czasach to jeszcze bardziej potrzebne niż kiedyś.

A.D.M.: Tak, dlatego że potrafi chwycić człowieka za serce i duszę. ■

AGNIESZKA DUCZMAL dyrygentka o światowej renomie. W 1968 r. jako studentka poznańskiej PWSM założyła Orkiestrę Kameralną Polskiego Radia Amadeus, którą prowadziła przez ponad pół wieku. Jako pierwsza kobieta dyrygowała w mediolańskiej La Scali. Uhonorowana m.in. Srebrnym Medalem Herberta von Karajana, Złotym Fryderykiem, Diamentową Batutą, nagrodą Koryfeusz Muzyki Polskiej (2024) oraz Orderem Orła Białego (2026). W 2024 r. przekazała kierownictwo zespołu córce, Annie Duczmal-Mróż, pozostając dyrygentem gościnnym.

SZTUKA NA SPACERZE

TEKST: Filip Czekala,
TVN 24

Nie tylko figury plenerowe z lat 60. i 70. odzyskują dawny blask. W Poznaniu od lat przybywa także murali, instalacji i rzeźb najlepszych współczesnych artystów. Żeby obcować ze sztuką, wystarczy spacer po mieście.



ZDJĘCIE: GERARD / REPORTER / EAST NEWS

„Nierozpoznani” (2002) w Parku Cytadela to największa plenerowa realizacja Magdaleny Abakanowicz. Składająca się ze 112 żeliwnych figur instalacja powstała z okazji 750-lecia lokacji Poznania i zapoczątkowała projekt „Poznań Miasto Sztuki”, realizowany od 2005 r. przez Wielkopolskie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych.

Sto dwanaście żeliwnych ponaddwumetrowych postaci pozbawionych głów i ramion stoi na środku największego poznańskiego parku. Sprawiają wrażenie, jakby dokąś zmierzały, każda w swoją stronę, a jednocześnie przywodzą na myśl anonimowy miejski tłum. To „Nierozpoznani” Magdaleny Abakanowicz. Dzieło odsłonięto w 2002 r. z okazji 750-lecia lokacji miasta i szybko stało się jednym ze znaków rozpoznawczych współczesnego Poznania. Co symbolizuje? – Abakanowicz wyraźnie zastrzegła, że ona w tej rzeźbie nie zawarła żadnej metafory. Niech każdy ją sobie czyta, jak chce – mówi Jakub Głaz, krytyk architektury.

Magdalena Abakanowicz to jedna z najbardziej uznanych na świecie polskich artystek, która całe życie poszukiwała nowych środków wyrazu. Jej dzieła znajdziemy w kolekcjach licznych muzeów, a także w przestrzeniach publicznych miast, m.in. Warszawy, Elbląga, Chicago, Jerozolimy czy Seulu. W uznaniu jej zasług Senat uchwalił, że rok 2027 będzie Rokiem Magdaleny Abakanowicz.

„Nierozpoznani” to dziś jedna z ważniejszych atrakcji kulturalnych Poznania. – Mieszkam niedaleko Cytadeli i kilkakrotnie spotkałem się z tym, że ktoś się pytał, także po angielsku, jak dotrzeć do rzeźb Abakanowicz. Turyści jadąc na linii Warszawa–Berlin, potrafią zatrzymać się w Poznaniu tylko po to, żeby je zobaczyć – mówi prof. Mateusz Bieczyński z Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu. Jak przypomina, analogiczna grupa rzeźb Abakanowicz stoi też przy Instytucie Chicagowskim koło jeziora Michigan w Chicago. Inicjatorem powstania rzeźby w USA była poznańska Zachęta, a jednym z darczyńców – aktor Robin Williams, który przyjaźnił się z rzeźbiarką.

Cytadela to nie tylko „Nierozpoznani”. Dawny Fort Winiary w latach 60. zamieniono w Park-Pomnik Braterstwa Broni i Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. W latach 1968–1971 podczas Poznańskich Spotkań Rzeźbiarskich park zamienił się w ogromną pracownię pod gołym niebem. Efektem były dziesiątki realizacji rozsianych pośród alejek, drzew i wzgórz. Większość z nich – 23 z 25 – przetrwała do dziś. Dzięki rzeźbom spacer po Cytadeli przypomina wędrówkę po plenerowym muzeum pełnym niespodzianek. – Rzeźby pochowane są czasami w malowniczych zaułkach, warto ich poszukać

– mówi Mateusz Bieczyński. Mimo że miejsce nosiło nazwę Parku-Pomnika Braterstwa Broni i Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, zdecydowana większość powstałych tam rzeźb nie opowiada o wojnie. Artysty znacznie chętniej sięgali po abstrakcję i nowoczesne formy niż po dosłowne historyczne symbole. Poza „Braterstwem Broni” Dmytro Sowu, jednego z dwóch charkowskich rzeźbiarzy, którzy brali udział w plenerze, oraz rzeźbą „Saperzy” Jana Marii Jakóba nie odwołują się do martyrologicznej tematyki. – Nawet rzeźba „Zwycięstwo” Juliana Bossa-Gosławskiego jest totalną abstrakcją ze stali – zwraca uwagę Jakub Głaz.

Jako pierwsze w ogrodzie wodnym przy Alei Republik stanęły „Mewy” Jerzego Sobocińskiego. W 1970 r. pojawił się „Don Kichot” Tadeusza Dobosza (dziś rzeźba niestety pozbawiona jest lancy w dłoni). Ustawienie figury błędnego rycerza w parku poświęconym zwycięstwu mogło zaskakiwać.

– Rzeźby na Cytadeli tworzą przemyślany układ różnych form, które wpisują się trafnie w przestrzeń lub nawiązują do konkretnych obiektów, także tych niezrealizowanych – mówi Jakub Głaz. Dla przykładu „Kosmonauta” Wacława Twarowskiego, niestety zdezelowany, który stoi obok niewybudowanego planetarium. – Te formy przestrzenne pochodzą z ciekawego okresu w sztuce, kiedy abstrakcja, umowność, pewnego rodzaju skrót czy synteza były bardzo wysoko cenione i widać je w tych rzeźbach. Nie są dosłowne, nie operują dosadnym konkretem typowym dla dzisiejszych przedstawień figuralnych, którym bliżej jest do twórców z drukarki 3D – podkreśla Głaz. Krytyk zwraca także uwagę na typowe dla tamtych czasów podejście do rzeźby plenerowej: ustawienie obiektów w przestrzeni miasta poprzedzał dłuższy proces przygotowawczy, który często uwzględniał także warsztaty i konkursy.



Rzeźba „Zakochani” (1971) Ireny Woch znajduje się na polanie ogrodu topolowego Cytadeli.



Golem (2010) Davida Černý'ego to mierząca 2,5 metra wysokości rzeźba ze stali zrealizowana w ramach projektu „Poznań Miasto Sztuki”. Stoi przy Alejach Marcinkowskiego.

Spacerując po Cytadeli, warto zwrócić uwagę także na „Skrzydlatego” Jerzego Sobocińskiego, „Różę” Michała Gąsienicy-Szostaka czy „Niedzielę” Romana Tarkowskiego. Jak przypomina Głaz, „Skrzydlaty” kiedyś był zabarwiony na czerwono i nazywano go złośliwie „ruskim aniołem”. Każda z tych realizacji pokazuje, że artystów z tamtego okresu bardziej interesowała syntetyczna forma i dialog z przestrzenią niż realistyczne odwzorowanie rzeczywistości.

„Niedziela” to betonowa rzeźba dziewczynki z przypominającym lamę zwierzęciem o nogach z metalowych prętów. Oryginalnie w prawej ręce dziecka znajdował się wiatraczek, który niestety nie zachował się do dzisiaj. Niedawna renowacja rzeźby to sukces Mateusza Bieczyńskiego, który jest współtwórcą repozytorium Sztuka Poznań. – Projekt rozpoczęliśmy w 2017 r., m.in. z Maciejem Kurakiem, obecnym rektorem Uniwersytetu Artystycznego, i Anną Borowiec, szefową działu sztuki współczesnej Muzeum

Narodowego w Poznaniu. Chcieliśmy najpierw zinwentaryzować poznańskie rzeźby, a potem zadbać o to, żeby poszczególne obiekty były re-witalizowane, i przy współpracy z różnymi podmiotami to się dzieje – mówi.

Kolejne rzeźby na Cytadeli ustawiono już po upadku PRL. Po zobaczeniu „Nierozpoznanych” warto się przejść do „Żalek” Krzysztofa Sołowieja odsłoniętych w 2007 r. Żeliwne rzeźby pozbawione twarzy, które symbolizują prasłowiańskie duchy ziemi, Poznaniacy chętnie odwiedzają, by podejrzeć... mieszkające tam wiewiórki.

GRZECZNY SKANDALISTA

Kiedy Czechy wchodziły do Unii Europejskiej, w Pradze stanęła rzeźba „Sikający”, przedstawiająca dwóch mężczyzn oddających moc do zbiornika w kształcie mapy Czech. Również w Pradze można zobaczyć pracę „Fuck You Mr President” – wielki fioletowy, środkowy palec skierowany w stronę Zamku na Hradczanach, siedziby prezydenta Czech, ustawiony na barce na Wełtawie. Autorem obu figur jest znany czeski rzeźbiarz-provokator David Černý. Jego dzieła budzą emocje i wywołują skandale. W poznańskiej realizacji słynnego Czecha nie znajdziemy jednak kontrowersji. – Władze miasta poprosiły artystę o stworzenie projektu pomnika, który byłby mniej kontrowersyjny od jego najbardziej znanych praskich realizacji – wyjaśnia Bieczyński.

„Golem” Davida Černý'ego powstał na zamówienie Wielkopolskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych i stanął w 2010 r. przy Alei Marcinkowskiego na wysokości ulicy 23 Lutego. Rzeźba nawiązuje do żydowskiej legendy o glinianym olbrzymie stworzonym przez rabina z Pragi. Według podań miał on chronić społeczność żydowską przed prześladowaniami. Olbrzym najpierw wykonywał powierzone mu zadania, z czasem jednak zaczął siać spustoszenie w stolicy Czech.

Poznański „Golem” to dwuipółmetrowa ażurowa postać z pasków stali, które tworzą wrażenie, jakby była w ruchu. – Forma rzeźby jest niezwykle ciekawa. Ta dezintegracja czy integracja Golema w postaci tych pasów, które się spinają czy rozchodzą, wydaje się interesującą interpretacją tej opowieści – ocenia Mateusz Bieczyński. Obaj moi rozmówcy zwracają uwagę na ciekawą relację między „Golemem” a inną rzeźbą stojącą

ZDJĘCIE: ADOBE STOCK

„GOLEM” TO AŻUROWA POSTAĆ Z PASKÓW STALI, KTÓRE TWORZĄ WRAŻENIE, JAKBY BYŁA W RUCHU.

od 2006 r. w Alei Marcinkowskiego, bliżej Placu Wolności – „Steli” niemieckiego artysty Heinza Macka. Ma ona formę osiemnastometrowego stalowego słupa z trójkątnymi formami z blachy na szczycie, z napędzaną silnikiem obrotową głowicą, obracającą się trzy–cztery razy na minutę. – Z jednej strony stalowa krocząca postać, z drugiej ten obracający się totem – mówi Głaz.

RZEŻBY JAK WYKRESY

Skoro już o totemach mowa, to warto zajrzeć na znajdującą się nieopodal Międzynarodowych Targów Poznańskich Przystan Sztuki między centrum Concordia Design a biurowcem Bałtyk przy skrzyżowaniu ulic Roosevelta i Bukowskiej. Tam znajdują się „Totemy” Alicji Białej, pochodzącej z Poznania artystki wizualnej i projektantki. Z pozoru to sześć zwykłych, kolorowych, dekoracyjnych kolumn. W rzeczywistości każda skrywa liczby i statystyki, które mają uzmysławiać skalę zniszczenia i biodegradacji Ziemi. Kiedy zeskanujemy telefonem znajdujące się koło „Totemów” kody QR, wyświetlą nam się badania i raporty, do których nawiązuje rzeźba. Podobne kolorowe słupy stanęły w innych europejskich krajach – Anglii, Danii i Portugalii. Nigdzie nie ma ich więcej niż w Poznaniu. – W zależności od pogody ta ekspozycja się zmienia. Inaczej się ją ogląda w świetle bardzo intensywnym, a inaczej, gdy jest pochmurno czy pada, wtedy zmienia swoje oblicze – mówi Bieczynski.

W OKU PERYSKOPA

Jedną z najmłodszych poznańskich rzeźb jest „Selfie Watcher” Noriakiiego, artysty street-artowego znanego jako „poznański Banksy”. To twórca słynnego Pana Peryskopa (nazywanego też Watcherem) – jednookiej postaci pojawiającej się w formie malunków na ścianach

w różnych miejscach Poznania. Na jednym z rysunków Pan Peryskop strzela z łuku do kamery monitoringu, w innym miejscu kopie piłkę pod tablicą „Zakaz gry w piłkę”, a na znaku drogowym informującym o przejściu dla pieszych jest po prostu pieszym. Z czasem Watchery wykroczyły poza Poznań. Spotkać je można w około 30 krajach Europy, najwięcej w Niemczech i w Barcelonie, w której Noriaki pomieszkuje, ale też w Tokio czy Indiach.

W 2020 r. w Poznaniu pojawiły się w trójwymiarowej formie jako małe rzeźby przypominające rozmiarem wrocławskie krasnale, których można wypatrywać w mieście. Mają po 22 centymetry wysokości i siedzą na oknach i gzymsach nad ulicami. Artysta nie podaje ich lokalizacji, żeby tym większa była satysfakcja, gdy się je znajdzie.

W 2023 r. bohater street artu doczekał się także większej rzeźby na Placu Bernardyńskim. Okiem „Selfie Watchera” jest wypukłe lustro, dzięki któremu przechodnie widzą nieco zniekształcone własne odbicie.

Z GALERIĄ WŚRÓD DRZEW

Jedną z najbardziej interesujących kolekcji sztuki współczesnej w przestrzeni publicznej w Polsce powstaje z kolei nad Jeziorem Strzeszyńskim w ramach Poznań Visual Park, gdzie znajdziemy ponad 20 rzeźb, instalacji i realizacji land art. To miejsce, w którym kontakt ze sztuką odbywa się w sposób naturalny i niewymuszony – podczas wypoczynku nad wodą, rodzinnej wycieczki czy przejażdżki rowerowej. Poznaniacy polubili szczególnie „Na wyciągnięcie ręki” Jarosława Flicińskiego, czyli ośmioramienną gwiazdę stojącą w pobliżu pomostu, „Tężnię sztuki” Roberta Kuśmirowskiego – instalację wypełnioną przedmiotami i urządzeniami wystawowymi, gromadzonymi przez artystę przez 12 lat – czy chętnie fotografowany „Guzik z teorii widzenia” Zbigniewa Sałaja.

DLA KAŻDEGO COŚ MIŁEGO

Ciekawe rzeźby znajdziemy także w centrum Poznania. Jedną z najpopularniejszych jest „Paw” Anny Krzymańskiej stojący w Parku Marcinkowskiego, zwycięski projekt w konkursie na rzeźbę parkową zorganizowanym w 1961 r. w ramach Wielkopolskiego Festiwalu Kulturalnego. Również w centrum zobaczyć można instalację „Obszar obrazów efemerycznych” Jana Berdyszaka, zwaną Lustrami, na ulicy Święty Marcin przy Rondzie Kaponiera czy „Przekrój P(p)oznania” Łukasza Gruszczyńskiego nad ulicą Ks. Posadzego na Ostrowie Tumskim – artystyczną interpretację wałów obronnych grodu poznańskiego z czasów Mieszka I. Dzieci szczególnie wielbią „Koziołki” Roberta Sobocińskiego stojące na Placu Kolegiackim i „Wilka” (autor nieznany) w Starym Zoo, przy którym zdjęcia robią sobie już kolejne pokolenia Poznaniaków. Ciekawość budzi też ustawiona przez Centrum Handlowym Poznań „Lucie” Davida Mesguicha przedstawiająca kilkuletnią dziewczynkę rysującą słońce, na której ramieniu przysiadł ptak. Odkrywając kolejne dzieła sztuki w przestrzeni miejskiej, przekonamy się, że Poznań to nie tylko miasto koziołków, rogali świętomarcińskich, Międzynarodowych Targów Poznańskich i piłki nożnej. To także ośrodek sztuki, również tej dostępnej dla wszystkich. Nie obcuje się z nią w ciszy muzealnej sali. Towarzyszy codziennemu życiu, zmienia się wraz z miastem i ludźmi, którzy żyją obok. ■

„Totemy” (2019) Alicji Białej, powstałe we współpracy z Iwo Borkowiczem, można zobaczyć w przejściu między hotelem Sheraton i biurowcem Bałtyk.
Zdjęcie dzięki uprzejmości Fundacji Rodziny Voelkel.



NIEPOWTARZALNY BUKARESzt

Po dekadzie pisarka Małgorzata Rejmer wraca do miasta, które opisała w „Bukareszcie. Kurzu i krwi”. Odnajduje je odmienione, ale wciąż fascynujące – pełne brawurowego architektonicznego detalu, nostalgii za wsią, wrzawy europejskiej metropolii.

TEKST:
Małgorzata
Rejmer

Czasem, z tęsknoty za Bukaresztem, wracam do filmów Radu Judego – bohaterowie w długich sekwencjach krążą po mieście-labiryncie, wśród huku klaksonów i migotania elektronicznych billboardów. Zapamiętałam to miasto tak, jak portretuje je Jude: absurdalne i anegdotyczne, rozsadzane aspiracjami

i energią. Wysokie krawężniki, rozkopane ulice, korki, klaksony. „Miasto trzewiowe, instynktowne, nielogiczne. Bankiet na zgliszczach”, pisałam kiedyś. Dziś, gdy wracam po latach, Bukareszt to po prostu bankiet, wielki świat, do którego ściągają turyści. Typowa europejska stolica, mieszanka brawurowego architektonicznego detalu, nostalgii za wsią, wrzawy metropolii. Miasto, które niczego nie ukrywa, w którym widoczne są i szwy, i skazy. „Jakoś tak jest, że ideologie, polityka, filozofia, estetyka, wszystko wydaje się tu przejrzyste i łatwe do odczytania” – powiedział Jude w wywiadzie dla „The New Yorker”. „Nie jest jak w innych miastach, które sprawiają wrażenie nieskazitelných, a pod ich powierzchnią tętni coś znacznie bardziej mrocznego. Tutaj rzeczywistość nie jest bardziej skomplikowana niż to, co widać na pierwszy rzut oka”. Mówi się o reżyserze, że jest bardem Bukaresztu; nikt tak jak on nie pokazał rozedrgania tego miasta.

– Monologi Angeli w „Nie obiecujcie sobie zbyt wiele po końcu świata” Judego są genialnym komentarzem do rzeczywistości – opowiada mój przyjaciel Stefan podczas naszej kolejnej wędrówki przez Bukareszt.

Spacerujemy tak od 2010 r. Stefan towarzyszył mi, gdy zbierałam wywiady do tekstu o rodzinie Claudiu Crulica, mężczyzny, który zagłodził się na śmierć w więzieniu w Krakowie. Trafiliśmy wówczas do lichej restauracji w Dorohoi (miasto w północno-wschodniej Rumunii – przyp. red.), w tle leciały rzewne piosenki z lat 70., ja wycierałam łzy sztywnymi papierowymi serwetkami, a Stefan westchnął: „Czuję się jak w filmach

ZDJĘCIA: ADOBE STOCK, GETTY IMAGES



Cristiana Mungiu”. Kiedy po dekadzie wracam do Bukaresztu, jest tak jak dawniej: Stefan wita mnie na lotnisku, mówiąc, że mimo upływu lat mnie poznał – haha – jedziemy taksówką przez ciemność poprzytканą światłami billboardów i neonów, a potem ścieli mi łóżko w swoim mieszkaniu, opowiadając historie o sąsiadach i kochankach. Kiedy rano stoimy na balkonie, miasto widziane z 12 piętra jest korytarzem blokowisk, ocieplonych styropianem, który ukrył komunistyczne detale w pastelowych kolorach nowego porządku.

Pierwsze zdjęcie robimy sobie Polaroidem na drewnianej konstrukcji służącej za mostek nad rozkopaną jezdnią. Jestem w domu. Blokowiska, tak wysokie, że trzeba podnieść głowę, by zobaczyć niebo, i podwórka z rozszalałą zielenią. Drzewa pomalowane do połowy na białą, wiszący na balkonie dywan w różę. Wielkie miasto podszyte tęsknotą za wsią. Za przeszłością sprzed dyktatury Nicolae Ceaușescu, który miał obsesję na punkcie urbanizacji kraju: burzył stare domy i wille stolicy i stawiał labirynty blokowisk, do których masowo przerzucał mieszkańców wiosek. Choć taka przeprowadzka oznaczała awans społeczny, ludzie tęsknili za dawnym życiem, za chałupami i zwierzętami, za ławeczkami i ogrodem. Ślady tej nostalgii są widoczne w ogródkach, w aranżacjach balkonów, w gipsowych rzeźbach zwierząt zdobiących podwórka. Im bliżej centrum, tym coraz bardziej rosły i wytworny staje się Bukareszt. Można odnieść wrażenie, że składa się z wielu różnych miast. Trochę Paryż, trochę Phenian, ale też Bizancjum, Orient, Babilon. Architektura porywająca i nieprzewidywalna, pełna ekscesu, hybrydyczności, detalu.

Po pierwsze: styl neobrâncovenesc z dziewiętnastowiecznymi budowlami rozwijającymi w baśniowo-barokowym stylu motywy tradycyjnej architektury ludowej. Po drugie: styl Belle Époque, olśniewające budynki wchodzące w dialog z francuskimi wzorcami architektonicznymi. A po trzecie, rumuński modernizm o niezwyklej rozmachu, z odważnymi projektami, zachwycający elegancją prostoty. Przy Bukareszcie każde inne miasto wydaje się tak statyczne, że aż nudne.

Stefan chce mi pokazać, co się zmieniło, dlatego krążymy po centrum, alternatywnych kawiarniach z dizajnem, concept storach. W ostatnich latach rumuńska energia eksplodowała dziesiątkami butików z ceramiką, vintage’owych graciarni, sklepów z plakatami i winylami. W cukierni Francuska Rewolucja wybieramy spośród kilkudziesięciu rodzajów eklerek, a gdy siadamy w ogródku, otoczeni kaskadami zieleni okalającej falującą elewację nowoczesnego biurowca, patrzę na starszą romską kobietę, która sprzedaje nieopodal kwiaty z małej budki.

Późnym wieczorem znajomi zbierają się w klubie Control, gdzie onegdaj spędzaliśmy niemal każdy wieczór. Wszystko wydaje mi się znajome, i muzyka, i twarze; nawet napisy w łazience pozostały takie same. A jednak życie gnało do przodu. Znajomy, dawniej lewak, przeszedł na prawą stronę i pisze teraz peany na cześć Kościoła. Ten, który 10 lat temu szczęśliwie się ożenił, właśnie się rozwodzi. A ten, który palił trawę całymi dniami, stawia właśnie osiedle letnich domów pod Branem. Płynnie przechodzimy do polityki i ostatnich wyborów. Jaka będzie polityczna przyszłość świata?

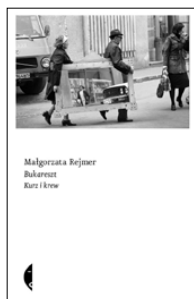
Bukareszt nie daje się zamknąć w jednym kadrze. Park Naturalny Văcărești, nazywany deltą Bukaresztu, wyrósł w niecce zbiornika retencyjnego, którego budowy nie ukończyły komunistyczne władze. Cerkiew Stavropoleos zachwyca stylem „brâncovenesc”, łączącym wpływy bizantyjskie, osmańskie i renesansowe, a bogato zdobione gmachy historycznego centrum przypominają o czasach, gdy stolicę Rumunii nazywano „małym Paryżem”.





Małgorzata Rejmer
– pisarka i reportażystka, autorka książki „Bukareszt. Kurz i krew” (wyd. Czarne), przetłumaczonej m.in. na czeski, estoński, serbski, hiszpański, włoski i rumuński. Laureatka Nagrody „Newsweeka” im. Teresy Torńskiej, Nagrody Literackiej Gryfia i Gwarancji Kultury TVP Kultura za książkę „Bukareszt. Kurz i krew”, a także Paszportu „Polityki” i Nagrody Fundacji im. Kościelskich za reportaż „Bloto słodsze niż miód”.

Małgorzata Rejmer,
„Bukareszt. Kurz i krew”,
Wydawnictwo Czarne,
2013



I jak bardzo Rumunia na tym ucierpi? Do stołu zasiadł z nami rumuński fatalizm.

Nazajutrz znów ruszamy w miasto, które tu i tam raptownie traci impet i skalę, zdziera z siebie fasadę metropolii. Przede mną rozpościera się przestrzeń targowiska Obor: dwie hale targowe, wokół niezliczone budki i bardziej prowizoryczne przybytki. Handluje się tu wszystkim: warzywami, owocami, mięsem od lokalnych dostawców, ubraniami, garnkami, wyrobami własnymi przywiezionymi przez starsze panie ze swoich gospodarstw. Zapomniałam już, czym jest prawdziwe targowisko, i znowu mogę wejść w kłębowisko zapachów, w tumult życia.

Stefan prowadzi mnie do restauracji Petra, hitu stołecznej gastronomii, gdzie wystrój odwołuje się wprost do czasów komunizmu: mamałyga z fasolą, ciężkie zasłony, białe talerze z obramowaniem i ściana nowocześnie zaaranżowanych, drogich win. Idealne miejsce dla klasy średniej, w której budzi się nostalgia za przeszłością. Ponad dekadę temu jadaliliśmy w restauracji Intermacedonia, gdzie smutna dusza rzępoliła w kącie hity dawnych lat, a popielniczek nie było komu sprzątać. Teraz Petra sprytnie podrabia tamtą estetykę, ale robi to z nonszalancją i poczuciem humoru. Dziś, żeby zapłacić za nostalgię i słoik zacuski a la babcia, trzeba sięgnąć głęboko do kieszeni.

Spotykam się z Anią, pierwszą osobą, którą poznałam w Bukareszcie w 2010 r. Dawno temu, gdy zapytałam ją, co tu jest pięknego, wysłała mi w odpowiedzi zdjęcie: nogi w czarnych rajtuzach i w kolorowych skarpetkach wetknięte w otwór plastikowego kosza. Nurkujący manekin, który chce się utopić w śmieciach. W Bukareszcie nie znajdziesz łatwego piękna. A jednak ostatnia dekada przyniosła wreszcie piękno; spektakularna architektura odzyskuje blask, a wokół trwa mordercze tynkowanie, pucowanie, czyszczenie. Kiedy siedzimy w kawiarni Artichoke przy Calea Victoriei, trudno oprzeć się wrażeniu, że miasto ma swój sznyt i siłę, niepodrabialny urok komunistycznej surowości i paryskiego czaru.

– Wszyscy lubią narzekać, ale w Bukareszcie żyje się łatwiej i wygodniej, a dawny chaos znika – mówi Ania. Żeby tradycji stało się zadość, odwiedzamy moje dwie ulubione księgarnie Bukaresztu: Cărturești Verona, gdzie spędziłam

wiele godzin, buszując po trzech piętrach pełnych albumów, winyli i książek na każdy temat, i Cărturești Carusel, jedną z najpiękniejszych księgarni świata. Wiele lat temu odbyło się tam spotkanie autorskie promujące rumuńskie wydanie mojej książki o Bukareszcie, a ja miałam wrażenie, że śnię sen Gaudiego. Białe balkony, wijące się galerie i świetlik nad głową dawały wrażenie wibrującej przestrzeni, jakby nie należała do tego świata.

Kiedy w księgarni zamawiamy kawę, Ania śmieje się, że Rumuni piją jej więcej niż wody.

– Nawet w najmniejszej wiosce znajdziesz automat i napijesz się pachnącej, świeżo mielonej kawy. W domu ludzie ciągle piją kawę po turecku, w tygielku, „la ibric”, ale w dużych miastach rynek kawy specjalty jest w rozkwicie. Kawa o smaku porzeczek? Oczywiście. O jakimkolwiek smaku pomyślisz, Rumuni już go sprowadzili.

Przez miasto przechodzą te same fale snobizmów co przez Warszawę – burgerownie, matcharnie, ramenownie, skandynawski wystrój, estetyka gourmet. Coraz więcej jest kawiarni, otwieranych w eleganckich willach albo modernistycznych kamienicach, z ogrodami i przepięknymi dziedzińcami, gdzie siedząc na leżaku, można zadrzeć głowę i podziwiać elegancję formy. Przybyło klubów na dachach budynków, coraz więcej jest koktajlowni i miejsc skrojonych pod Instagrama.

Późnym wieczorem ja, Ania i Stefan jedziemy przez rozżarzone światłami miasto. Mijamy Dorobanți, dzielnicę nowego bukareszteńskiego luksusu, dziewiętnastowieczne wille w estetyce realizmu magicznego, surowe bloki, lśniące wieżowce, pola, na których za chwilę wyrosnie postępek. Jude powiedział kiedyś, że kontrasty i warstwy w przestrzeni Bukaresztu są tak wielkie, że stają się rodzajem montażu. To miasto Duchampa, awangardy, porzuconego pisuaru. I kogutów spacerujących po eleganckich chodnikach.

Kiedy przystajemy na czerwonym, robię Polaroidem zdjęcie kwiaciarni skąpanej w blasku różowego neonu. Chcę, żeby ten kolor i światło były ostatnią rzeczą, jaką zapiszę na kliszy. Po chwili sprawdzam, jak wyszło zdjęcie – jest kompletnie rozmazane, jak moja pamięć. ■

MIASTO PRZECHODZĄ TE SAME FALE SNOBIZMÓW CO WARSZAWĘ – BURGEROWNIE, MATCHARNIE, RAMENOWNIE, SKANDYNAWSKI WYSTRÓJ, ESTETYKA GOURMET.

Cărturești Carusel – Strada Lipscani 55, sektor 3; słusznie uznawana za najpiękniejszą księgarnię Europy.

Restauracja Petra – Strada Ziduri Moși 4, sektor 2, w okolicach targowiska Obor. Tradycyjna rumuńska kuchnia w nowej odsłonie.
www.instagram.com/petra_obor

Gastro bar Simbio – Strada Negustori 26, sektor 2, mieści się w stuletniej willi z ogrodem.
www.simbio.nicepage.io

Cukiernia French Revolution – Calea Floreasca 169a, sektor 1; a także w czterech innych lokalizacjach przy Piața Victoriei, Grozăvești, Piața Rosetti, Timpuri Noi. Wszędzie specjalnością są eklery.
www.frenchrevolution.com

Artichoke Social House – Calea Victoriei 45, sektor 1; oprócz kawy także autorskie drinki, wino i sztuka.
www.artichoke.coffee

MABÓ ONE – Specjalty Coffee Shop – Strada Petru Rareș 12, sektor 1. Jej twórcą jest utytułowany barista Bogdan Georgescu, wicemistrz świata w wypalaniu kawy.
www.mabo.coffee

Klub Control – Strada Constantin Mille 4, sektor 1. Kultowy klub muzyczny Bukaresztu. Koncerty – od punka, przez techno, po funk.
www.control-club.ro



Cărturești Carusel



Gastro bar Simbio

Nomad Skybar – klub na dachu z widokiem na Bukareszt. Jeden z wielu w mieście – Strada Smârdan 30, sektor 3.
www.nomadskybar.ro

Muzeul Național al Țăranului Român (Muzeum Rumuńskiego Chłopa) – Șoseaua Pavel D. Kiseleff 3, w pobliżu Piața Victoriei. Jedno z najlepszych etnograficznych muzeów Europy. Imponujące kolekcje tkanin, ikon, rzeźbionego drewna, mebli i sprzętów domowych.

Muzeul Național al Țăranului Român



MARe Muzeul de Artă Recentă – muzeum sztuki współczesnej, zwłaszcza rumuńskiej, pierwsze prywatne muzeum sztuki w Rumunii od 100 lat – Bulevardul Primăverii 15, sektor 1.
mare.ro

Ogrody Cișmigiu – najstarszy park w mieście, dający wytchnienie w upalne dni. Główne wejścia znajdują się przy Pałacu Crețulescu oraz przy Bulevardul Regina Elisabeta.

Cukiernia French Revolution



Warszawa – miasto kompletne

„Pobiegłam na parkiet i straciłam poczucie czasu. Czułam się jak w innym wymiarze. Nie miało znaczenia, że byłam sama” – pisała kilka miesięcy temu Christine Chung w swoim reportażu dla „The New York Times”. Dziennikarka okrzyknęła Warszawę globalną stolicą nocnego życia. Przyleciała sprawdzić lokalną scenę klubową, konkurencyjną wobec tych najbardziej trendotwórczych w Europie, czyli Berlina i Paryża, a wyjechała zachwycona nie tylko jakością imprezy, ale i tradycyjną polską kuchnią czy ilością zieleni w centrum miasta. „Jesteśmy napchani jak pierogi” – zaczęła w rubryce nagłówku Rachel Dixon, autorka działu Podróże w brytyjskim „The Guardian”, która przybyła do Warszawy, żeby sprawdzić, czy tutejsza gastronomia jest faktycznie tak bogata, zróżnicowana i nowoczesna, jak sugeruje HappyCow, najbardziej ceniony przewodnik kulinarny dla wegan, który regularnie umieszcza ją w ścisłej czołówce. Inny brytyjski dziennik, „The Times”, uznał polską stolicę za najlepsze miasto w Europie na tzw. city break, szybki, ale sycący weekendowy wypad. Warszawa przyciąga i zaskakuje. Symbiozą historii i innowacji, widoczną w architekturze – ekscentrycznym sąsiedztwie zabytkowych kamienic i modnych biurowców, ale także zróżnicowaną ofertą kulturalną. To miasto kompletne, w którym kameralne koncerty jazzowe uzupełniają się z obleganymi wystawami fotografii, a dobrze zjeść można w topowej restauracji z gwiazdką i niszowym bistro. Dokąd pójść i co zobaczyć, żeby naprawdę poczuć Warszawę?

Imponuje, ale nie przytłacza.
Ma zachwycający rozmach,
ale i nieoczywisty charakter.
I swój własny puls.
Zagraniczne media polecają
ją każdemu: entuzjastom
imprez techno i koncertów
jazzowych, wielbicielom
progresywnego designu
i zabytkowej architektury,
fanom jedzenia na miarę
gwiazdek Michelin i uczciwej
kuchni z bezpretensjonalnego
pubu.

Tekst:
Angelika Kucińska

ZDJĘCIE: M. ST. WARSZAWA



MIEJSCA

Objekt Gallery,
Filomena Smoła & Alina
Szapocznikow, „Pali się
piękno”, fot. Michał
Buczowski-Przeźnik



OBJEKT GALLERY

Aleksandra Krasny, która wraz z Marcinem Studniarkiem założyła Objekt – pierwszą w Polsce galerię kolekcjonerskiego designu – chętnie wraca wspomnieniami do przełomowej wizyty w Kopenhadze. Spacerując po tamtejszych muzeach i butikach, zrozumiała, że design jest osobnym językiem i potrzebnym narzędziem dekodowania współczesności. Objekt prezentuje prace artystek i artystów twórczo reinterpretujących reguły rzemiosła. Swoje projekty pokazywali tu między innymi cenieni za granicą Monika Patużyńska i Jan Ankiersztajn.

Adres: Kopernika 8/18/105C, Śródmieście

INSTYTUT FOTOGRAFII FORT

Projekt współfinansowany przez m.st. Warszawa mieści się w zielonym kompleksie Fort Mokotów, skupiającym restauracje, sklepy, galerie i przestrzenie warsztatowe. Działalność w nowej siedzibie zainaugurowała wystawa zdjęć Kuby Dąbrowskiego, jednego z najbardziej cenionych polskich autorów, który od lat dokumentuje Tygodnie Mody, w stylu spontanicznej fotografii ulicy. Z kolei do 6 września w IFF można oglądać wystawę „Polska Britannica” Czesława Siegiedy – czuły zapis życia polskiej diaspory w przemysłowych regionach powojennej Wielkiej Brytanii.

Adres: Racławicka 99, Fort Mokotów

SUPPERBAR

Hot dogi i wino? Pomysł genialny w swojej prostocie. Nowy adres na Żoliborzu łączy szybkie, barowe przekąski (pyszne!) ze starannie dobranymi winami. Podczas weekendu otwarcia było tu tak tłoczno, że w kuchni nie został nawet okruszek bułki. Trudno się dziwić – za lokalem stoją twórcy Supperlardo, znakomitej restauracji w centrum. SupperBar jest otwarty od czwartku do niedzieli.

Adres: Mickiewicza 21, Żoliborz

K-BAR POWIŚLE

To między innymi tu bawiła się cytowana wcześniej dziennikarka „The New York Times”. Tutaj także kręcono „Erupcję” z Charli XCX, niesforą gwiazdą electropopu, i Leną Górą, polską aktorką robiącą międzynarodową karierę. Regularnie grają tu czołowi polscy didżeje i zagraniczne gwiazdy. K-Bar Powiśle, mieszczący się w wieżach Mostu Poniatowskiego, śmiało może konkurować z najważniejszymi klubami techno i house w Berlinie, Londynie czy Paryżu.

Adres: Most Poniatowskiego, al. 3 Maja, Powiśle

HUB.PRAGA

Klasyka, ale w autorskim, nowoczesnym wydaniu. Pierogi z borowikami i truflą. Polski tatar... po japońsku. Sandacz z nasturcją. Surf & turf z rakami. Wielokrotnie nagradzany szef kuchni Witek Iwański gotuje elokwentnie – z szacunkiem dla produktu i polskich receptur, ale po swojemu – z wizją i głodem nieoczywistych smaków. Latem 2025 r. jego pomysł na fine dining przyniósł hub.praga gwiazdkę Michelin. Iwański stawia też na zrównoważoną kuchnię: ogranicza odpady i korzysta z produktów od lokalnych dostawców. Za odpowiedzialne podejście restauracja trafiła do grona miejsc rekomendowanych przez Slow Food Polska.

Adres: Jagiellońska 22, Praga



Hub Praga

MIEJSCA

PLAKATON

Szybka partia ping-ponga z Marcinem Maseckim? Jest szansa – o ile akurat nie siedzi przy pianinie, pochłonięty żywiołową improwizacją. Plakaton to przede wszystkim sklep z winylami i plakatami, w którym nie zabraknie rarytasów dla wytrawnych kolekcjonerów. W tej ciasnej dziupli w przejściu podziemnym odbywają się też koncerty muzyki jazzowej, współczesnej i improwizowanej. Naprawdę kameralne: do sprzedaży trafia zaledwie 30 wejściówek.

Adres: przejście podziemne pod Rondem Czterdziestolatka, Centrum



Plakaton

GANI

Żadnych krzykliwych szyldów, tylko kaczką narysowaną na metalowej furtce. Można by pomyśleć: kolejna knajpa dla wtajemniczonych. Tymczasem trudno o bardziej gościnne miejsce niż Gani, mieszczący się w modernistycznej willi na Saskiej Kępie. Gotuje Trisno Hamid, Singapurczyk od lat mieszkający w Warszawie. Wcześniej odpowiadał za menu innych popularnych lokali – MOD i Reginy. Kuchnia Hamida jest bezpretensjonalna, domową wołowinę rendang czy chińskie ryżowe kluski chwee kueh serwuje w niezobowiązującej pubowej atmosferze. Nie bez przypadku – to w londyńskich pubach uczył się profesjonalnej gastronomii. Swoją własną nazwał imieniem dziadka.

Adres: Jakubowska 16, Saska Kępa



Gani, fot. Małgorzata Minta

OSOM

Jeszcze kilka sezonów temu można było się pocić nad rankingami najlepszych warszawskich jagodzianek. Potem pojawiły się te z Osomu – całe w kruszonce. Od tamtej pory jest po zawodach. W niewielkim lokalu na Mokotowie latem można przysiąść przy stoliku na zewnątrz, zimą zostaje miejsce przy ladzie. Po drożdżówki z jagodami, poziomkami czy malinami ustawiają się kolejki, ale Osom jest „awesome” przez cały rok.

Adres: Puławska 50 (wejście od ulicy Dąbrowskiego), Mokotów

OLE

Niepozorna, krótka ulica Oleandrów w Śródmieściu Południowym tętni życiem, a jej sercem – zwłaszcza latem – jest ten lokal. Pomysłowe wnętrze, bezpretensjonalny ogródek i świetna, serdeczna obsługa. Do naturalnych win podaje się chipsy, oliwki, chleb z masłem i sardynki z puszki. Najbardziej stylowy wine bar w tej części miasta.

Adres: Oleandrów 3, Śródmieście



Ole

KULTURALNA JESIEŃ

fot. Adrian Lach

„KOFMAN. PODWÓJNE WIĄZANIE”, NOWY TEATR

Spektakl poświęcony francuskiej filozofce żydowskiego pochodzenia Sarah Kofman, która mimo imponującego naukowego dorobku w obszarze sztuki, literatury czy psychoanalizy niedoczekala się takich zaszczytów jak myśliciele, z którymi współpracowała, Derrida czy Deleuze. Reżyseruje Katarzyna Kalwat, w roli głównej Maja Ostaszewska. Spektakl jest grany 5, 6 i 8 września.

nowyteatr.org/pl



„STRACH PRZED LATANIEM”, TR WARSZAWA

Hit teatralny z brawurową rolą Marty Nieradkiewicz! Weronika Szczawińska adaptuje kultową dla feminizmu powieść Eriki Jong. Jej bohaterka, Isadora Wing – pisarka i żona z nowojorskiej socjety – to protoplastka postaci znanych z seriali „Girls” i „Fleabag”. Wdaje się w romans z charyzmatycznym psychoanalitykiem, który staje się początkiem jej podróży w poszukiwaniu wolności, tożsamości i seksualności. Spektakl można zobaczyć 2, 3, 22 i 23 września.

trwarszawa.pl

„MAŁA EMPIRIA”, TEATR STUDIO

Znakomity monodram Eweliny Żak na podstawie eseju Katarzyny Sobczuk pod tym samym tytułem. Czuła i ironiczna opowieść o wieku średnim, codzienności i drobnych doświadczeniach, które zmieniają sposób patrzenia na świat. Reżyseria Anna Ilczuk, na scenie 5 i 6 września.

teatrstudio.pl



fot. Natalia Kabanow



fot. Anne Sophie-Gillet

„SIMPLE”, PAWILON TAŃCA

Polska premiera spektaklu argentyńsko-belgijskiej choreografki Ayelen Parolin – przewrotna, pełna humoru choreograficzna gra rytmu, absurdu i wyobraźni. W Warszawie już 11 i 12 września.

pawilontanca.pl

30 LAT KOMUNY WARSZAWA

Eksperymentalny teatr Komuna Warszawa świętuje w tym roku poważny jubileusz. Z okazji 30. urodzin we wrześniu otworzy się wystawa „Komuna. Kolekcja!” podsumowująca dorobek teatru, a do programu wrócą ulubione spektakle publiczności, jak „Cezary idzie na wojnę” Cezarego Tomaszewskiego czy „Święta Kluska” Agnieszki Smoczyńskiej.

komuna.warszawa.pl



Agnieszka Mastalerz,
„H (rekonstrukcja pozycji)”,
video still (I), 2018



Edward Dwurnik,
„Kłęska urodzaju”
(z cyklu „Obrazy
duże”), 1975, akryl
i olej na płótnie,
Muzeum Narodowe
w Krakowie.
Fot. archiwum Funda-
cji Edwarda Dwurnika

MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ

Dwóch artystów z różnych pokoleń, dwie osobne wystawy, ale połączone w symbolicznym dialogu. Ekspozycja prac Edwarda Dwurnika „Duma i wstyd” przypomina te egalitarne, społeczne prace artysty, który wierzył, że sztuka jest szlachetnym zapisem życia codziennego. Patryk Różycki, urodzony prawie pół wieku po Dwurniku, też uprawia malarstwo realistyczne, intymne, a wystawa „Transformacja” to opowieść o dorastaniu urodzonego na wsi artysty, w społecznym i ekonomicznym wykluczeniu.

<https://artmuseum.pl/pl>

WARSAW GALLERY WEEKEND

To już instytucja. Warszawskie galerie – te duże, te mniejsze – przygotowują specjalne wystawy albo wieszają prace swoich flagowych artystów i artystek, które można oglądać przez cały weekend, a wstęp na wydarzenie jest darmowy. Tę roczną edycję odbędzie się 18–20 września.

warsawgalleryweekend.pl

TILDA SWINTON – ONGOING

Surowa, postindustrialna przestrzeń Instytutu Przemysłów Kreatywnych na warszawskiej Pradze tworzy znakomitą scenerię dla opowieści o karierze Tildy Swinton, jednej z najbardziej oryginalnych aktorek naszych czasów. Sama artystka podkreśla, że nie jest to nobliwa retrospektywa, lecz celebrowanie twórczych spotkań – przypomnienie, że sztuka zawsze powstaje w relacji z innymi. Wystawa potrwa od 18 września 2026 r. do 17 stycznia 2027 r.

tildaswintonongoing.pl

NOC FOTOGRAFII

Czwarta edycja wydarzenia organizowanego przez Muzeum Warszawy odbędzie się 4 września, a wyłonione w otwartym naborze fotografie realizujące temat przewodni „Oswajanie miasta” zostaną wyświetlone na ekranach i fasadach budynków Nowego i Starego Miasta.

muzeumwarszawy.pl/noc-fotografii-2025/

WYSTAWY

MUZYKA



SINFONIA VARSOVIA – NOWE OTWARCIE

Będą „Wariacje na temat Paganiniego”, symfoniczna wersja „Warszawy” Davida Bowiego i Debussy w aranżacji na harfę i smyczki. We wrześniu Sinfonia Varsovia zaprasza do odnowionej siedziby przy ulicy Grochowskiej. Nowe otwarcie świętuje festiwalem trwającym przez trzy weekendy – od 11 do 27 września.

sinfoniavarsovia.org

69. EDYCJA MIĘDZYNARODOWEGO FESTIWALU MUZYKI WSPÓŁCZESNEJ „WARSZAWSKA JESIEŃ”

Festiwal, którego nikomu nie trzeba przedstawiać. Pokazuje to, co najciekawsze w muzyce współczesnej, zapraszając do Warszawy wybitnych artystów i publiczność z całego świata. Rusza już 16 września!

warszawska-jesien.art.pl

KONCERTY CHOPINOWSKIE W ŁAZIENKACH KRÓLEWSKICH

Każdego lata co niedzielę w zabytkowym parku Łazienki Królewskie można słuchać muzyki Chopina wykonywanej na żywo przez topowych pianistów i pianistki. Sezon koncertowy potrwa do 27 września.

www.lazienki-krolewskie.pl



ZDJĘCIA: MATERIAŁY PRASOWE

fot. R. Zawadzki / m.st. Warszawa

YOU'LL WANT TO BE THERE WHEN IT HAPPENS.

impact LEADING
MINDS

02.09.2026

WARSAW / POLAND

impact SEE

29-30.09.2026

BUCHAREST / ROMANIA

impact'27

12-13.05.2027

POZNAŃ / WIELKOPOLSKA



IAC 2027
POZNAN
POLAND

27.09-1.10.2027

POZNAŃ / WIELKOPOLSKA



IAC 2027
POZNAN
POLAND

THE 78TH INTERNATIONAL ASTRONAUTICAL CONGRESS
27 września – 1 października 2027 | Poznań, Polska

TU SPOTKA SIĘ **GLOBALNY PRZEMYSŁ** **KOSMICZNY** WART PONAD 650 MLD USD

Nie przegap!

110+ krajów

11 000+ liderów i ekspertów

150+ ministrów i parlamentarzystów

60+ szefów agencji kosmicznych

550+ wystawców



Organized by:



INTERNATIONAL
ASTRONAUTICAL
FEDERATION

Hosted by:



mtp
GRUPA

thew.y

Co-hosted by:



IAC2027.COM